M.B. to L.W. w Łodzi

- Strajki w Szczecinie i na Śląsku — str. 1, 4 i 5
- Andrzej Brycht - „Azyl polityczny” — str. 11
- Pasiak i dżins — str. 7
- Ślepy Maks i inni — str. 10
- Istota i geneza stalinizmu — str. 2

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 36 (1588) ROK XXXI 3 WRZEŚNIA 1988 ROKU CENA 50 ZŁ

Szczecin, sierpień 1988

Przed portową bramą

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Brama jest neogotycka, zapewne jeszcze poniemiecka, z czerwonej cegły. *„Strajk okupacyjny”* — głosi napis umieszczony na samej górze. Poniżej, na białym płótnie, stylizowane, czerwone litery układają się w hasło: *„Solidarność” nie zginęła, póki my żyjemy.* Jeszcze niżej — flaga biało-czerwona, z umieszczonym na niej obrazem Matki Boskiej. Pod obrazem — cięte kwiaty, a obok — z lewa i prawa — szeregi małych, papierowych chorągiewek o barwach narodowych, z jednym tylko słowem — *„Solidarność”*.

Brama jest wysoka, miejsca dużo — zmieściły się także postulaty. Są tylko cztery. Najważniejszy z nich, umieszczony na czele, żąda przywrócenia zasad pluralizmu związkowego, w ramach którego NSZZ „Solidarność” będzie miał prawo do legalnej działalności. Kolejne żądania to: podwyżka płac o połowę, przywrócenie do pracy osób zwolnionych za działalność w „Solidarności”, zapewnienie strajkującym bezpieczeństwa i zapłaty za czas przestoju. Tak wygląda od 17 sierpnia 1988 roku brama wjazdowa Zakładu Przeładunków Drobnicowych „Łasztownia” w Porcie Szczecin.

Sobota, 20.08.1988, godz. 10

Przed tę bramę można się jeszcze przedostać na skrawek obszernego dziedzińca, aż do barierki, rozciągniętej pomiędzy ścianą portierni a kioskiem „Ruchu”. Przy barierce stoją rodziny i gapie — kilkadziesiąt osób. Z drugiej strony — na dzie-

4

Śląsk, sierpień 1988.

Fedrowanie „na zawał”

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

1.

— *Jako gazeta? „Odgłosy”? Aha, z Łodzi... Czekojcie tero jest msza...* — młody człowiek z biało-czerwoną opaską na rękawie rozkłada ręce. Zmęczona twarz, kilkudniowy zarost, on i jeszcze kilku pilnują wąskiej furtki, przez którą, od czasu do czasu, po okazaniu dokumentów, ktoś wychodzi z kopalni Sąsiedni płot i opuszczony szlaban w bramie obsiadła grupa kilkudziesięciu ludzi. Są spokojni, choć może to tylko na pokaz: kurzą papierosy, wypatrują kogoś z rodziny, dowcipkują. Co chwilę od tłumu przed bramą oderwie się kobieta lub dziecko, by podać przez płot torbę z jedzeniem, termos, cygarety....

Na bramie wielkie płachty z napisami: *„Strajk solidarnościowy”*, *„Strajk okupacyjny”*, *„Nie ma wolności bez Solidarności”*. Wyraźnie tylko góruje nad nimi ogromny napis na budynku w głębi: *„Niech żyje nam górniczy stan”*. Kopalnia „Andaluzja” w Piekarach Śląskich. Jedyna w gwarectwie dąbrowskim, która przerwała pracę. Pozostałych dziewięć, gdzie też się nie fedruje dziś, czyli w poniedziałek 21 sierpnia 1988 roku — to już Gwarectwo Rybnicko-Jastrzębskie. Tam, na piętnaście kopalń, strajkuje dziewięć: „Manifest Lipcowy”, „Moszczenica”, „Borynia”, „XXX-lecia PRL”, „Jastrzębie”, oraz „ZMP” w Żorach, "1 Maja” w Wodzisławiu, „Krupiński” w Suszcu i „Morcinek” w Kaczycach. „Andaluzja” stanęła na dobrą sprawę w środę od nocnej zmiany i choć jeszcze następnego dnia rano trochę fedrowano, to praktycznie nie ma już wydobycia...

2.

Czekam. Przed bramą przybywa ludzi, może będzie ze 100—120 osób. Zbliża się godzina czternasta, to druga zmiana zjawiła się przed kopalnią. Nikt jednak nie naciera na bramę, by dostać się do wnętrza; głównie „kurzą”, dyskutują, rozglądają się za znajomymi, niektórzy

5

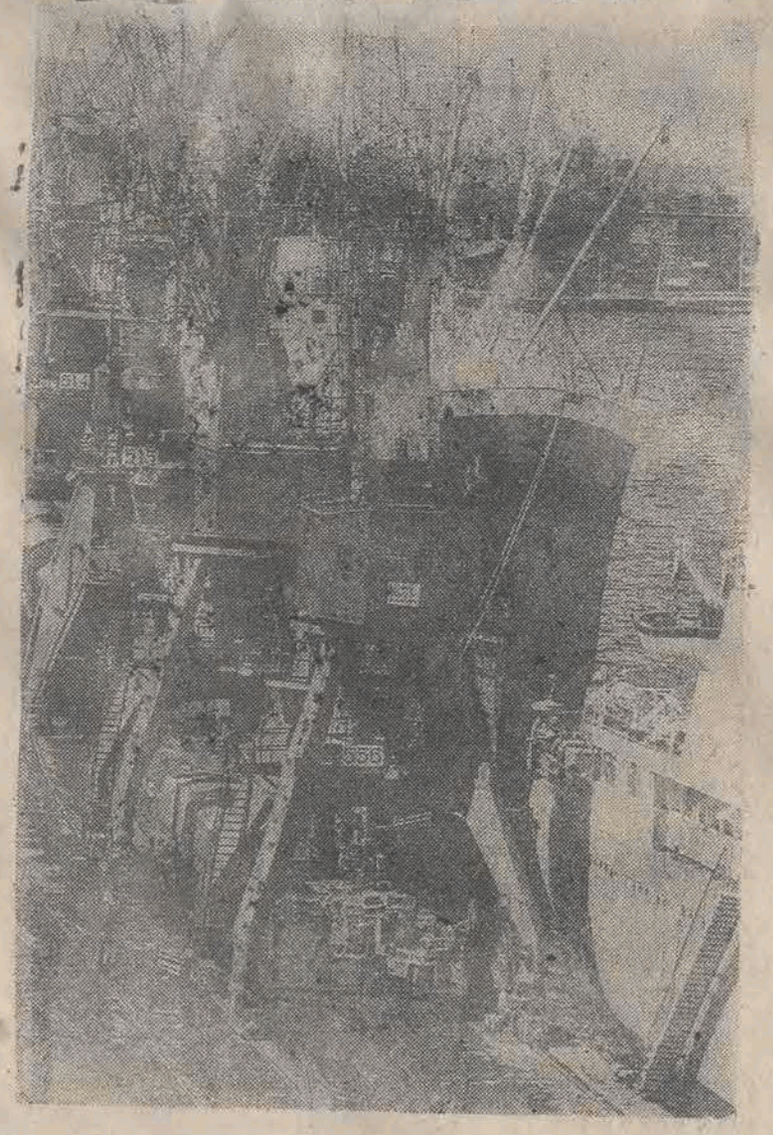

Wrzesień 1939 — przegrana bitwa wygranej wojny.

Nie było innego rozwiązania

ZENON JANUSZ MICHALSKI

„Przechodząc obok grobów żołnierskich nad Bzurą, niech przyszli nasi dowódcy sprawiedliwie wspomną, że leżą tu jedni z tych, którzy starali się wykonać niewykonalny w 1939 roku obowiązek: obronę Polski”.

— gen. Tadeusz Kutrzeba

Od tamtych dramatycznych wydarzeń upłynęło czterdzieści dziewięć lat. W przyszłym roku będziemy obchodzić pięćdziesiątą rocznicę Września, co niewątpliwie spowoduje wznowione zainteresowanie jego genezą, przebiegiem i skutkami. Spojrzenia na sprawę wojny obronnej 1939 roku niejednokrotnie ulegały zmianom. Był czas, gdy w ekipie rządzącej Drugą Rzeczypospolitą widziano jedynych sprawców klęski, winnych przegranej kampanii i dramatu narodu. Sprawa jest chyba jednak bardziej złożona. Wszystko wskazuje na to, że byliśmy elementem gry o znacznie większą skalę i trzeba uczciwie zważyć, co mogliśmy uczynić, a nie uczyniliśmy i czego po prostu nie byliśmy w stanie dokonać.

Gdy w burzliwych dniach jesiennych 1918 roku jak Feniks z popiołów odradzała się Rzeczpospolita, nie były to narodziny witane z radością w europejskiej rodzinie. Może gdzieś w dalekiej Turcji — kultywującej — Bóg raczy wiedzieć dlaczego — przez cały czas rozbiorów pamięć o sławnym niegdyś Lechistanie, ucieszono się szczerze, że oto jawi się Polonia Restituta. Ale sąsiedzi nasi na ogół koso spoglądali na coś, co powstaje kosztem „ich obszarów”. Prawdę mówiąc, najbardziej przyjazny był nam Bałtyk, bo jego zakusy na nasze terytorium można było mierzyć zaledwie centymetrami czy metrami. Powie ktoś — a z czyjej to winy Rzeczpospolita była tak osamotniona? Ano różnie z tym było.

Granica z Niemcami.

Wytyczaliśmy ją zbrojnie czynem powstańców wielkopolskich i śląskich, wbrew matactwom państw zachodnich, a szczególnie Wielkiej Brytanii wychodzącej ze skóry, aby „nie skrzywdzić” Niemiec. Zbyt słabi jeszcze musieliśmy ustąpić przed dyktatem w sprawie Gdańska i przyjąć dyktatorski termin plebiscytu na Warmii i Mazurach. Kraje zachodnie wiedziały doskonale, iż państwo polskie, przygotowujące się do rozstrzygającego boju o stolicę — było to latem 1920 roku — nie będzie w stanie odpowiednio zająć się plebiscytem.

Otrzymaliśmy — a raczej zdobyliśmy — na zachodzie o wiele za mało, ale w rozumieniu niemieckim i tak za dużo. Nie mogła więc stać się granica Polski z Republiką Weimarską, a następnie z Trzecią Rzeszą granicą pokoju. Nie przejawiał rząd polski germanofilskich ciągot. Próby twierdzenia o układności, czy wręcz uniżoności wobec Niemiec, argumentowane wizytami Hermanna Goeringa w Białowieży, nie da się traktować serio, bo i nam zdarzało się gościć w Polsce Ludowej różnych dziwnych ludzi i nikt z tego powodu — i słusznie — nie robił sensacji, bo takie są reguły gry w stosunkach międzynarodowych.

Nie byliśmy proniemieccy, chociaż Adolf Hitler początkowo bardzo o to zabiegał. Liczył być może na wspólnotę dyktatu, a Polska była mu potrzebna jako ważny, położeniem geograficznym, człon w montowanym pakiecie antykominternowskim. Fakty są tu jednoznaczne. Władze polskie nie odpowiedziały, gdy w początkach 1935 roku, najpierw Hermann Goering, a następnie Adolf Hitler deklarowali w przemówieniach rządowych, że gdyby Związek Radziecki napadł na Polskę gotowi są jej udzielić wszechstronnej pomocy. Później, od 13 do 14 stycznia 1938 roku zaproszono ministra Józefa Becka do Berlina i zaproponowano wprost — także bezskutecznie — przystąpienie Polski do paktu antykominternowskiego, 24 października 1938 roku, już po konferencji w Monachium, Joachim von Ribbentrop w rozmowie z ambasadorem Józefem Lipskim ponownie podniósł kwestię przystąpienia Polski do paktu, wysuwając jednocześnie sprawę Gdańska i korytarza do Prus Wschodnich. Rząd sanacyjny był, jak wiadomo, rządem antykomunistycznym, ale do antykomunistycznego paktu nie zgodził się przystąpić przede wszystkim dlatego, że nie ufał Niemcom. A wcześniej jeszcze za życia Józefa Piłsudskiego była sprawa „wojny celnej”, oraz misja kontrtorpedowca „Wicher” dla obrony praw polskich w Gdańsku.

Zdarzały się i błędy, a najpoważniejszy z nich to wspólna z niemieckimi działaniami akcja przyłączenia do Polski Zaolzia, ale na przestrzeni dwudziestolecia ogólny bilans stosunków polsko-niemieckich nie obciąża polskiego konta.

Właśnie Zaolzie.

Utraciliśmy je — tę ziemię — w 1919 roku, gdy stawiając pierwsze kroki w warunkach odzyskanej niepodległości nie potrafiliśmy jej obronić przed czeską inwazją. Nie układały się więc dobrze w okresie dwudziestu międzywojennych lat stosunki z naszymi południowymi sąsiadami. Nasz stosunek do nich kształtował żal i nadzieja odzyskania tego co nasze, ich zaś — świadomość, że się nie jest w porządku i obawa, by się ktoś nie upomniał o swoje.

Nie było spokoju także na północy.

Tu dla odmiany strona litewska miała do nas pretensje o październik 1920 roku, a więc o wyprawę generała Lucjana Żeligowskiego i przyłączenie do Polski Wilna i Wileńszczyzny. Józef Piłsudski uczynił ten krok wbrew opinii europejskiej, ale przecież przy pełnej aprobacie społeczeństwa, świadomego więzi Ziemi Wileńskiej z Rzecząpospolitą, wiedzącego, że dwie trzecie zamieszkujących obszar Wileńszczyzny, to ludność polska.

Tu prośba. Niechajże nie próbuje ktoś dostrzegać w tym stwierdzeniu nacjonalistycznej postawy, czy rewizjonistycznego aspektu. Inne dziś czasy i inna tam sytuacja. Dzisiaj w Wilnie pięćdziesięciotysięczna Polonia, która przeżyła piekło rządów Antanasa Smetany, a następnie stalinowskich praktyk, dożywa swoich dni w spokoju prawnym, a może też i w spokoju ducha. Ale wtedy było inaczej. Głębokim cieniem położyła się na całe międzywojenne dwudziestolecie owa wileńska wyprawa i nie było przyjaciół na północnych rubieżach.

3

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter 36-80-99,

publicyści: 36-77-70, 32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Henryk Pustkowski.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Marek Koprowski, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Marian Zdrojewski.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Londyn), Bohdan Gadomski, Grzegorz Gazda, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Iwanowo), Włodzimierz Krzemiński, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Karol J. Strvjski, Maciej Świerkocki

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91—103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5
DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa Książka-Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa Książka-Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658-201045 139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — od dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego

Zam. 2783. S-10

Przegląd prasy

„W gruncie rzeczy do dzisiaj nie wiemy jak bardzo krwawy był stalinizm w Polsce. Nie mamy zarejestrowanych, zbadanych setek wyroków śmierci, tysięcy śmierci w więzieniach. My z Władyką znamy taki dokument z 1956 roku, który stwierdza niemożność ustalenia, gdzie są pochowani dwaj z 19 rozstrzelanych oficerów. Okazuje się, że pochowano 248 więźniów z Rakowieckiej skazanych na karę śmierci. Trzeba by zbadać każdy z tych wyroków i ustalić, ile z nich wymierzono z naruszeniem zasad praworządności. A przecież każde województwo miało swoją Rakowiecką i swój cmentarz z nie oznaczonymi grobami. (...)

Był to system chybiony i nieludzki. Nie usprawiedliwia go to, że ludzie budowali fabryki i przenosili się ze wsi do miast. Ani to nie była jedyna możliwa droga industrializacji i wydobycia się z zacofania, ani też — co dziś wyraźnie widać — nie była to droga właściwa. Forsowny wariant industrializacji i kolektywizacji został wybrany po to, by wzmocnić polityczną dyktaturę".

Taką ocenę polskiego stalinizmu przedstawił w zespole redakcyjnym „POLITYKI" (nr 34) Zbysław Rykowski. Nie zgadza on się na bilansowanie lat pięćdziesiątych w kategoriach dobra i zła, dobrodziejstw socjalnych i represji. Zwrócił uwagę, że w okresie realizacji planu 6-letniego poziom życia nie wzrósł, wieś była niszczona, małe miasta ulegały degradacji.

O stalinizmie dyskutowano również w redakcji „MIESIĘCZNIKA LITERACKIEGO" (nr 6). Zastanawiano się, na czym polega istota tego reżimu, jak doszło do jego powstania, czy był koniecznością dziejową, czy przyniósł jedynie skutki negatywne?

PRZYPADEK CZY PRZEZNACZENIE?

W zasadzie wszyscy uczestnicy dyskusji zgodzili się z tezą Andrzeja Werblana, że stalinizmu nie można tłumaczyć tylko niesprzyjającymi okolicznościami, dogmatyzmem, błędami i pomyłkami. U podstaw systemu stalinowskiego dostrzegamy plebejski despotyzm, plebiscytarną demokrację i myślenie magiczne. W pewnym okresie poparły go grupy najbiedniejsze i bez perspektyw, którym dawał szanse awansu.

„Nadzieje te zostały częściowo spełnione, a początkowe sukcesy były nawet znaczne, co także system ten utrwaliło. Resztę zrobiły wytwarzające się w sposób nieuchronny w każdym systemie siły i interesy partykularne, prowadzące do petryfikacji już ukształtowanych stosunków. Mieliśmy zatem do czynienia z nieuniknionym chyba w tej lub innej postaci, wstępnym i prymitywnym etapem rozwoju socjalizmu, w którym siła i słabość, zalety i wady, zło i dobro zostały razem przemieszane. Ekscesy były być może do uniknięcia, ale i to nie jest pewne".

Porzucenie tradycyjnej koncepcji błędów i wypaczeń pozwala lepiej zrozumieć stalinizm, umożliwia rezygnacje z poszukiwania czystych źródeł i pogoni za utraconym rajem, stwarza mocniejsza podstawe dla reform. Większość wielkich rewolucji doprowadziła do etapu autorytaryzmu bądź despotyzmu.

Jerzy Wiatr stwierdził, że nieodłącznymi cechami stalinizmu były: dyktatura wodza, terror polityczny i zdławienie wszelkich form demokratycznej dyskusji. Wielką rolę w ukształtowaniu reżimu odegrał Stalin, ponieważ jego osobowość odpowiadała potrzebom danego okresu historycznego. Był człowiekiem bezwzględnym, bez skrupułów moralnych i teoretycznych, dobrze wyczuwał taktyczne wymogi sytuacji, miał silną wolę i bliskie związki z niższymi szczeblami aparatu partyjnego. Nie każda jednak rewolucja musi rodzić Stalina czy Pol Pota.

Na powstanie stalinizmu w Rosji złożyły się następujące przesłanki: kryzys NEP-u, izolacja i zagrożenie międzynarodowe, słabość polityczna innych przywódców bolszewickich, brak tradycji demokratycznych oraz pewna prawidłowość historyczna. Wielki terror państwa rewolucyjnego poznała wcześniej Francja. Skazano na śmierć i zgilotynowano również wodzów rewolucji: Dantona, Robespierre'a, Saint-Justa.

Przeobrażenia stalinowskie spotkały się z niemałym poparciem najbiedniejszych odłamów klasy robotniczej i chłopstwa.

Wielu spośród awansujących społecznie wierzyło, być może, że represjonowani rewolucjoniści są rzeczywiście wrogami ludu. Ponadto ogromne atuty dało reżimowi i przedłużyło jego istnienie zwycięstwo w II wojnie światowej. Z nazwiskiem Stalina na ustach ludzie walczyli, umierali i zwyciężali.

Walery Namiotkiewicz przypomniał, że jeszcze w grudniu 1925 roku panowała w partii bolszewickiej demokracja. Świadczy o tym nie publikowany w Polsce stenogram XIV Zjazdu WKP(b).

„Wspominam o tym stenogramie, ponieważ jest wręcz niewiarygodne, jak otwarta i burzliwa dyskusja toczyła się w trakcie obrad XIV Zjazdu partii, jak niesłychanie ostra, a zarazem gwałtowna była wówczas krytyka Stalina. I rzecz interesująca — mimo tej krytyki Stalin wybrany został sekretarzem generalnym KC WKP(b) i stało się to w trybie całkiem demokratycznym".

Straszliwa deformacja stalinowska zrodziła się pod koniec lat dwudziestych. Utrzymywanie tzw. nożyc cen (wysokie ceny wyrobów przemysłowych, a niskie płodów rolnych) doprowadziło do drastycznego spadku produkcji zboża. W dramatycznej sytuacji skierowano na wieś duże jednostki wojskowe, które siłą odbierały chłopom ziarno. Konfiskowano nawet materiał siewny. Przez to niektórzy nie mieli czym obsiać pola i zmniejszali hodowlę. Pojawiło się widmo głodu. Wybuchały powstania chłopskie.

Na tym tle doszło do sporu między Bucharinem a Stalinem. Pierwszy — popierany przez premiera Rykowa i szefa związków zawodowych Tomskiego — proponował zastosowanie środków ekonomicznych i sprzeciwiał się masowym represjom. Stalin zaś opowiadał się za przyspieszoną kolektywizacją opartą na gwałcie i przemocy. Na kwietniowym plenum KC WKP(b) w 1929 roku wzięło górę — nie wiadomo do końca dlaczego — stanowisko Stalina.

„W każdym razie owo plenum jest niezmiernie ważne. Ono bowiem stanowi początek całej wielkiej spirali błędów teoretycznych Stalina. Spirali, która rozwijała się przez całą dekadę lat trzydziestych. I jeszcze jedno: narzucona przez Stalina kierowniczym organom partii polityka ekonomiczna przynosiła Związkowi Radzieckiemu fatalne skutki. Skutki gospodarcze i społeczne. I polityczne. Te skutki powodowały, że polityka Stalina wywoływała rosnący sprzeciw wśród aktywu radzieckiej partii komunistycznej. A z biegiem czasu również wśród kadr kierowniczych wysokich szczebli. Ten sprzeciw aktywu sprawił, że stalinowskie represje zaczęły kierować się przeciwko kadrom partii. A zatem owo kwietniowe posiedzenie plenarne dało też początek spirali brutalnych represji stalinowskich w latach trzydziestych".

Stanisław Pelczyński uważa, że o warunkach budowy socjalizmu w Rosji zadecydował wynik wojny polsko-radzieckiej w 1920 roku. Przy innym rozstrzygnięciu już wówczas Europa stałaby się socjalistyczna. Na to liczyli Lenin i Trocki.

System stalinowski miał poparcie społeczne także w Polsce, ale było ono wymuszone. Inne tyranie zadowalały się brakiem sprzeciwu, a stalinizm żądał entuzjazmu i miłości. Był u nas szkołą obłudy.

Zasługi gospodarcze i militarne Stalina są dyskusyjne. W dziedzinie ekonomicznej wytyczył kierunki według XIX-wiecznych koncepcji postępu. Struktura przemysłu radzieckiego była ociężała i niepodatna na innowacje. Przed wojną ZSRR miał wielkie rezerwy i dobrą armie. Stalin zaś wyniszczył kadrę dowódczą oraz dopuścił do zaskakującego ataku Niemiec, co pozwoliło im okrążyć Leningrad i zagrozić Moskwie.

ZA OJCZYZNĘ I STALINA

W kolejnym odcinku utworu biograficznego „Piękni dwudziestoletni" — drukowanego w „ŻYCIU LITERACKIM" (nr 34) — Marek Hłasko wspomina zachowanie żołnierzy radzieckich maszerujących za cofającą się armią hitlerowską. Szli dwa tygodnie przez Częstochowę i pytali o drogę na Berlin. Nie pytali, ile to jeszcze kilometrów; interesował ich tylko kierunek. W dzień i w nocy śpiewali o bohaterze Czapajewie i o liście matki, która pyta syna, czy go nie zabito.

„Mieli dużo dobrych pieśni: o tym, że gniew ich jest święty i pieni się jak fala; o tym, aby nie rozpaczały ich matki i życzyły im dobrej drogi kiedy idą pod gwiazdami zwycięstwa; i o tym, że piją za Ojczyznę i Stalina; a potem należą po jeszcze jednym. I dopiero dzisiaj wiem, że Rosję można zrozumieć także poprzez śpiew; kłamią książki i gazety; ale melodie prowadzące do zwycięstwa są prawdziwe i w nich jest siła narodu; i prawda, że każdego żołnierza można pokonać, ale nie żołnierza rosyjskiego.

Kładli się spać na śniegu w bramie naszego domu; nie chcieli wejść do środka i zasypiali natychmiast, a rano budzili się i otrząsali jak psy po wodzie; gotowali swoją kaszę z kawałkiem słoniny i szli na Berlin".

SOCJALIZM I CHRZEŚCIJAŃSTWO

Myśl socjalistyczna i marksistowska cieszy się dużą popularnością w Ameryce Łacińskiej wśród teologów wyzwolenia. Interesująco mówi o tym brazylijski franciszkanin, profesor teologii Leonardo Boff. Udzielił on niedawno wywiadu pismu „Vorwarts", który przedrukował tygodnik „FORUM" (nr 32). Oto niektóre fragmenty:

„Już w końcu lat pięćdziesiątych Helder Camara zrozumiał, że kapitalizm nie jest rozwiązaniem dla ludzi. Wiedział, że w warunkach kapitalizmu lud nie może być szczęśliwy i nie ma mowy o postępie. Zawsze mówił, że wyzwolenie nie może przyjść od elity, od bogaczy, lecz od samych uciskanych, od ludu, który musi się zorganizować i zjednoczyć".

Ojciec Boff pracuje w Petropolis, w dzielnicy nędzy na peryferiach Rio de Janeiro. Nie chce oddalać się od ludu, gdyż Kościół — w jego rozumieniu — to właśnie lud.

„Próbujemy przypominać o wywrotnych praktykach Jezusa Chrystusa. Tak, ponieważ umarł na krzyżu, a nie w łóżku. Przeciwstawiał się wszelkim konserwatywnym siłom religijnym i politycznym. Za podstawowe wartości chrześcijaństwa uważam sprawiedliwość, wolność i godność ludzką".

Jezus był prawdziwym rewolucjonistą, ponieważ krytykował i chciał zmienić ówczesne społeczeństwo. Chciał nowej religii i nowego człowieka. W pierwszych dwóch wiekach chrześcijaństwo było ruchem rewolucyjnym, dlatego chrześcijan prześladowano.

Na pytanie, czy ruch teologii wyzwolenia zawiera elementy marksistowskie, Leonardo Boff odpowiedział następująco:

„Uważam za rzecz wspaniałą, że marksizm walczył zawsze o sprawiedliwe, bezklasowe społeczeństwo. My również nie obawiamy się marksizmu. (...) Rzym zaś boi się marksizmu. A przecież Kościół jest prześladowany tylko przez rewolucje, w których nie brał udziału. Tam, gdzie jest czynny i walczył na froncie, jak na przykład w Nikaragui, nie jest prześladowany. Tam Kościół sam był rewolucyjny".

W ostatniej encyklice nawet papież demaskuje kapitalizm jako podporę niesprawiedliwych struktur. Teologowie wyzwolenia pragną społeczeństwa socjalistycznego i demokracji popieranej przez lud. Ale administracja Reagana nie może ścierpieć socjalizmu u wrót Stanów Zjednoczonych. Dlatego nie ma pokoju w Nikaragui. Jeśli USA będą dalej tak postępować, to w żadnym kraju Ameryki Łacińskiej nie będzie prawdziwego pokoju. Wielu ludzi w Brazylii wzywa do rewolucji.

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

STANISŁAW ŻAŁOBNY — wiceprezydent miasta.

— Najkrócej mówiąc — gorący. I to od poniedziałku, dla mnie pierwszego dnia po urlopie. Burzliwe kolegium prezydenckie związane między innymi z zaopatrzeniowymi problemami miasta. To sprawy bardzo złożone i jeśli po decyzjach poniedziałkowych pod koniec tygodnia nieco więcej pojawiło się choćby mięsa w sklepach — też to i dla nas maleńka satysfakcja w tych niełatwych dniach. Tydzień zaliczyłbym do nerwowych: oprócz normalnych zajęć doszły nam jeszcze w firmie dyżury związane z sytuacją w kraju, a w moim przypadku — dodatkowe godziny pracy, bowiem zastępowałem przebywającego na urlopie wiceprezydenta Jujkę. I od razu „wpadłem" w problemy związane z zaopatrowaniem Smulska, co oznacza spór między władzami miasta, spółdzielnią mieszkaniową „Siódemki" i właścicielami tamtejszych gruntów. Cóż jeszcze? Miałem wizytę mieszkańców Pałczewa, którzy narzekali na kiepskie zaopatrzenie wsi, złe funkcjonowanie sklepów, narzekali na pracę naczelnika. I znów jako argumentu używano „straszaka" w postaci ewentualnego niedopuszczenia nas do terenów wysypiska w Pałczewie. A chcielibyśmy zacząć z niego korzystać jak najszybciej, jeszcze tej jesieni; przecież jedyne na dobrą sprawę wciąż funkcjonujące, w Nowosolnej, przyjmuje — bywa — do 600 samochodów dziennie.

— Zaniepokojony byłem, jak chyba wszyscy, oczekiwaniem na rozwiązanie problemów ogólnokrajowych, przy czym największe wrażenie wywarło na mnie wystąpienie na partyjnym forum Alfreda Miodowicza: takie właśnie jest szeroko pojęte odczucie społeczne naszej obecnej sytuacji. Na prywatny relaks czasu już praktycznie nie stało, pozostał jedynie sen i to niespokojny...

RYSZARD CMELA — zastępca dyrektora do spraw technicznych PP „Polmozbyt" w Łodzi:

— Coraz więcej problemów z naprawami, brak podstawowych części i podzespołów, głównie do dużego „Fiata" i „Poloneza" — i w minionym tygodniu borykaliśmy się z takimi sprawami. Czy pan wie, że rarytasem są już klocki hamulcowe? Nie ma przekładni kierowniczych, wahaczy, zacisków hamulcowych, ech, szkoda wymieniać. Brakuje kół, ogumienia, a zatem, naturalną koleją rzeczy — mnożą się kradzieże. Właśnie w tych dniach przeżyłem wizyty zrozpaczonych właścicieli aut, które rano znaleźli na ziemi lub cegłach. Wracamy do wybijania numerów rejestracyjnych na tarczy koła, w stacji przy ulicy Brukowej. Czy to pomoże? Wątpię, ale może choć nieco ograniczy proceder. W minionym tygodniu wysłaliśmy też naszych pracowników do Danii, by dopilnowali odbioru około 300 radzieckich aut marki Łada-Samara. Chcemy na początku października rozpocząć realizację ich dostaw dla naszych klientów. Cóż poza tym? Wrócił szef z urlopu!...

EDWARD MARCINIAK — dziennikarz łódzkiego ośrodka TV:

— Ech, ciężko wraca się do pracy po kilkutygodniowym wypoczynku. A właśnie kilka dni temu wpadłem w wir codziennej, telewizyjnej „młócki". Skończyły się w redakcji wakacyjne „ogórki", choć z wielkich imprez to na dobrą sprawę przygotowujemy się jedynie do transmisji z Seulu (wiesz już pewnie, że Michał B. tam jedzie?...). Mnie na pociechę — i wspomnienia z wakacji — pozostał tenis. Sporo w tym tygodniu „tłukłem", zbliżają się przecież Tenisowe Mistrzostwa Polski Dziennikarzy. A jak tam twój forhand?...

JOANNA MICHAŁKIEWICZ — pracownik jednej z łódzkich hurtowni:

— Chce pan znać moje miejsce pracy czy raczej poglądy i parę wrażeń z minionego tygodnia?! Wystarczy więc tyle co powiedziałam. Najbardziej zbulwersowało mnie słynne wystąpienie wicepremiera Szałajdy. Naprawdę mocna rzecz, nie wiedziałam, czy się śmiać, czy raczej płakać... Męczy mnie, ale przecież odczuwają to wszystkie kobiety w kraju, coraz trudniejsze przeprowadzanie zakupów, a dodatkowo denerwuje zasłanianie się strajkami. Cóż ma wspólnego postój kopalni z brakiem cukru czy przyzwoitego sera? Bo produkcji alkoholu strajki nie szkodzą... W pracy nic szczególnego, natomiast w domu kłopot-„gigant": mąż skręcił nogę i jak każdy z was nic nie potrafi przy sobie zrobić. Jedyny relaks to wieczorne spacery z psem, bokserem Bossem...

Rozmawiał: DARIUSZ DOROŻYŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Wokoło tętni normalne, cywilizowane, belgijskie życie. Nasi wychodzą na bogate ulice śródmieścia, przyglądają się ludziom, samochodom, pięknym przedmiotom na wystawach sklepów. To wszystko nie dla nich. Jeszcze nie dla nich. Snują plany, marzą na jawie. Szykują się na Kanadę, na Stany. Mało kto chce zostać w Europie — kolejny odcinek najnowszej książki ANDRZEJA BRYCHTA pt. „Azyl polityczny".

— Bieszczady kojarzą się z dzikimi lasami, pełnymi zwierza i niedostępnymi, bezludnymi górami. Tutejsze lasy rzeczywiście są bogate w zwierzynę. Można spotkać orły, puchacze, lisy, wilki i główną atrakcję — niedźwiedzia brunatnego. Od dawna jednak nie było większych zatargów z górskim rozbójnikiem — reportaż MARKA JUŚKIEWICZA.

— Dziesięć dni to dostatecznie długo, aby zachwycić się Lwowem, niepowtarzalną urodą miasta i jego pamiątek historycznych, wielokrotnie, bez pośpiechu wędrować uliczkami, których nazwy po polsku i po ukraińsku są podobne: Ormiańską, Krakowską, Ruską, Serbską, Halicką, Wałową i Podwalem, a wieczorami w gronie lwowskich znajomych: Ukraińców, Rosjan, Polaków i Żydów spierać się o historię — korespondencja GRZEGORZA MATUSZAKA.

— Tę wieś zaraz po wyzwoleniu zasiedlali przybysze z różnych stron. Ludzie zgodni, pracowici, solidarni, nikt na złe stosunki nie narzekał. Ale nowego sąsiada przyjęli nieprzychylnie — reportaż RYSZARDA BINKOWSKIEGO.

— Cham, chamstwo — to słowa, które w ostatnich dziesiątkach lat obrosły niepisanym tabu. Stąd też nawet najbardziej rażące przejawy grubiaństwa, nieokrzesanego, ordynarnego zachowania się człowieka nie nazywamy po imieniu, aby to właśnie nazewnictwo nie obróciło się przeciwko nam — pisze MARIAN ZDROJEWSKI.

ze str. 1

Nie było innego rozwiązania

Pozostał wschód.

Granica wytyczona w licznych walkach i nielicznych rokowaniach. Wojna 1920 roku, **wojna której mogło nie być — jej brzeski finał nie zadowolił żadnej ze stron.** Pozostały poza granicami Państwa Polskiego niemałe obszary ziem, wyznaczające stan posiadania sprzed pierwszego rozbioru. Powstały w obrębie Rzeczypospolitej duże skupiska Ukraińców i Białorusinów kierujących z nadzieją oczy na wschód. Rząd polski nie posiadał predyspozycji, ani chęci, do zacieśnienia stosunków z Radziecką Rosją. Rząd stroniący nawet od burżuazyjnej demokracji parlamentarnej (po 1926 roku). No i powiedzmy sobie, władza radziecka, szczególnie **w drugiej połowie lat trzydziestych, zachęcającym partnerem do współpracy nie była.**

Specjalna formacja — Korpus Ochrony Pogranicza — stała na straży nie tylko granic Polski, pilnowała starego europejskiego porządku, a Europa Zachodnia nie była zainteresowana w poprawie wzajemnych stosunków między Polską i Krajem Rad.

Sytuację mieliśmy nie do pozazdroszczenia.

Oparcie się o Niemcy, oczywiście kosztem ustępstw, oznaczało wyrażenie zgody na Polskę, granicę swą zachodnią opierającą o Wisłę lub może nieco dalej, a i to nie wiadomo na jak długo. Sojusz ze Związkiem Radzieckim oznaczałby dla odmiany egzystencję na obszarze między Wartą i Bugiem.

Przerysowany to oczywiście obraz sytuacji, ale przecież nie tak znowu odległy od prawdy. Zarzuca się często przywódcom Drugiej Rzeczypospolitej, że nie dążyli do porozumienia z pierwszym państwem socjalistycznym. Jest to sprawa bardziej złożona. Sternicy ówczesnego państwa polskiego diabła byli warci i dostawali drgawek na sam dźwięk słowa socjalizm, czy demokracja, ale z drugiej strony i socjalizm w stalinowskim wydaniu drugiej połowy lat *trzydziestych* mógł *skutecznie* odstraszyć od bliższych kontaktów.

Tak więc nie widząc możliwości sąsiednich sojuszów — chlubny wyjątek stanowiły tu Węgry i Rumunia — szukała Polska gwarancji dla siebie na dalekim zachodzie Europy. Zaczęto od Francji, na którą zawsze patrzyliśmy z nabożeństwem, której język obowiązywał w tak zwanych wyższych *sferach*, której kultura stanowiła wzór niedościgniony, a dopełniało szczęścia zrodzone w kampaniach napoleońskich braterstwo broni.

Zapomniano, że wielki „Mały Kapral" grał cynicznie kartą polską, że tak *naprawdę* za nic sobie miał polskie losy i polskie nadzieje. Pamiętano natomiast, że dał Polakom, choć na lat kilka broń i orły narodowe, że na małym wprawdzie skrawku ziemi, ale jednak na czas jakiś odrodziła się Polska. Pamiętano, że w latach pierwszej wojny światowej znalazł we Francji gościnę Komitet Narodowy Polski i otrzymała możność sformowania się armia polska.

Nawiązywano do tych tradycji, już po odzyskaniu niepodległości Na polu bitwy pod Verdun marszałek Philippe Petain dekorował marszałka Józefa Piłsudskiego wysokim bojowym odznaczeniem. W Warszawie natomiast Józef Piłsudski wręczył marszałkowi Ferdynandowi Fochowi polską buławę marszałkowską.

Zwycięstwo rewolucji socjalistycznej w Rosji uderzyło w kraje kapitalistycznej czołówki jak grom z jasnego nieba. Były próby odwrócenia tego stanu rzeczy, była interwencja zbrojna kilku państw imperialistycznych, ale wszystko to nie przyniosło skutku. Zachód wycofał się z interwencji, ale przecież nie zrezygnował. Na razie trzeba było zatrzymać rewolucję w granicach Rosji. Polska miała tu spełniać rolę przedmurza systemu, stąd francuska pomoc w wojnie 1920 roku.

Ale przyszedł rok 1933 i w Niemczech doszedł do głosu faszyzm. Adolf Hitler otwarcie zaczął głosić program antykomunizmu i podbojów. Pojawiła się więc siła, w którą warto było inwestować. Rozpoczął się czas podbojów uważnie obserwowany przez zachodnie demokracje. Najpierw **ofiarą padła** Austria, potem **Czechosłowacja.** Tę ostatnią sprzedały **z zimną** krwią w Monachium rządy Wielkiej Brytanii i Francji.

Różnie sobie tłumaczono Monachium.

A to błędnie interpretowaną neutralnością, a to obawą przed Hitlerem i brakiem innego wyjścia, a to wreszcie nadzieją, że się zadowoli i przestanie wysuwać dalsze żądania. Tymczasem wiele wskazuje na to, że działano w sposób zamierzony. Aneksja Czechosłowacji wzmacniała siłę hitlerowskich Niemiec i zmniejszała odległość dzielącą je od Kraju Rad, a co za tym idzie przybliżała czas konfrontacji. Ale na drodze do pełnego szczęścia, czyli bezpośredniego zetknięcia się tych dwóch potęg, o których wiadomo było, że nie mogą koegzystować ze sobą na dłuższą metę, **stała Polska.**

Francja i Anglia wiedziały, że roszczenia terytorialne Adolfa Hitlera wystąpią teraz wobec Polski, że kolej na Polskę. Zdawały sobie także sprawę, że **Polska albo ugnie się pod żądaniami naciskόw i przedłuży swą egzystencję, oczywiście w okrojonym kształcie, lub przeciwstawi się i ulegnie.** Aby wybrała to drugie rozwiązanie, trzeba ją było wesprzeć politycznie, podtrzymać na duchu tym bardziej, że z wypowiedzi polskich polityków powiało pesymizmem.

Ambasador francuski w Warszawie Leon Nöel pisał w swoich pamiętnikach, że po Monachium minister Józef Beck mówił mu: „[illegible] *żadnych złudzeń, wiemy doskonale, że nasz sojusz z wami jest jednostronny, jeżeli zostaniecie zaatakowani przez Niemców, Polska pospieszy wam na pomoc, ale wzajemność bynajmniej nie jest zapewniona*".

31 marca 1939 roku Newille Chamberlain przemawiając w *Izbie Gmin* zadeklarował pomoc dla Polski. Kilka dni później przybył do Londynu minister Józef Beck i podpisany został polsko-brytyjski układ gwarancyjny. 19 kwietnia tegoż roku premier Francji Eduard Daladier skomentował przychylnie deklarację polsko-brytyjską i potwierdził w całej pełni sojusz francusko-polski.

28 kwietnia 1939 roku Adolf Hitler przemawiając w Reichstagu wypowiedział pakt o nieagresji z Polską i spowodowało to nową serię zachodnich zapewnień wobec Polski. 19 maja został podpisany polsko-francuski protokół o współpracy wojskowej. Treść układu była raczej dziwna. Wynikało **z niego, że gdyby Niemcy uderzyły na Francję, Polska natychmiast przyjdzie Francji z pomocą, natomiast gdyby Niemcy napadły na Polskę, to Francja rozpocznie ofensywę w szesnastym dniu trwania wojny. Polska miała wierzyć, że uzyska pomoc, miała być nieugięta wobec niemieckich żądań. Była taka zresztą i to nie dzięki zachodnim gwarancjom.**

Jej niewątpliwość wynikała z godności i determinacji narodu, ale tego zachodni sojusznicy nie byli w stanie zrozumieć. Te dwa tygodnie zastrzeżone we francusko-polskim porozumieniu powinny były wystarczyć Niemcom do rozgromienia Polski i nie byłoby problemu.

Tyle czasu rzeczywiście wystarczyło później do rozbicia Francji, a z Polską trzeba się było jednak zmagać ponad miesiąc. Tak więc po dwóch tygodniach wyszli Francuzi na **wiarołomnych sojuszników.** Anglicy **zresztą także, gdyż 25 sierpnia 1939 roku został podpisany polsko-brytyjski układ o pomocy wzajemnej, a pomocy we Wrześniu nie było.**

Walcząc w osamotnieniu.

Tylko — czy aż trzydzieści dni trwała kampania wrześniowa? Mniej przecież czasu potrzebowali Niemcy, aby zająć o ileż potężniejszą Francję. Także nie wolniej niż w Polsce poruszały się pancerne zagony niemieckie przez niemałą część obszaru ZSRR.

Nie jestem kompetentny do oceniania kwalifikacji naszego dowództwa, sądzę, że tak jak i wszędzie mieliśmy i dobrych i kiepskich generałów, ale jestem głęboko przekonany, że kwiat światowej generalicji nie poradziłby sobie w sytuacji, w jakiej znalazła się Polska. Bił się nasz żołnierz z determinacją, ginęli na polu walki szeregowcy i generałowie i nie może blasku tych dni krwi i chwały przyćmić jeden fakt *haniebnej ucieczki* niefortunnego naczelnego wodza. I jeżeli jest gdzieś, w innym wymiarze Stowarzyszenie Byłych Polskich Wodzów Naczelnych, to marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego niewątpliwie tam nie przyjęto.

Po dwóch tygodniach walk sytuacja była już tak ciężka, że nie dawała praktycznie żadnych nadziei na powstrzymanie agresorów. Wtedy to 17 września 1939 roku Armia Czerwona przekroczyła granice Rzeczypospolitej. Wkroczyły radzieckie wojska na ziemie w większości zamieszkałe przez niepolską ludność, jednakże czas tej operacji i sojusznik, dobrane były fatalnie.

Kampania wrześniowa dobiegała końca. Na oczach obojętnej Europy dokonywał się upadek Polski.

Jeżeli więc w imię **polsko-radzieckiej przyjaźni i współpracy, niezbędnej, aby być i żyć, usuwamy dzisiaj z przeszłości** naszej tzw. **białe plamy**, to trzeba sobie o tamtych dniach powiedzieć wprost. Związek **Radziecki** zajmując obszary ludnościowo faktycznie niepolskie, **zajął także** część Rzeczypospolitej o zdecydowanie polskim charakterze, na przykład Białystok, a w pierwszej fazie rokowań przed podpisaniem układu Ribbentrop-Mołotow przewidywano przyszłą granicę niemiecko-radziecką wzdłuż Wisły, Narwi i Sanu. Można zrozumieć polityczne racje radzieckie, które legły u podstaw decyzji wkroczenia do Polski, ale potwierdza to raz jeszcze tezę, że polityka nie zawsze z moralnością idzie w parze.

Nawiasem mówiąc, polscy politycy kwestionujący później na emigracji decyzję radziecką zapomnieli, iż była to wierna kopia polskiego wejścia na Zaolzie w październiku 1938 roku. Dokładnie te same wysuwaliśmy argumenty po 2 października 1938 roku, po owym słynnym: „maszerować" marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego, co Rosjanie po 17 września 1939 i takie same były kwalifikacje moralne.

Wejście Armii Czerwonej do wschodnich obszarów Polski nie doprowadziło do powstania kolejnego frontu. Nie było na kierunku wschodnim zorganizowanego polskiego oporu, chociaż miały miejsce pojedyncze potyczki i walki, co według danych radzieckich przyniosło im straty w ilości 737 poległych i 1862 rannych żołnierzy. Oddziały polskie bądź wycofywały się, bądź poddawały się i były internowane. Trofea bojowe Armii Czerwonej to było dziewięćset dział, dziesięć tysięcy karabinów maszynowych, trzysta tysięcy karabinów, sto pięćdziesiąt milionów kul karabinowych, milion pocisków artyleryjskich oraz trzysta samolotów. Wystarczyłoby to na przedłużenie kampanii wrześniowej o jeden czy dwa tygodnie, ale nie mogłoby zmienić dramatycznego finału.

21 października 1939 roku przemawiając na V nadzwyczajnej Radzie Najwyższej ZSRR Wiaczesław Mołotow stwierdził, że „*wystarczyło jednego, krótkiego uderzenia na Polskę najpierw ze strony armii niemieckiej, a potem — Armii Czerwonej, aby nic nie zostało z tego pokracznego dziecięcia Traktatu Wersalskiego*".

Mylił się. Została rozbudzona **w dwudziestoleciu** świadomość **państwowa.** Został naród, **ciężko** dotknięty kolejnym dramatem, **ale** zespolony jak nigdy w dążeniu do odrodzenia Rzeczypospolitej.

Czy warto było walczyć we wrześniu 1939 roku?

Nie moje to pytanie, ale znaleźli się niestety tacy, którzy je stawiali i co gorzej, odpowiadali przecząco. W dwudziestą rocznicę Września pisał na łamach tygodnika „Stolica" Kazimierz Roren-Zawadzki:

Tak więc stwierdzić trzeba, że wojna polsko-niemiecka 1939 roku była już z góry przegrana, nawet przed oddaniem pierwszego strzału... Można przeto postawić uzasadnione pytanie, czy słuszna była decyzja podjęcia walki obronnej, stawiania oporu hitlerowskim najeźdźcom?

Dziś z perspektywy 20 lat należy — rozumując na chłodno — zastanowić się nad postawą innych państw Europy środkowo-wschodniej, położonych na obszarze ograniczonym od północy Bałtykiem, a od południa Czarnym Morzem i Adriatykiem. Znajdując się w sytuacji analogicznej, państwa te postąpiły — z wyjątkiem Grecji i Jugosławii — inaczej niż Polska. Wiadomo jest jakie rozwiązanie znalazły np. rządy faszystowskie Węgier i Rumunii czy państwa bałtyckie. — Niech więc czytelnik sam sobie odpowie, czy ówczesna decyzja podjęcia walki, która skazuje z góry na klęskę stawienia oporu hitleryzmowi, była słuszna?"

Była słuszna i był to jeden z nielicznych jasnych punktów w działalności, oderwanej przez dwudziestolecie od interesów narodu, rządzącej ekipy. Była słuszna co najmniej z dwóch powodów:

Po pierwsze — ktoś musiał przerwać szlak „pokojowych" podbojów Adolfa Hitlera. Pokojowych — w tym sensie, iż gwałt czyniąc, nie napotykał na opór. Uczyniła to Polska i po niej bronili się już wszyscy — właśnie, między innymi Jugosławia i Grecja. Niech więc uświadomią sobie stawiający naiwne, czy prowokacyjne pytania, co by było, gdyby wszyscy po kolei bez walki poddawali się Niemcom.

Po drugie — nie byliśmy w takiej sytuacji jak Austriacy, Czesi, Węgrzy czy Rumuni. Gdybyśmy nawet poddali się bez walki nie potraktowano by nas jako sojuszników czy wasali, bo wtedy nadal święcie wierzono, że „*jak świat światem nie będzie* **Niemiec Polakowi** *bratem*".

Kogo winić?

Pisano i mówiono przez dziesięciolecia niemało o winowajcach klęski wrześniowej. Stawiano pod pręgierzem sanacyjny rząd polski, naczelne dowództwo i innych decydentów twierdząc, że to przez nich, na skutek ich poglądów i działań doszło do tragedii. Stawiano pod pręgierzem słusznie, tylko zarzuty powinny być inne. Ze starcia z Niemcami — powtarzam — nie wyszedłby w 1939 roku zwycięsko żaden rząd polski, żadne dowództwo naczelne. Zbyt wielka była dyspozycja sił i środków. I gdybyśmy nawet mieli bardziej szczęśliwie dobrane władze, dobrze funkcjonującą demokrację, parlamentarną i znacznie większe środki na obronność i tak musielibyśmy ulec totalitarnemu państwu, przeznaczającemu prawie wszystkie posiadane środki na zbrojenia. Kampania wrześniowa w istniejących układach politycznych była nie do wygrania i tak się stało. Tych istniejących układów nie można było zmienić. Zachód był taki, jaki był, obojętny wobec losów Polski, Wschód natomiast chociaż proponował pomoc i współpracę mógł też budzić wątpliwość.

Rząd radziecki domagał się od władz polskich przepuszczenia Armii Czerwonej przez terytorium Polski dla bezpośredniego zetknięcia się z nieprzyjacielem, ale znając Józefa Stalina, nie było żadnej gwarancji, że wojska te po wykonaniu zadania wrócą do siebie. Tak więc ówcześni władcy Polski nie mieli wielkiego pola do manewru, historia natomiast zdyskwalifikowała ich za to przede wszystkim, iż przez całe dwudziestolecie, dbając o swe grupowe interesy, kierując się prywatą, a więc działając wbrew ogólnonarodowemu interesowi, nie potrafili rozwinąć kraju gospodarczo i społecznie, a także nie potrafili godnie się zachować w najcięższych dla narodu chwilach. Opuszczenie Polski przez prezydenta i rząd już musiało budzić zasadnicze wątpliwości i protest, ucieczka naczelnego wodza była czymś szokującym.

Aż się prosi, aby przytoczyć tutaj opinię jaką Stanisław Cat-Mackiewicz zamieścił o Edwardzie Rydzu-Śmigłym w swojej książce „Klucz do Piłsudskiego", wydanej zresztą w tzw. drugim obiegu.

„*O Rydzu nie wspominam, był to w dosłownym znaczeniu bałwan. Ludzie go ulepili własnymi rękami, bo im był dla kultu potrzebny, a potem wołali:* „Wodzu prowadź nas", *a on mógł tylko jeździć popychany na taczkach*".

Padła Rzeczpospolita Polska ofiarą nie tylko wewnętrznej destrukcji. Padła ofiarą matactw możnych imperialistycznego świata, którego sama stanowiła też jakąś tam cząstkę. Padła ofiarą, bo stała na drodze i hitlerowskim planom podboju świata i imperialistycznym planom unicestwienia Kraju Rad.

Ta druga teza ma swoje uzasadnienie także w przemówieniu, które wygłosił Winston Churchill 1 października 1939 roku, gdy ostatnie polskie oddziały krwawiły jeszcze pod Kockiem. Nawiązując do 17 września 1939 r. i odcinając się wyraźnie od pokonanego polskiego sojusznika stwierdził:

„*... fakt zajmowania tej linii przez wojska rosyjskie jest wywołany wyraźną koniecznością zapewnienia bezpieczeństwa Rosji w obliczu zagrożenia przez narodowych socjalistów. W każdym razie linia ta istnieje i powstał front wschodni*".

Ano właśnie! O to przecież chodziło.

I nie stoi to w kolizji z faktem późniejszej koalicji antyhitlerowskiej. Po prostu Adolf Hitler okazał się niepojętnym uczniem, gryząc rękę, która go podkarmiła. Miał powstać front wschodni, a tu najpierw powstał zachodni! Gdy padł blady strach i zabrano się do poskromienia faszyzmu, każdy sojusznik był dobry.

Wrzesień 1939 roku. Złożyły się nań: zwyrodnienie faszyzmu, sojusznicza zdrada i determinacja narodu, który nie podniósł rąk do góry, a po klęsce nie zdobył broni. Wrzesień 1939 — przegrana bitwa wygranej wojny.

ZENON JANUSZ MICHALSKI

Jak wyzwolić się z gorsetu dogmatów?

W 1981 roku, na którymś z posiedzeń KŁ PZPR wyraziłem taką myśl: — Gdybyśmy obie mogli wyobrazić — mówiłem — że za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znika nagle „Solidarność", to wcale z tego nie wyniknie jednoczesne zniknięcie wszelkich naszych problemów, kłopotów, konfliktów i sprzeczności. Później był 13 grudzień 1981 roku i wśród wielu innych związków i stowarzyszeń zniknęła „Solidarność", ale nie zniknęły problemy, kłopoty, sprzeczności i konflikty. Niektóre z nich istnieją do dziś.

Dziś jednak mógłbym powiedzieć inaczej. — Gdybyśmy założyli, że powstaje „Solidarność", to wcale z tego nie wynika, że równocześnie znikną nasze kłopoty, problemy, konflikty i sprzeczności. Przeciwnie — przybędzie ich jeszcze. Wcale z tego jednak nie wynika, że jestem przeciwny pluralizmowi związkowemu. Mogę sobie doskonale wyobrazić istnienie dwu czy więcej związków zawodowych, pod warunkiem wszakże, że będą one — mając nawet odmienne zdanie i koncepcje — współpracowały przy rozwiązywaniu problemów w przedsiębiorstwie, a nie rywalizowały w tym, kto jest lepszy i ma nieodpartą rację. W ogóle wszelką twórczą konkurencję uważam za czynnik sprzyjający postępowi i racjonalnemu rozwiązywaniu naszych problemów. A wszelki monopol i zamykanie się we własnym kręgu za czynnik postęp hamujący. Niemniej „Solidarność" kojarzy mi się z chaosem i falą strajków, z nieustannymi żądaniami i protestami. Taki destrukcyjny element w jakimkolwiek pluralistycznym układzie nie może sprzyjać postępowi. Nic też nie wskazuje, aby w obecnej akcji strajkowej ci, którzy domagają się legalizacji „Solidarności", cokolwiek się zmienili, aby zmienili swoje sposoby działania.

Wielu ludzi oburzało się na strajki, w komunikatach podkreślano ich nielegalny charakter, sumowano straty, jakie przynoszą gospodarce. Wszystko to prawda. Strajki nie służą rozwojowi gospodarki, są bronią mającą wymusić takie czy inne ustępstwa. Taki jest ich obiektywny charakter. Strajki przynoszą straty materialne, ale o ileż bardziej poważne straty moralne i polityczne. Tego nie da się niczym zmierzyć, wycenić, policzyć. Ale one są. Strajki są wreszcie nielegalne w świetle prawa. Tyle że prawo jest tak skonstruowane, że gdyby chcieć doprowadzić do legalnego strajku, to można się po drodze zagubić i zniechęcić. A ludzki gniew, zniecierpliwienie, ludzkie emocje nie dadzą się ująć w żadne rygory. Gniew po prostu wybucha. Trzeba zatem tak postępować, aby ten gniew się nie gromadził, nie narastał, aby nie było powodu do robotniczego protestu.

W trudnych chwilach sięgam często do starych dokumentów partyjnych. Teraz sięgnąłem do przemówienia Władysława Gomułki na VII plenarnym posiedzeniu KC PZPR z 19 października 1956 roku. Oto, co wtedy mówił Władysław Gomułka:

„Klucz do rozwiązania spiętrzonych trudności posiada w swoich rękach klasa robotnicza. Od jej postawy zależy wszystko. I dzień dzisiejszy, i perspektywy na przyszłość. Postawa zaś klasy robotniczej zależy od polityki partii, wytyczanej przez jej kierownictwo. Od umiejętności kierowania państwem przez rząd i wszystkie naczelne organy państwa".

I dalej powiedział jeszcze:

„Agenci i prowokatorzy zawsze i wszędzie mogą być i działać. Ale nigdy i nigdzie nie mogą decydować o postawie klasy robotniczej".

Myśl tę powtarzano później wielokrotnie, bo jest ona prawdziwa i bezdyskusyjna. Niedawno w innym kontekście i w innych słowach powtórzył ją Przemysław Wójcik. Powiedział on między innymi, że *„strajk jest tylko objawem głębszego schorzenia, jest jego skutkiem"*. I powiedział dalej, że zgadza się ze Stanisławem Kwiatkowskim, iż *„cała opozycja ze wszystkimi rozgłośniami zachodnimi nie jest w stanie zrobić tego, co jest w stanie zdziałać jeden wicepremier lub znaczący minister — postawić w stan gotowości strajkowej młode pokolenie robotników"*.

Strajk jest niszczącą bronią i powinien być ostatecznością. Skoro jednak stanęliśmy na gruncie realności, że w socjalizmie zdarzają się strajki, to powinniśmy przywyknąć do tego, że mogą się również zdarzać w przyszłości, jeśli dyrekcja, organizacja partyjna i związkowa oraz samorząd nie potrafią w porę temu zapobiec. Trzeba się zatem skupiać na profilaktyce, a nie liczyć później straty, którym zawinili nie tylko strajkujący robotnicy. Poza tym strajk daje straty ewidentne, łatwo obliczalne. Kto zaś policzy straty, które przynosi niemal codziennie wadliwa gospodarka: zła organizacja pracy, złe zaopatrzenie, szwankująca komunikacja, beztroska i głupota? I to w pracujących wydawałoby się „normalnie" przedsiębiorstwach. I to właśnie te straty, mające także swój wymiar moralny i polityczny, stają się często przyczyną narastających sprzeczności i konfliktów. Mówiono o tym również w dyskusji na VIII plenarnym posiedzeniu KC PZPR.

Wydaje mi się, że w naszym codziennym myśleniu zbyt wiele uwagi przykładamy do dobrego samopoczucia, do samozadowolenia. Staramy się przy każdej okazji pochwalić tym, co zrobiliśmy, co osiągnęliśmy. To naturalne. Każdy chce wiedzieć i widzieć, że jego praca jest potrzebna, dobrze oceniana. Zresztą przez wiele lat panował taki zwyczaj, że każdy kto wchodził na mównicę — zamiast mówić do rzeczy — opowiadał, co *„myśmy zrobili"* i to nazywano „dyskusją". Coś z tego zostało w naszym myśleniu. Ale to coś trzeba odłożyć do lamusa i zacząć przede wszystkim myśleć o tym, co mamy do zrobienia. A mamy dużo. I jak to osiągnąć?

Wszyscy chętnie opowiadają o siłach zachowawczych, hamujących reformę, postęp, rozwój kraju w myśl swoich grupowych interesów. Siły takie istnieją. Trudniej je wskazać i nazwać. Trzeba mimo to je przełamać. W tym celu niezbędne są reformy polityczne. One muszą wspierać reformy gospodarcze, a nawet je wyprzedzać. Autorzy nieudanych do tej pory reform gospodarczych — również na Węgrzech — wskazują na konieczność reform politycznych, jako warunek powodzenia reform gospodarczych. Reformy polityczne mają bowiem przyczynić się do stworzenia koalicji proreformatorskiej, do zgrupowania sił sprzyjających reformom i stworzyć szerokie możliwości ich działania. Taki kierunek nakreśliły uchwały VI Plenum KC PZPR. Być może po VIII Plenum KC PZPR dojdzie do pełnej ich realizacji.

Musimy odrzucić gorset dogmatów, który krępuje nasze myślenie i działanie. Marksizm jest bowiem metodą działania, a nie zbiorem dogmatów. To myśmy go czymś takim uczynili, odrzucając twórczy charakter marksizmu. Taki kształt marksizmu wygodny był dla zwolenników i twórców biurokratycznego socjalizmu. Zawsze się można było zasłonić dogmatem, podeprzeć, albo jak trzeba to i tym dogmatem „dołożyć". Tyle tylko, że nie sprzyjało to rozwojowi rzeczywistości, nie sprzyjało postępowi.

Padły ważkie propozycje: rozmów przy okrągłym stole bez żadnych wstępnych warunków, powołania Rady Narodowego Porozumienia. Powiedziano, że potrzeba nam odważnych, niekonwencjonalnych rozwiązań. Myślę, że nie ograniczą się one tylko do zmian personalnych. Te też są potrzebne, bo ci sami ludzie nie mogą ciągle robić tego samego. Myślę, że trzeba zacząć od uczenia się szacunku dla tych, którzy mają odwagę myśleć inaczej, którym też chodzi o Polskę i którzy nie zmierzają do odrzucenia socjalizmu. Trzeba nauczyć się ich szanować nie tylko w Warszawie.

28.08.1988.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ze str. 1

Przed portową bramą

dzińcu — portowcy w roboczych, niebieskich (drelichach i we flanelowych ko- — na dziedzińcu — portowcy w roboczych, niebieskich drelichach i we flanelowych koszulach. Wszyscy mają na piersiach znaczki z Matką Boską. Niektórzy — biało-czerwone opaski na rękawach. To porządkowi: stojący przed portiernią, i z drugiej strony barierki, gdzie zaczyna się teren strajkowy. Pilnują wejścia do portu, nie wpuszczają gapiów i telewizji. Wpuszczają za to młodzież, intelektualistów z opozycji, księży oraz żołnierzy WOP.

Portowcy są poważni. Jedni siedzą na stopniach budynku, w którym śpi..., inni podchodzą do ogrodzenia, aby porozmawiać z kolegami i rodzinami. Tęgie na ogół chłopy, nierzadko brodacze, trzydziesto-, czterdziestoletni. Ruchy mają powolne, jakby zmęczone, chód kołyszący się z lekka.

Niewielu jest młodszych, ale ci mniej są poważni. Kilku wdrapało się na platformę, umieszczoną ponad ogrodzeniem, kilkanaście metrów na lewo od bramy. Uśmiechają się do przechodniów, żartują, wyciągają przed siebie dwa palce — na znak wiary w zwycięstwo. Nie wszyscy przechodnie podzielają ich wiarę. Jedni kiwają im, czynią znak „V", inni przechodzą, patrząc w przeciwną stronę.

— *Barany, wydaje im się, że są bohaterami* — mówi ze złością, ale po cichu, pan w średnim wieku, wyglądający na urzędnika. Dobrze, że powiedział to po cichu, bo mogły go usłyszeć dwie starsze panie, stojące przed bramą z wielkimi torbami. W bluzki wpięły sobie krzyże. Przyniosły jedzenie dla strajkujących.

— *Tylko bez wódki!* — śmieje się odbierający pakunki młodzian.

— *Gdzieżby* — odpowiadają rezolutnie — *w czasie strajku?!*

Tego dnia strajkujący w porcie zaapelowali do wojewody o zamknięcie wszystkich sklepów z alkoholem, żeby nie doszło do niepotrzebnych awantur na mieście. Dowiedzieli się o tym szybko spragnieni, ściągając pod sklepy z monopolem. Przy ul. Tkackiej, w centrum Szczecina, stała w wielkim milczeniu, w wyjątkowym porządku, ponad 100-osobowa kolejka po wódkę.

Sobota, 20.08.1988, godz. 15.

— *Najważniejsza jest postawa, niezłomna postawa* — krzyczy z emfazą starszy, na oko sześćdziesięcioletni, posiwiały mężczyzna. Ubrany w jasny garnitur, z biało-czerwonym krzyżem i Matką Boską w klapie. Trzyma się prosto, stukając gniewnie laską o chodnik. Przemawia do dwóch facetów, młodszych od niego co najmniej o połowę. Faceci wyglądają na inteligentów. Słuchają go jakby z wewnętrznym przymusem, lecz nie próbują z początku przerywać. Nagle jednemu się udaje:

— *Ale to nie tak, proszę pana. Bo może być z nami jak w tym przysłowiu: widział ślepy kulawego. I dokąd tak dojdziemy?*

— *Panowie mają dziwny punkt widzenia* — sarka gniewnie stary, wyczuwając opozycję.

— *Żadna rewolucja jeszcze się nie udała* — popiera kolegę rumiany, kędzierzawy blondynek.

— *O tak!* — zgadza się skwapliwie ich rozmówca — *ale to przez to, że władzę przejęły jednostki, rządzące się gwałtem. Dlatego my oprzemy się na miłości. Musimy na miłości, bo inaczej zginiemy, tak jak inni...* — tu zaczyna się wykład o Jakobinach, o Dzierżyńskim i Stalinie.

Nagle przerywa:

— *Patrzcie* — zachęca głośno stojących najbliżej — *patrzcie na tego wysokiego, w bieli — to cinkciarz, kanalia spod „Pewexu"! Oni takich werbują, trzeba uważać! Kanalia!!!* — krzyczy już wprost do wysokiego.

Ten oddala się, wzruszając ramionami, co ostatecznie przekonuje gapiów, że był szpiegiem. Nikt nie ma za nim ochoty pogonić, ale świadkowie zdarzenia przyglądają się teraz sobie dziwnie uważnie. Traf chciał, że są to sami pojedynczy faceci, bez rodzin, a zatem — potencjalni szpiedzy. W końcu wszyscy miny mają nietęgie.

Starszy pan nie ustaje:

— *Trzeba wiedzieć, co jest dobre, a co złe. I najważniejsze: co rodzi grzech. Trzeba mu wydać walkę, śmiertelną!* — toczy wokół siebie wzrokiem, nie znajdując tym razem sprzeciwu. Spostrzega więc w oddali milicyjny radiowóz, zaparkowany kilkadziesiąt metrów od bramy.

— *To oni!* — krzyczy.

Dwóch mężczyzn kiwa niepewnie głowami, ale potem znów widać się z nim nie zgadzają, bo po kilku ich cichych zdaniach on nagle wybucha:

— *O, to panowie mają bardzo dziwny punkt widzenia. Ja nie będę z panami dyskutował. Nic, to nie ze mną taka dyskusja* — odwraca się na pięcie, czerwony z irytacji.

Mężczyźni spoglądają na siebie, zawstydzeni. Ludzie, zgromadzeni za barierką, powtarzają głośno *„Ojcze Nasz"*.

Rozmowa z dwóch stron barierki:

— *To co, mieliśmy pracować za darmo?* — rozkłada ręce młody portowiec. Dwie ma słuchaczki: młodszą (pewnie żonę) i starszą, matkę albo teściową. Młodsza kiwa ze zrozumieniem głową. Starsza zaczyna niepewnie:

— *No, że za darmo, to nie przesadzaj. Ja nie mam nawet połowy tego, co ty... Co by było gdybym zastrajkowała* — śmieje się.

— *Nic* — śmieje się chłopak. — *Nic by nie było. Dlatego ja strajkuję za ciebie...*

Śmieją się wszyscy troje.

Sobota, 20.08.1988, godz. 18.

— *Brawa dla rolników indywidualnych!* — ktoś krzyczy na widok „malucha" z przyczepą. Kilkanaście osób klaszcze. Ludzie rozstępują się, łańcuch opada. „Fiat" z wiktuałami wjeżdża na teren portu. Po półgodzinie wyjeżdża — pusty. Pięćdziesiąt metrów za bramą zatrzymuje go milicjant, który wyskoczył nagle z radiowozu. Salutuje. Prosi o dokumenty. Przy bramie poruszenie. Kilkunastu portowców wychodzi przez portiernię, mając wyraźną ochotę podejść do milicjantów.

— *Nie* — powstrzymuje stanowczo brodacz z komitetu strajkowego. — *Nie dajmy się sprowokować. Po co?*

Na piersiach, obok znaczka z Matką Boską, ma zawieszony podłużny, tekturowy kartonik z napisem:

Jestem katolikiem, w razie nieszczęśliwego wypadku, zagrożenia śmiercią — wezwij kapłana".

Poruszenie mija, przed bramą zostają tylko trzy osoby z opaskami. Dołącza do nich czwarta — krępy, starszy pan z miasta, w szarej marynarce.

— *Żal mi chłopaka* — powiada, wpatrując się w „malucha". — *Nie miał jeszcze z nimi wcale do czynienia... Co innego ja — już swoje przeszedłem... Założę się, że ma tęgiego pietra.*

Z bramy wyjeżdża „Ursus" z tabliczką: *„Strajk, zaopatrzenie"* Skręca za bramą w lewo, w przeciwnym kierunku niż „maluch".

— *Tam też jest „Nyska"* — słychać ostrzeżenie.

Po godzinie „Ursus" jest w porcie — z żywnością.

Dwie starsze panie, które powróciły po obiedzie pod bramę rozmawiają o propagandzie.

— *Słyszała pani, jak się ośmieszyli? Mówią, że na redzie stoi tyle statków, i wielki żal o to mają. Ale zapomnieli się, jak mówili, no i — słyszała pani przecież — wydało się, że one stoją puste. Puste — po towar przypłynęły, a nie z towarem...*

— *A co to mówią o stratach, że idą w miliony... Słyszała pani: tyle milionów każdego dnia. To ja się pytam, gdzie te miliony są, gdy port pracuje? Dlaczego nie dać ich ludziom?*

Niedziela, 21.08.1988, godz. 9.

W głębi dziedzińca stoi ołtarz polowy, wybudowany na poczekaju strajku. W jego centrum krzyż wysoki, drewniany, z wyrzeźbionymi słowami: *„Bóg, Honor, Ojczyzna"*. Dziś od rana wokół ołtarza krzątanina: mężczyźni wnoszą stoły, zestawiają je z sobą, kobiety przykrywają stoły obrusem, poniżej ustawiają dzbanuszki z kwiatami, na obrusie stawiają świece — bardzo grube, niskie i żółte.

Na dziedzińcu, przed ołtarzem, czeka od rana aparatura nagłaśniająca. Przewód biegnie prościutko na podium, obok krzyża, skąd będzie mówił proboszcz.

Portowcy, w liczbie kilkuset, ustawili się równym szeregiem z boku, pozostawiając większą przestrzeń dziedzińca wolną. Wygląda to na apel przed bitwą. Za barierką — tłumek gapiów, 200—300 osób, szczelnie oblepiających również ogrodzenie za bramą. Są już księża. Spieszą do ołtarza.

Od barierki, w kierunku krzyża, rusza poczet sztandarowy. Na czele starszy pan w garniturze i pod krawatem. Idzie wolno, unosząc przed sobą krzyż brzozowy, z Chrystusem Ukrzyżowanym. Za nim trójka mężczyzn, przepasanych biało-czerwonymi szarfami. Środkowy dzierży sztandar. Podchodzą do ołtarza, pochylają przed krzyżem sztandar, i wtedy widać przez chwilę wyraźnie orła z koroną. Po drugiej stronie materii wyhaftowano złotymi literami: *„Duszpasterstwo ludzi pracy im. księdza Jerzego Popiełuszki"*.

— *Pod Twą Obronę...* — zaczyna ksiądz.

Mszę celebruje uroczyście. Portowcy ze splecionymi dłońmi. Tłum za barierką wpatrzony w ołtarz. Ksiądz proboszcz czyta list, wystosowany przez biskupa. Niektóre zdania akcentuje silniej, chcąc widocznie, aby na nie właśnie zwrócono szczególną uwagę.

„Szczecin jest jedynym dużym miastem polskim, leżącym na samej granicy. Nikt w Polsce nie jest zobowiązany rozumieć tego tak dokładnie, jak my sami. Obok mieszkają sąsiedzi mądrzy, rozważni, mocni. Bądźmy i my równie mądrzy, równie rozważni, choć — ksiądz zawiesza nieco głos — *nie jesteśmy może tak silni..."*

Potem, gdy skończył czytanie listu, chce jeszcze raz coś podkreślić:

— *Od powietrza, głodu, ognia i wojny... i wojny* — powtarza dobitnie po raz drugi — *wybaw nas Panie!*

— *Od nagłej a niespodziewanej śmierci, zachowaj nas Panie* — powtarza za nim jękliwie tłum.

W pewnym momencie ludzie, chwytając się wzajem za ręce, wznoszą je do góry. Modlą się, trzymając je tak przez dłuższą chwilę wzniesione i połączone.

Po skończonej mszy, gdy na podium poetka Joanna Kulmowa recytuje portowcom „Psalmy", przed barierkę wychodzi rosły brodacz, trzymając plik ulotek. Z miejsca otacza go ze dwadzieścia osób, próbujących wydostać jedną dla siebie.

— *Ludzie, podrzecie!* — śmieje się brodacz. Ale nie daje rady. Klęka, zasłania ulotki wydatnym brzuchem. I w ten oto sposób, spod brzucha, wydostają mu je gapie i rodziny portowców.

Na drugiej stronie ulotki jest o jednej tylko osobie, wchodzącej w skład komitetu strajkowego:

„Przedmiotem szczególnego ataku jest osoba Andrzeja Milczanowskiego — 49-letniego prawnika z ogromnym doświadczeniem życiowym i zawodowym, radcy prawnego Zarządu Regionu „S", propagatora idei samorządu pracowniczego, a obecnie animatora ruchu rejestracji komitetów założycielskich „S". W dniu 13.12.1981 r. został on jednym z przywódców strajku regionalnego, za co otrzymał karę 5 lat więzienia. Rozumiemy, że oficjalna prasa może Go za to wszystko nie lubić".

Ulotki strajkowe rozdawane były tego dnia po drugiej stronie Odry, w centrum Szczecina, przy Bramie Portowej.

Niedziela, 21.08.1988, godz. 14.

Dyrektor przedsiębiorstwa komunikacyjnego w Szczecinie powiedział, że do godziny 14 w niedzielę jest czas, żeby bez dalszych rozliczeń i konsekwencji podjąć pracę. O tej godzinie przed zajezdnią autobusową w Dąbiu panował spokój. Autobusy, ustawione w szeregach, odpoczywały. Na trawnikach biwakowały rodziny. Kobiety z małymi dziećmi podchodziły do płotu, podając je tatusiom, biwakującym w zajezdni. Wjazd był zastawiony przez „Ikarusa". W szybie portierni jarzyły się kolorowe lampki, imitujące klejnoty w aureoli i na płaszczu Matki Boskiej z obrazka.

Poniedziałek, 22.08.1988, godz. 8.

Spokój prysł. W Szczecinie nawet na pobliskim osiedlu „Słoneczne", pojawiły się żółte autobusy, prowadzone przez wojskowych. Przewożą ludzi, za normalną opłatą. W każdym wozie, obok kierowcy, siedzą na przedzie dwaj żołnierze.

Przed budynkiem administracji zajezdni kręci się bezradnie kilkanaście kobiet, które od rana przyszły do pracy. Nie wiedzą, co mają teraz z sobą zrobić. Decydują w końcu, że pojadą na ul. Klonowica, gdzie podobno wyłożono listę dla tych, co chcą pracować.

— *Dlaczego chcę pracować?* — odpowiada niechętnie jedna z kobiet. — *A co nam mogą przynieść te strajki? Ja tam już nie wierzę, że one pomogą.*

— *Niech pan napisze* — zwraca się nagle jej koleżanka, z biura — *o rządzie. Co właściwie robi rząd? Czy my w ogóle mamy teraz jakiś rząd!?*

Poniedziałek, 22.08.1988, godz. 11.

Przed bramą „Łasztowni" nie ma prawie ludzi. Na wszystkich, którzy przystają, porządkowi patrzą z ukosa, niechętnie. Wjazd — zatarasowany przez podnośniki. Przy ogrodzeniu stoją szeregiem „Ursusy". Za nimi ciężkie dźwigi samochodowe.

Przy portierni wisiał dotąd, przez cały czas, komunikat nr 1 o rozpoczęciu strajku. Dziś jest nowsza informacja. Komitet strajkowy podaje, że późnym wieczorem — wobec groźby milicyjnej interwencji — rozpoczęto zastawianie wszystkich wejść do portu ciężkim sprzętem. Kilka zdań poświęca się dyrektorowi: skoro zawiesił działalność portu, sam pozbawił się swojej funkcji. To samo dotyczy dyrektora od komunikacji. Strajk — oświadcza się — będzie wobec powyższego kontynuowany.

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

ze str. 1

idą do usytuowanej w pobliżu stołówki, w której mogą zapisać się na specjalnie wyłożone listy chętnych do roboty. Łapią ich po drodze reporterzy z katowickiej telewizji. Wielu nie reaguje na zadawane pytania, na temat tych, którzy zdecydowali się rozmawiać lecą od bramy, ze strony strajkujących złośliwe docinki.

Msza wciąż trwa. Próbuję wciągnąć do rozmowy tych zza kopalnianego płotu. Odpowiada mi milczenie, czasem pogardliwy uśmieszek, czasem rozmowa przypomina dialog — dwóch „psychicznych":

— *Dlaczego nie prowadzicie rozmów z dyrekcją?*

— *Nie wiem...*

— *A ilu was jest wewnątrz, tak naprawdę?*

— *Nie wiem...*

— *Rzeczywiście nie chcieliście wczoraj wpuścić ratowników na dół?*

— *Nie wiem...*

3.

Wchodzę do głównej portierni straży przemysłowej, w środku kilku dziennikarzy, między innymi z oddziału PAP, jest i Wojtek Wypusz z telewizji. W telefoniczną słuchawkę dosłownie wtopił się Henryk Nykiel z „Trybuny Robotniczej", który, gestykulując ku nam, byśmy siedzieli niczym myszy, „przepytuje" naczelnego inżyniera kopalni — Piotra Lipkę. Notujemy dokładnie telefoniczny przekaz:

— *Istnieje nadal zagrożenie pożarowe i prowadzona jest profilaktyczna akcja przeciwpożarowa, czyli montaż rurociągu podsadzkowego w oddziale G-6, pokład 501, poziom 415, w ścianie 601....*

Inżynier mówi wolno, wyraźnie; niektóre fragmenty powtarza, prosi o przeczytanie notatek. Wie, że strajkujący będą to potem czytać od tyłu i od przodu, nicować każde słowo. W przypadku najmniejszej niezręczności, niedokładności — domagać się sprostowań. Nikt już dziś w tej gorączce nie pamięta tak na sto procent czy poleciało w jednej z telewizyjnych relacji słowo „pożar" czy „zagrożenie pożarowe", a strajkujący natychmiast to wyłapywali, podnosili jako ewidentny błąd w każdej rozmowie. Notują więc każde słowo inżyniera, ja — tylko co istotniejsze kwestie. Dla ich Czytelników i Słuchaczy to pewnie fraszka, ja musiałbym dopiero sam się dowiedzieć cóż oznacza choćby planowne na najbliższą noc *„przemulanie zrobów zawałowych"*. Wiem już, że te prace wykonuje w sumie sześć zastępów ratowniczych: po dwa w „Andaluzji", Stacji Ratownictwa Górniczego w Sosnowcu i kopalni *„Jowisz"*.

4.

Słyszę też, że dziś, w poniedziałek, 22.08.1988 r., do godziny 8 rano przybyło do pracy ponad 1800 pracowników, a na pierwszej zmianie, łącznie z administracją, zatrudnionych być powinno około 2200 ludzi. Inżynier Lipka przekazuje nam jeszcze wiadomość już znaną — nie zostali oni wpuszczeni za bramę i na dole pracuje jedynie 115 pracowników fizycznych i około 20 osób dozoru technicznego...

Wojtek Wypusz sugeruje by inżynier zszedł do nas, do portierni.

— *Mogę już nie wejść z powrotem...* — ripostuje tamten i opowiada, jak to poprzedniego dnia, około godziny 22 w cechowni „Andaluzji" wystąpił przewodniczący Zakładowego Komitetu Strajkowego — Piotr Polmański i stwierdził, iż mimo jego wcześniejszego oświadczenia przed kamerami telewizji, wydobycie nie zostanie w poniedziałek podjęte, ponieważ ich ekspert z Jastrzębia nie może dotrzeć do kopalni.

— *To jeszcze nie koniec* — ciągnie podenerwowany głos w słuchawce — *oni koło północy wysłali po eksperta trzech ludzi, a gdy ci nie wrócili, to po dziewiątej rano ogłosili pełną blokadę kopalni. I twierdzą, że tylko sanitarka może wjechać. Ale napiszcie, proszę wyraźnie, by znów nie było przekłamań: sanitarka, znaczy się z cywilnego pogotowia ratunkowego....*

Chyba już tej blokady nie ma, bo znów widzę, że jacyś pracownicy przechodzą po okazaniu dokumentów przez bramkę. Ale mnie dalej zwodzą, znów po kogoś posłali. Tamten się nie zjawia, powtarza się co chwila imię *„Bazyli"*, ale wciąż stoję pod płotem. W pewnym momencie robi się jakby większy ruch przy wejściu, kilka osób przepycha się na zewnątrz. Krótko ostrzyżony chłopak na płocie szepcze:

— *Z nim godejcie...* — i wskazuje mężczyznę w średnim wieku z poprzetykaną siwizną, bujną brodą. Stawiam wszystko na jedną kartę i atakuję ich własną bronią:

— *Domagacie się swobodnego przepływu informacji a nie chcecie wpuścić dziennikarza... Łódzkie włókniarki wiedzą o was i waszych problemach tyle co z telewizyjnych migawek... Jak wam wystarcza, to powiedzcie to wyraźnie i ja wracam do domu...*

— *Zaraz, spokojnie, puśćcie go synkowie za bramka...*

5.

Ne i wchodzę za metalową furtę, ale tylko parę metrów i znów trwa słowna przepychanka.

— *Przecież możemy spokojnie siąść na kilka minut, wytłumaczycie mi parę spraw, ludzie chcą znać wasze problemy, strajkowe postulaty. Ilu was jest naprawdę, czy kopalnia jest tak zagrożona jak twierdzą w telewizji, czy...*

— *O, ho, ho, nie za dużo by chciał pan wiedzieć? Przecież się w ogóle nie znamy. A może będzie pan przekręcał nasze wypowiedzi tak jak inni?*

— *Sprawdźcie to, właśnie jest okazja!*

— *Mamy złe doświadczenia. A co to w ogóle za tygodnik te „Odgłosy"?*

I w tym momencie z otaczającego nas, kilkudziesięcioosobowego grona strajkujących górników odzywa się jakiś głos:

— *Jo ich znom!!! To jest porzundno gazeta!...*

I zaraz drugi:

— *Jo tyż czytolech! Dobre som!!!*

Głosy niespodziewanych sojuszników wyraźnie obniżają temperaturę dyskusji. Mój siwobrody interlokutor jest jednak nieprzejednany:

— *Być może, jak się zapoznamy bliżej z pań-*

ską gazetą, zobaczymy, może jutro, może w przyszłym tygodniu. Na razie wystarczy.

I grzecznie, acz zdecydowanie prowadzą za furtkę. Niewiele zdziałałem, to fakt. Wracam do Katowic z myślą, że jeszcze raz spróbuję, i to jeszcze dziś. Muszę tylko kupić w mieście parę egzemplarzy „Odgłosów".

6.

Wpadam do katowickiego ośrodka telewizyjnego, gdzie od dwóch dni goszczą mnie i pomagają jak mogą wszyscy z Mirosławem Słomczyńskim — redaktorem naczelnym i jego zastępcą Henrykiem Wawrzyniakiem w pierwszym rzędzie, Janusz Skrzeczyński, Grzegorz Pawełczak, Zbyszek Konarski i wspomniany już Wojtek Wypusz mimo ogromu związanych ze strajkami zadań, dwoją się i troją, by laikowi ze środkowej Polski choć trochę przybliżyć specyfikę Śląska.

Oglądam nie zmontowane jeszcze, a przygotowywane dla „Aktualności" oraz warszawskiego „Dziennika" i „Teleexpressu" relacje sprzed różnych kopalń, rozmowy z górniczymi ekspertami, kierownikami robót górniczych, specjalistami z katowickiej Wspólnoty Węgla Kamiennego. Słucham o zwiększających się stratach, uczę się górniczych zagrożeń, specyfiki wydobycia *„czarnego złota"*. Jeden z rozmówców malowniczo i dosadnie stara się wytłumaczyć mi pierwszą podstawową zasadę pracy każdej kopalni:

— *To jak z samochodem. Jak nie działa, nie pracuje, stoi na kołkach — to niszczeje, rdzewieje, nie? Kopalnia musi żyć, musi iść robota, bo powstają naprężenia, strop gniecie tę pustą przestrzeń. Dochodzą jeszcze zagrożenia metanowe, walczyć trzeba z wodą, wysoką temperaturą, która w środku zwałów może doprowadzić nawet do samozapalenia. Najprostszym wyjściem — jest wybieranie, używanie ściany...*

7.

Teraz dopiero robię notatki z rozmowy, jaką odbyłem przed bramką „Andaluzji". Dwóch starszych górników chętnie ze mną dyskutowało, choć przecież doskonale widzieli, że nietutejszy. Zamilkli jednak, jakby się umówili, gdy wyciągnąłem notes i długopis. Więc szybko sięgam do pamięciowego „komputera":

— *Czymu tyle strajkuje w Jastrzębiu i okolicy? Panie, to nie som górnicy, to „gorole". One tam nie mają żadnej tradycji, wożą ich autobusami i po 150 kilometrów codziennie, bo ludzi do roboty nie ma, a trza fedrować. Kiedyś Jastrzębie to było kilkanaście tysięcy ludzi, teraz ma minimum ze sto tysięcy. To się wszystko jak w garku mieszo, to miejscowe, ale i z Pomorza, Mazur, a jeszcze dojeżdżają i z Żywca, i ze Skoczowa, z Brennej... Jo wiem, mom tam świagra...*

Drugi nie był taki zdecydowany, jednoznaczny w poglądach, ale też odniosłem wrażenie — z niejednego pieca chleb jadł.

— *Niedobre, że to wszystko stoi, że robota nie idzie. Z tymi zagrożeniami to trochę prawdy, co podajom i trochę nie. Czasem takie wyrobisko to i tli się wiele lat i nie przeszkadza w robocie, tamę się stawia, tlen odciąga i dobra. Nie ma co zaraz krzyczeć, że pożar... Na „Morcinku" w Kaczycach trza mocno uważać, bo to głęboka kopalnia, ona prawie pod Olzą i tam mają stale problemy z wodą. Byłem tam kiedyś to mi opowiadali, pompy muszą chodzić cała doba... A syncy rozrabiają, bo by chcieli na kopalni samorządu, a go nie mamy, bo my tino jakby zakład, a decydujom te z gwarectwa...*

8.

Katowickie „telewizory" zapraszają mnie do małej salki, gdzie na profesjonalnym magnetowidzie prezentują różne co ciekawsze *„obrazki"*. Również i te, których *„nie kupiła"* Warszawa. Tam też oglądam między innymi przemawiający do wyobraźni minireportaż Zbyszka Konarskiego, którego górnicy wpuścili jako jedynego bodajże do „Manifestu", zaraz pierwszego dnia. Idzie lekko przerażony szpalerem ludzi, a tłum skanduje: *„Chcemy prawdy, chcemy prawdy!!!"*. Dochodzi do drzwi jakiegoś pomieszczenia, kamera chybocze i — obraz znika. Wyłączono magnetowid, przedstawiciele komitetu strajkowego nie życzyli sobie rejestracji i wyprosili ekipę z kopalni.

Słucham wyważonej wypowiedzi słynnego Jarosława Sienkiewicza, obecnie dyrektora kopalni „Krupiński", który twierdzi, iż co prawda emocje związane z obecnymi strajkami są porównywalne z tymi z roku 1980, ale nie było wówczas mowy, by ludzie nie mogli zejść na dół zabezpieczyć urządzenia.

Grześ Pawełczak przywiózł „obrazek" wielce malowniczy: Oto starszy mężczyzna, w słomianym kapeluszu, bluźniąc niczym przysłowiowy szewc i wywijając wściekle siekierą opowiada, że *„zap... na kopalni 32 lata, tera mom rynta jak smarkaty synek, ani z ni użyje, ani nie ujeżdże i nie strejkuje!...*

Sporo tego materiału zebrali w ostatnich dniach, wystarczyłoby na kilka pełnometrażowych filmów. Ale nie czas na to, wciąż marzy mi się, wykpiwane przez wielu wejście na „Andaluzję". Pędzę do Katowic, bezskutecznie dopytuję się w kilku kioskach o „Odgłosy". Wreszcie — mam: trafiam na parę egzemplarzy na dworcu kolejowym. Aura fatalna. W strugach deszczu (rano ledwie siąpiło) zmierzch zaczyna zapadać dużo wcześniej. Jadę jeszcze raz do Piekar. Pierwsza milicyjna „bramka". Bez kłopotów. Również i na drugiej, gdzie ruchem dyryguje przemoczony milicjant z „drogówki", wystarcza wyciągnięcie dziennikarskiej legitymacji. Biorę gazety pod pachę i pcham się do furtki pilnowanej przez dyżurnych w opaskach. Ludzi po obu stronach płotu znacznie mniej. Deszcz ich wypłoszył, a i wiadomo, że do kolejnego styku zmian nic się zapewne nie wydarzy.

Fedrowanie „na zawał"

9.

Tym razem czekam krócej. W otoczeniu kilku ludzi nadchodzi znów Bazyli Tyszkiewicz, którego mogę chyba uważać za rzecznika prasowego. Pokazuję z daleka, że przywiozłem gazety, ale widzę, że i on... wywija egzemplarzem „Odgłosów".

— *Czytałem, mieli ją ci pańscy „poręczyciele". Ale na rozmowy i wywiady jeszcze za wcześnie, niech pan przyjedzie w przyszłym tygodniu, w poniedziałek.*

— *Dlaczego nie dziś?*

— *Za wcześnie, ta nasza społeczność musi jeszcze okrzepnąć, wybrać swoją reprezentację, by precyzyjnie wyłuszczyć wszystkie swoje żądania i bolączki.*

Widzę, że znów nici z naszej rozmowy. Ilekroć tylko wkraczam na grunt strajkowy, rzecznik uchyla się od odpowiedzi. Przybywa natomiast młodych ludzi, którzy po paru minutach otaczają nas zwartym kręgiem i którzy niespodziewanie włączają się do rozmowy. Mówimy wszak o sprawach, które ich bezpośrednio dotyczą, a bolą chyba mocno, bo kilku już nie panuje nad sobą.

— *Wszyscy krzyczycie, że tyle zarabiamy* — szczupły blondynek z oczami w czarnych obwódkach przepycha się przez tłum kolegów — *to ja mogę powiedzieć za siebie: w lipcu miałem 23 dniówki i dostałem 48 tysięcy złotych. Mom doma „pasek", pokaże. To jest dużo?! Paru może i zarobić powyżej stu tysięcy, jak robią cały miesiąc na okrągło. A byłeś pan kiedy na dole?*

— *Raz w życiu i nie chciałbym tam pracować i za dwieście tysięcy.*

— *Już mamy dosyć tego fedrowania na siłę!* — ten jest zaś chudy, jak szczapa, mówi cicho, ale każde słowo wali niczym kowalski młot — *wybiro się wszysko, filary ochronne tyż, z chytrości, bo to dobry węgiel, koksujący!*

— *A znocie metoda fedrowania „na zawał"?* — pyta ktoryś z tyłu, nawet go dokładnie nie widzę.

— *Nie bardzo, powiem szczerze...*

— *Ano, idzie ściana mechaniczna, drze węgiel, a strop sie za niom wali aż miło. Same niby plusy — mniej ludzi trza, mniej materiału, a wincy urobku w tym samym czasie. Tylko ile zaś po tym tąpnięć, zoboczcie se cały Bytom czy Ruda, a i za „Andaluzją" tyż widać jak się zapado.*

— *U nas i tak mamy duże szanse, byłeś pan kiedy na „Dymitrowie"? To jest dopiero gazowa kopalnia — „trumna"...*

— *Że ludzie tam pracują? To jest to pierońskie kuszenie — pieniędzmi, mieszkaniem, talonem na auto! Jo się chce dorobić, to chyba nie wstyd, co?! Mój starzyk prawie 35 lat robił, a stać go na starego „Trabanta"...*

— *No tak, chyba wystarczy* — siwobrody rzecznik uspokaja górników, bojąc się, że nastroje jeszcze bardziej się rozkręcą. — *Jakby to panu puścili, to i tak będzie duży sukces. I wtedy zapraszamy z gazetą....*

Idę już w kierunku furty ze strajkowymi emblematami, ale raz uruchomioną machinę trudno w sekundę zatrzymać, toteż coraz wśród towarzyszących mi osób słyszę głośniejsze pokrzykiwania.

— *I napisz pan, że ratownik za godzinę w akcji ma 124 złote! A naraża życie!... Może bardziej niż górnik!!!*

— *Wysłali my „pasek" z wypłatą do „Teleexpressu". I co? Powiedzieli, że nie wykorzystają...*

— *Żeby nie soboty i niedziele, to byśmy dziadami byli...*

Szkoda, że do tej bramki tak blisko, jeszcze bym się wielu ciekawych rzeczy dowiedział. Zamykając za mną metalowe drzwi nie ogolony blondyn w swetrze szepnął:

— *A z tym pożarem to była przesada, był nasz ekspert i stwierdził, że nadzwyczajnego niebezpieczeństwa nie ma i prawdopodobnie jutro ściana ma ruszyć....*

Na dzisiaj dość. Czas wracać do domu. Żegnam się z zapracowanymi reporterami telewizyjnymi. Przy kolejnej kawie wspólnie oglądamy jeszcze główne wydanie „Dziennika" i zapowiedź wystąpienia generała Czesława Kiszczaka. Pojadę do Łodzi w nocy. Jeszcze tylko spóźniona kolacja w katowickiej restauracji o nazwie... „Ostrawa".

10.

Wszystkie stoliki zajęte, niemal wszędzie posiłki wzmacniane są sporą ilością wódeczki. A rozmowy, głośne, bo głowy już „parują", obracają się wokół jednego tylko tematu: strajków. Jak długo jeszcze? Co przyniosą, jakie zmiany, a co w hutach? Podobno także inne zakłady w kraju? Mnożą się dociekania, plotki, uzasadnienia i własne pomysły na uzdrowienie gospodarki. Dobrze już wstawiony starszy jegomość w brudnawej koszulce „polo" tłumaczy dwóm innym:

— *Tym młodym synkom w głowie się przewraca, to prawda, ale strajk, to zawsze strajk, znaczy, że coś jest nie w porządku i trza naprawiać, rozmawiać.*

— *Ja się nie dzi... dzi... dziwię* — tłustawy sąsiad zaczyna mieć już czkawkę. — *I jakie oni mają perspektywy?... Wszystko coraz droższe, a widzą co osiągnęli czy ojciec, czy dziadek. My też som ze starego portfela...*

— *Całkiem starego. Może by nam jeszcze dała po jednej półeczce „na borg"?...*

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Miasto, w którym żyjemy.

Na Piotrkowskiej drzewa umierały stojąc

Rozmowa z JANEM DIEHLEM — dyrektorem Wydziału Ochrony Środowiska, Gospodarki Wodnej i Geologii UMŁ.

Foto: Grzegorz Gałasiński

Jest pan dyrektorem Wydziału Ochrony Środowiska, Gospodarki Wodnej i Geologii w Łodzi, czy zamieniłby się pan na takie stanowisko w innym mieście?

— Tak, nie miałbym większych oporów. Choć jeden czynnik wstrzymałby mnie. Jesteśmy chyba jedyną wojewódzką służbą ochrony środowiska, która działa nieprzerwanie od dwudziestu ośmiu lat. W ciągu tego czasu, mimo licznych reorganizacji, udało się utrzymać tę służbę. Gdy tymczasem w latach 1972—80 w wielu województwach służby te likwidowano i reaktywowano dopiero w latach 1982—83.

— Czy to znaczy, że w Łodzi jest mniej do zrobienia, bo więcej do tej pory zrobiono?

— Powszechnie ocenia się, że w Polsce najwięcej problemów w zakresie ochrony środowiska jest na Śląsku. Ale w województwie łódzkim skala trudności jest też szeroka. Chociażby sprawa zaopatrzenia miast, które stanowią 92 procent powierzchni województwa, w wodę i odprowadzenie ścieków. Wskutek położenia geograficznego problem ten jest o wiele trudniejszy do rozwiązania niż na Śląsku.

Zaległości w gospodarce komunalnej sięgają nieraz do połowy XIX wieku. Przestarzała jest struktura przestrzenna centrum Łodzi i miast satelitarnych. Dominuje tu stare budownictwo, w dalszym ciągu brakuje zbiorczego systemu ciepłowniczego.

To, że nasz wydział pracuje tyle lat nie oznacza bynajmniej, że obecnie jest już mniej pracy. Ale dzięki temu posiadamy dobrą dokumentację. A to pozwala utrzymać konsekwentną linię postępowania.

— Nad jakimi problemami z ochrony środowiska pracuje aktualnie pana wydział?

— Jest ich wiele i właściwie od trzydziestu lat te same. Najtrudniejsze i nabardziej zaniedbane w skali województwa są kwestie czystości wód powierzchniowych i budowy oczyszczalni oraz składowanie i unieszkodliwienie odpadów.

W ostatnich 10 latach nie zmienia się stopień zanieczyszczenia powietrza. Przyczyniła się do tego rozbudowa sieci ciepłowniczej i parowej co doprowadziło do likwidacji kotłowni. Problemem pozostaje wciąż brak centralnego systemu ogrzewania w Śródmieściu. Jedynym rozwiązaniem jest przebudowa poszczególnych kwartałów tej części miasta.

— Łódzkie rzeki są po prostu ściekami. Sytuacja ulegnie poprawie, kiedy budowa grupowej oczyszczalni ścieków zostanie skończona. Jaki jest stan budowy?

— Bzura i Ner są zanieczyszczone ponadnormatywnie. Nieco lepiej przedstawia się to w innych rzekach. Oczyszczalnie ścieków potrzebne są w Strykowie, Głownie, Ozorkowie, Rzgowie. A w Polsce brakuje ponad trzy tysiące dużych oczyszczalni. Zakłady przemysłowe powinny posiadać własne oczyszczalnie. Mitem jest jednak, że przemysł najbardziej zanieczyszcza rzeki. Przoduje w tym bowiem gospodarka komunalna. Grupowa Oczyszczalnię Ścieków buduje się pod Konstantynowem od 1976 roku.

— Pierwsze zadanie pierwszego etapu budowy miało być wykonane w 1986 roku.

— Ostatni termin to 30 czerwca 1988 roku. Niestety usterki techniczne popełnione przez wykonawcę powodują, że inwestor nie chce odebrać budowy.

— Inwestycja ta została włączona do centralnego planu inwestycyjnego. Czyżby brakowało pieniędzy?

— Centrum daje miliard. My mogliśmy się postarać i dołożyć jeszcze jeden. Cóż z tego, kiedy wykonawca z trudem przerabia 60 procent z pierwszego miliarda. Brakuje materiałów. Jeśli inwestycja została umieszczona w centralnym planie, to konsekwentnie powinna być też umieszczona w zamówieniach rządowych, co umożliwiłoby otrzymanie potrzebnych materiałów.

— Jakie są dalsze plany? Czyżby remont starej oczyszczalni pod Lublinkiem?

— Temu urządzeniu do oczyszczania ścieków z 1935 roku nie pomoże żaden generalny remont. A remontuje się budynek, bo stanowił on zagrożenie budowlane.

Planuje się natomiast oddanie w 1994 roku drugiego i trzeciego zadania pierwszego etapu, ale wyłącznie dla Łodzi.

— Przez wiele lat prowadzono w Łodzi rabunkową gospodarkę wodami podziemnymi. Wprawdzie zbudowano dwie nitki wodociągu z Zalewu Sulejowskiego i Pilicy do Łodzi. Ograniczono pobór wód podziemnych, jednak straty w wodach górnokredowych i dolnokredowych nie można natychmiast odbudować. Co dalej?

— W 1968 roku nastąpiło apogeum rabunkowej gospodarki. Pobór przekraczał 230 proc. dopuszczalnej wartości wydobycia. Czerpał głównie przemysł. Od 1973 roku przemysł jest zasilany z wodociągu sulejowskiego. W tej chwili poziom wód podziemnych osiągnął wartość bezpieczną dla środowiska. Jest to jeden z wymiernych sukcesów i wynik konsekwentnego działania.

— Za 2—3 lata skończy się miejsce na składanie śmieci na wysypiskach w województwie łódzkim. Władze województw sąsiednich nie wyrażają zgody na składanie śmieci na ich terenie, budowa spalarni jest szalenie droga. Jak pan widzi rozwiązanie tego problemu?

— Jest to problem wszystkich większych miast w Polsce. Jeśli w jakimkolwiek rejonie nie można urządzić wysypiska, ponieważ zagraża ono ludziom, to trzeba wywozić śmieci tam, gdzie nie szkodzą one środowisku. Niestety społeczność tych województw, gdzie można by składać śmieci, nie zgadza się na to. Podobny absurd: nie można budować oczyszczalni ścieków w Strykowie, choć jest ona tam właśnie konieczna, bo miejscowa ludność nie życzy sobie tego. Jest to wykładnik tego, jak polskie społeczeństwo patrzy na ochronę środowiska: — wyłącznie pod kątem własnego nosa.

Jeśli wysypisko jest dobrze eksploatowane, to nie powinno być uciążliwe dla otoczenia. Ale to już sprawa gospodarki komunalnej, której brakuje maszyn, sprzętu i ludzi. Na przykład: pyły z elektrociepłowni nie są szkodliwe, ale powinno się je transportować w stanie uwodnionym, czego się nazbyt często nie czyni. Skargi są więc nie na uciążliwość wysypisk pyłów, lecz na transport, który „zapyla za sobą drogi".

Obecnie powstaje wysypisko w Pałczewie dla Łodzi i Pabianic. Przeznaczone na trzydzieści lat eksploatacji.

Kompostowanie, spalanie i odzysk to jedyne wyjście dla naszego miasta. W 1976 roku wykonano kompleksowy plan unieszkodliwiania odpadów — ile wywieźć, spalić, przetworzyć. Trzeba tylko... wprowadzić w życie.

— W 1964 roku na mieszkańca Łodzi przypadło 29,5 m² zieleni miejskiej. Nie jest to wskaźnik niski, ale... między dzielnicami Łodzi występują duże dysproporcje. Najbardziej ubogie jest Śródmieście, gdzie ze zrozumiałych względów zieleni powinno być najwięcej. Czy władze miejskie widzą ten problem?

— W ciągu czterech ostatnich lat objęliśmy ochroną w województwie wszystko, co było można: ponad 35 tys. ha — to obszary chronione, 4 rezerwaty (w przygotowaniu następne dwa), około 40 obszarów uznanych za parki miejskie, 200 pomników przyrody. Jeśli społeczność sobie życzy, to spółdzielnia ma prawo urządzić tereny zieleni, byleby nie kolidowało to z planem zagospodarowania.

— Władze miejskie powinny się starać o rozrzedzenie zabudowy Śródmieścia, tworzenie klinów zieleni. Dlaczego np.: ma powstać Manhattan C w miejscu, które powinno być wykorzystane jako park czy teren zabaw dla dzieci?

— Niestety zdarzają się odstępstwa od zasad planu zagospodarowania przestrzennego województwa łódzkiego. Głód mieszkaniowy powoduje, że zamiast rozrzedzać zagęszcza się zabudowę miejską, wykorzystując wszystkie możliwe tereny uzbrojone. Zgadzam się, że konieczne jest jednak rozgęszczenie zabudowy Śródmieścia.

— A kwestia zieleni na ulicach? Co roku sadzi się mniej drzew niż się usuwa. Drzewa chorują, sadzi się nieodpowiednie gatunki. Struktura wieku drzew jest też bardzo niekorzystna.

— Potrzebna jest większa operatywność gospodarki komunalnej. Nie można mówić, że brakuje środków. Załatwia się jednak wpierw wszystkie inne potrzeby, potem to co zostanie przeznacza się na zieleń.

— Czy nie można zorganizować akcji zadrzewiania? Czy miasto coś próbuje robić? Dlaczego tylko hamuje się negatywne skutki, a nie poprawia stanu? Np.: ważne arterie tranzytowe nie posiadają pasa drzew.

— Wszystkie społeczne akcje są niezwykle pożyteczne, ale nie zastąpią racjonalnej, fachowej konserwacji.

— A komu przeszkadzały drzewa na Piotrkowskiej?

— One po prostu umarły, tak jak umiera wiele innych drzew wskutek zasolenia. Nie ma kto sprzątać śniegu i sypie się solą. Skutki są oczywiste. Czego się u nas nie robi, żeby zachować czystość: na przykład pod drzewem zabetonowanym łatwiej sprzątać.

— Są gatunki drzew, chociażby jarząbek szwedzki, które świetnie znoszą uprawę pojemnikową.

— To by się udało zrobić, nie ulega wątpliwości. Ale ograniczone środki gospodarki komunalnej powodują, że inicjatywy tego rodzaju wciąż należą do przyszłości.

— W centrum miasta coraz mniej fabryk i kominów, ale nie zlikwidowano wszystkich uciążliwych zakładów. Przykładem tego była sprawa „Delty".

— Było szereg zamierzeń w stosunku do tego oddziału „Delty". W latach sześćdziesiątych miał być przeniesiony. Jednak wszystkie te plany rozwiewały się. Zaproponowaliśmy, by zainstalowano urządzenia ochronne. Ale zakład nie wykorzystał tego. Nie było więc innej drogi tylko likwidacja. I wtedy dostaliśmy wiele listów, żeby zlikwidować inne zakłady. Przecież ochrona środowiska nie może być załatwiona przez likwidację przemysłu. Likwidacja to nie sukces. Sukces to wyposażenie zakładu w takie urządzenia ochronne, by mógł on pracować dalej: wysokosprawne urządzenia odpylające, odsiarczające, modernizacja kotłowni lub podłączenie do sieci centralnej i likwidacja kotłowni. Przykładem takiego właściwego działania jest „Femina". Wszystkie skargi umilkły cztery lata temu, gdy zainstalowano kotły z mechanicznym narzutem paliwa i urządzenia odpylające. Sądzę, że należy karać dopiero wtedy, gdy inne środki są wyczerpane. Koronną zasadą powinna być natomiast współpraca, negocjacje z zakładem. My możemy pomóc, chociażby finansowo.

— Elektrociepłownie EC-1, EC-2 zarzucają Śródmieście olbrzymią ilością pyłów. Czy problem ten z racji kryzysu będzie istniał dalej? Czy władze miejskie szukają jakichś rozwiązań?

— EC-1 stanowi najpoważniejsze źródło zanieczyszczenia w Śródmieściu. Wpływa na to lokalizacja i brak wysokosprawnych urządzeń odpylających EC-2 powstała w latach pięćdziesiątych i ani razu nie zmodernizowała elektrofiltrów. Wskutek czego ich sprawność spadła do 60 procent. Ponieważ elektrofiltr produkowany jest na określoną jakość paliwa, a paliwo jest coraz gorsze więc elektrofiltr „samorzutnie odmawia posłuszeństwa". W przyszłym roku planujemy zmodernizowanie elektrofiltrów w EC-2.

— W 1974 roku w Śródmieściu istniało około 160 tysięcy palenisk domowych, które w sezonie październik — kwiecień emitowały średnio dziennie 206 ton dwutlenku siarki i 90 ton pyłu. Konieczna jest modernizacja. Co robią w związku z tym odpowiednie służby miejskie?

— Sukcesywnie podłącza się te budynki do sieci centralnej. Robią to odpowiednie służby remontowe przy okazji remontu lub podejmuje się takie działania w wyniku naszych propozycji dla właścicieli budynków. Podobnie postępuje się w zakładach, w których likwiduje się kotłownie lokalne. Na razie jest to jedyna droga postępowania.

— W Łodzi co roku przybywa kilka tysięcy pojazdów z silnikami spalinowymi, które stanowią coraz większe obciążenie dla środowiska. Najbardziej poszkodowane jest znów Śródmieście z powodu złego układu urbanistycznego. W tym celu przebudowuje się układ komunikacyjny Śródmieścia. Czy mógłby pan przedstawić wizję rozwiązania tego problemu na ulicach: Jana Kilińskiego, Zachodniej, Stefana Jaracza, Rewolucji 1905 roku, ale! Tadeusza Kościuszki, Obrońców Stalingradu?

— Jednoznacznie zlikwidowałoby ten problem metro. Ze względu na układ komunikacyjny metro w Łodzi powinno być wcześniej niż w Warszawie. Projekty są już daleko posunięte.

— A wykonanie?

— ...

— I ostatnie pytanie. Wielu łodzian zainteresuje zapewne, czy istnieje realna szansa uczynienia z ulicy Piotrkowskiej na odcinku plac Wolności — aleja Adama Mickiewicza, strefy ruchu bezkołowego. Myślę o Piotrkowskiej jako centrum handlowo-turystycznym z prawdziwego zdarzenia.

— Jest to możliwe i istnieją takie projekty. Największą trudność stanowi przebudowa uzbrojenia i konieczność stworzenia możliwości zaopatrywania sklepów od ulic: Tadeusza Kościuszki, Zachodniej, Henryka Sienkiewicza i Wschodniej.

— Życzę, aby wszystkie te projekty jak najszybciej zostały wykonane.

Rozmawiała:
JOLANTA POL

■

CO PRZESZKADZA REFORMIE?

Widmo upadłości?

Wprowadzenie do systemu funkcjonowania gospodarki zasady samofinansowania rodzi problem upadłości (bankructwa) przedsiębiorstw, które nie potrafią podołać wymaganiom efektywnego gospodarowania. Upadłość jest skutkiem konsekwentnego egzekwowania rygorów samofinansowania przedsiębiorstw.

W dotychczasowej praktyce reformowania gospodarki polskiej można zaobserwować nazbyt liberalne podejście banków i centralnych decydentów do zasady samofinansowania przedsiębiorstw. Wiele przedsiębiorstw reprezentujących czołowe gałęzie naszego przemysłu, takie jak przemysł stoczniowy, chemiczny węglowy i hutnictwo, korzysta z parasola ochronnego budżetu państwa i rozlicznych ulg fiskusa. Funkcjonują również w polskiej gospodarce przedsiębiorstwa, które doskonale przystosowały się do wymogów samofinansowania, osiągając bez pomocy państwa wysoki poziom rentowności. Wśród tych przedsiębiorstw są niestety i takie, które wysoką rentowność zawdzięczają pasożytniczym praktykom: dyktują odbiorcom wysokie ceny, narzucają warunki kontraktów, stosują tzw. sprzedaż wiązaną itp. W warunkach głębokiej nierównowagi rynkowej i pozycji monopolistycznej wielu producentów zasada samofinansowania przybiera często charakter pozorny; przedsiębiorstwa wygospodarowują wysokie zyski nie drogą poprawy efektywności, lecz poprzez manipulacje cenowe, asortymentowe itp.

W Polsce od 1983 r. obowiązuje ustawa sejmowa o poprawie gospodarki przedsiębiorstwa państwowego oraz o jego upadłości. Jest to akt prawny o istotnym znaczeniu dla mechanizmów reformy, ale akt, jak dotychczas, w znacznej mierze martwy. Regulacje zawarte w tej ustawie wykorzystano w mikroskopijnej wręcz skali, przeprowadzając upadłość kilkunastu firm budowlanych, spółdzielni rolniczych, drobnych zakładów przemysłowych itp. Od kilku lat prowadzony jest wykaz przedsiębiorstw, które utraciły zdolność do samofinansowania.

Przykładowo w 1986 r. 537 przedsiębiorstw (w tym 165 spółdzielni) znajdzie się w tarapatach finansowych i we wszystkich przypadkach bank wypowiadał umowy kredytowe, uzależniając dalsze kredytowanie od podjęcia postępowania uzdrawiającego. Do końca 1986 roku działania uzdrawiające podjęło zaledwie 200 przedsiębiorstw państwowych (z tego tylko 21 zrealizowało swoje programy uzdrowienia). Zdecydowanie negatywnie należy ocenić fakt, że 65 przedsiębiorstw odzyskało zdolność kredytową w wyniku umorzenia obowiązkowych obciążeń z tytułu opłat na PFAZ. Z przytoczonych danych można wyciągnąć wniosek, że ustawa o poprawie gospodarki przedsiębiorstwa i jego upadłości jest na razie papierowym tygrysem.

Upadłość przedsiębiorstw, które nie potrafią sprostać wymaganiom konkurencji i efektywności nie należy traktować jako celu samego w sobie. Selekcja przedsiębiorstw polegająca na eliminowaniu z gry rynkowej jednostek nieefektywnych, produkujących wyroby przestarzałe i promowaniu jednostek prężnych i innowacyjnych jest zdrowym procesem ekonomicznym, noszącym w pewnym sensie cechy darwinizmu ekonomicznego. W warunkach, kiedy w gospodarce panuje bezruch, kiedy wszystkie istniejące przedsiębiorstwa są „dobre i użyteczne" bez względu na ich rentowność, nie ma przesłanek postępu ekonomicznego, dynamizmu i innowacyjności. Doświadczenie krajów wysoko rozwiniętych niezbicie dowodzi, że postęp ekonomiczny jest efektem procesu dialektycznego, którego istotą jest rozpad przedsiębiorstw nieefektywnych i powstawanie przedsiębiorstw nowych, zdolnych do rozwoju zgodnego z wymogami współczesnej rewolucji naukowo-technicznej. Nasza gospodarka pozbawiona jest tego ozdrowieńczego procesu, co stanowi jedną z zasadniczych przyczyn braku postępu w modernizacji struktury gospodarki narodowej.

Czy można spodziewać się istotnych zmian w podejściu do problemu przedsiębiorstw nieefektywnych, zasilanych od lat dotacjami, pozbawionych perspektyw rozwojowych? Nadzwyczajne pełnomocnictwa rządu przewidują przyspieszenie likwidacji przedsiębiorstw, które charakteryzują się niską i spadającą rentownością, wysokim (przekraczającym 70 proc.) stopniem zużycia aparatu produkcyjnego i niskim jego wykorzystaniem, a także wysoką energochłonnością i materiałochłonnością wytwarzania.

Rząd opracował listę około 140 przedsiębiorstw, których kondycja ekonomiczna jest zła i nie rokuje nadziei na uzdrowienie. Na liście tej, która z pewnością będzie korygowana, znajdują się takie firmy jak **Pafawag, Solvay z Krakowa, Lubelsko-Chełmskie Gwarectwo Węglowe, Cementownia Goleszów** etc. Z informacji rządowych wynika, że dalsze losy niektórych deficytowych hut żelaza i stoczni będą analizowane oddzielnie. Można domniemywać, że zgodnie z wieloletnią tradycją przedsiębiorstwa reprezentujące te dwie branże zostaną potraktowane z całym szacunkiem, czyli ulgowo. Niedawno przecież w czołowych hutach i stoczniach, pomimo złych wyników ekonomicznych i dużych zaległości w świadczeniach podatkowych (Stocznia im. Lenina) wymuszono w drodze strajku podwyżki wynagrodzeń. Stanowi to przykład, że w naszej gospodarce nadal występują silne elementy księżycowej ekonomii.

Dotychczasowe skromne działania rządu polegające na likwidowaniu przedsiębiorstw, których dalsze istnienie nie ma sensu ekonomicznego spotyka się z oporem i protestami zagrożonych przedsiębiorstw i sił społecznych funkcjonujących w tych jednostkach (partii, związków zawodowych). Pojawiają się nawet alarmujące głosy, że widmo upadłości krąży po polskim przemyśle. Argumenty wysuwane przeciwko upadłości przedsiębiorstw trącą zwykle demagogią. Najczęściej formułowanym argumentem jest interes załogi, tradycja zakładu i groźba powstania bezrobocia w danym regionie, mieście czy miasteczku. Oprócz tego adwersarze upadłości przedsiębiorstw wytaczają grube działa w postaci argumentu, którym jest interes gospodarki narodowej. Znaczy to, że po zlikwidowaniu kulawego przedsiębiorstwa powstanie luka w produkcji określonych towarów, której nie można będzie zapełnić importem z powodu olbrzymiego zadłużenia kraju. Wspomnieć również trzeba o powoływaniu się na konstytucyjne prawo do pracy, które jest jakby gwałcone poprzez fakt likwidowania jakiegoś przedsiębiorstwa. Odruchom tym towarzyszy jednocześnie nieznajomość mechanizmu i form przejawiania się upadłości przedsiębiorstw. Na tym tle rodzą się prymitywne argumenty, w rodzaju groźby bezrobocia, zamachu na prawo do pracy itp. Prawda zaś jest taka, że upadłość określonego przedsiębiorstwa lub grupy przedsiębiorstw wcale nie musi pociągać za sobą powstania armii bezrobotnych. Możliwych jest kilka wariantów dalszego losu upadających firm. Mogą one zostać wchłonięte (tzw. fuzja) przez firmy dobrze gospodarujące i przekształcają się wówczas w jeden z zakładów czy wydziałów dużego przedsiębiorstwa. Innym rozwiązaniem jest wejście upadającego przedsiębiorstwa w spółkę z innym podmiotem gospodarczym lub też dokonanie podziału nieefektywnego kombinatu czy przedsiębiorstwa wielozakładowego na mniejsze samodzielne jednostki. W każdym z tych rozwiązań wykorzystane będą środki materialne i pracownicy likwidowanych przedsiębiorstw. Oczywiście należy liczyć się z tym, że nowy właściciel może zrezygnować z części aparatu wytwórczego i części załogi. W takich przypadkach niezbędne jest uruchomienie systemu przekwalifikowania kadr. Zważywszy, iż na polskim rynku pracy podaż miejsc pracy znacznie przekracza liczbę chętnych do jej podjęcia, nie należy obawiać się groźby powstania bezrobocia. Z tego i innych względów widmo upadłości przestaje być groźne.

A swoją drogą można mieć wątpliwości, znając dotychczasowy brak konsekwencji w reformowaniu gospodarki, czy władza centralna zrealizuje zapowiedzi dotyczące eliminowania z życia gospodarczego przedsiębiorstw nieefektywnych.

WITOLD KASPERKIEWICZ

■

Jest człowiek, a formalnie go nie ma

Pasiak i dżins

PAWEŁ TOMASZEWSKI

1.

Powiedziała wszystko jak na spowiedzi, w pierś się uderzyła. Święta nie jest, wie i potrafi to przyznać, ale żeby tak...

— *No, niech pan sam powie, czy tak można?*.

Oczywiście, że można. Jeszcze jak można. Na pochyłe drzewo i kozy skaczą. Ale czy rzeczywiście nie dało się jakoś inaczej?

Powiedziała, że chce tylko normalnie żyć, mieć dom, a w nim — dzieci. Niewiele więcej. Nie można przecież w nieskończoność cierpieć za to, że się kiedyś zbłądziło. To nieludzkie.

Normalnie żyć.. Gdyby dziesięć lat temu ktoś jej powiedział, co ją czeka, nie uwierzyłaby ani jednemu słowu. Skądże! Zupełnie inaczej to sobie wyobrażała, o czym innym marzyła. Ale marzenia, mozolnie szyte na miarę dziewczyny z małego miasteczka, pewnego dnia zaczęły rozpadać się w palcach jak zleżały na strychu ludowy pasiak.

2.

Pewnego dnia bowiem pojawił się Marcello, Ekwadorczyk z Łodzi, który bardzo chciał w Polsce zostać lekarzem. Piękny był, dżinsowy. A że dżins nie pasował jakoś do jej pasiaka, musiała dokonać wyboru. Wybrała dżins. Kochała się z nim przeglądać w oczach innych dziewczyn. Wiedziała, że zazdroszczą. Bo naprawdę tak piękny był, że aż się miękko robiło. Myślała, że do szczęścia to wystarczy. Głupia koza. To znaczy raczej czuła, bo gdyby rzeczywiście myślała...

Myśleć zaczęła dopiero wtedy, kiedy zorientowała się, że jest w ciąży. Różnie myśleć. Bo tak: chciała urodzić to dziecko, jego dziecko, a z drugiej strony... Dlatego kiedy się znów spotkali, nie miała odwagi mu powiedzieć. Bała się usłyszeć, że jego to nic nie obchodzi. A gdyby nawet, to co — zostanie w Polsce?, ożeni się z nią?, albo zabierze do tego Ekwadoru?

Na następne spotkanie już nie poszła, choć byli umówieni, a on nie odezwał się więcej. Pewno znalazł sobie inną. Gdyby naprawdę kochał, dałby chociaż jakiś znak, zostawił wiadomość, gdzie go szukać po wyjeździe z Łodzi. Zresztą ona też już wkrótce miała innego, swojaka z drugiej ulicy. Z widzenia znali się od dawna, ale nigdy nie chodzili ze sobą. Teraz, kiedy przyjrzał się jej bliżej, spodobała mu się... I wet z tym brzuchem. On jej zaś... wydał się niezgorszym kandydatem na męża. Do pasiaka w każdym razie pasował, choć jako mężczyźnie gdzie mu tam było do Marcella.

Ślub odbył się w miesiąc po urodzeniu Emilki. Umówili się, że nikt nie będzie wiedział, że to nie jego córka. Tak lepiej i dla niej i dla niego i dla dziecka. Póki mała, niech myśli, że tatusiem jest Jacek. A potem... Potem się zobaczy.

Małą najba dziej zachwyceni byli rodzice młodej matki. Mąż — jakby mniej. Coraz mniej. Wreszcie — wcale. Dręczyła go świadomość, że to jednak nie jego, że nie jest prawdziwym ojcem. Znowu więc zaczął pić.

— Znowu?

— *Tak. Tylko że ja wtedy jeszcze nie wiedziałam, że jest alkoholikiem. Ukrywał to przede mną. Jego rodzice — też. Przed ślubem nie pisnęli ani słówkiem. A on już wtedy się leczył. Później patrzę kiedyś — tabletki zawinięte w papierek, bez nazwy. Na co to, pytam. Na wątrobę, mówi. Od kiedy ty masz chorą wątrobę? W końcu przyznał mi się, że to anticol. Obiecywał, że już więcej nie wróci do nałogu. Gdzie tam. Na wątrobę, mówi. Od dnie go nie było. A jak przychodził — awantury, bijatyki.. Czy pan wie, że kiedy urodził się Kamil, nie miał mnie kto odebrać ze szpitala? Kochający mąż i tatuś!*

— A pani kochała męża?

— *No... Prawdę mówiąc, to było bardziej małżeństwo z rozsądku.*

3.

Z rozsądku wziął się też Kamil. Przynajmniej do pewnego stopnia, gdyż Ewa uznała, że jeśli da Jackowi drugie dziecko, jego dziecko, i wilk będzie syty i koza cała. Mimo wszystko, zależało jej na uratowaniu tego związku. Było już jednak za późno. Jacek coraz bardziej pogrążał się w wódce, a i do roboty — okazało się — lewy był. Jak go wyrzucili za picie na terenie spółdzielni, wcale nie kwapił się do poszukania sobie nowej pracy. Nie interesowało go to zbytnio. W ogóle coraz mniej go interesowało — oprócz alkoholu. Straciwszy cierpliwość i nadzieję, po trzech latach małżeństwa Ewa złożyła w sądzie pozew o rozwód.

Sprawa ciągnęła się półtora roku. Dosyć długo, bo najpierw on nie chciał zostać sam, a potem — wysuwał pod jej adresem coraz to nowe zarzuty: że źle się prowadzi, że niedostatecznie zajmuje dziećmi, nie dba... Ona była nieugięta: ma dość pijaka, awanturnika, nieroba, a poza tym i tak już właściwie od dawna mieszka z dziećmi u rodziców.

Wziąwszy pod uwagę wszystkie okoliczności, sąd rozwiązał małżeństwo Ewy i Jacka, po równo obciążając ich winą za jego rozpad, opiekę nad dziećmi zaś powierzył dziadkom, co było równoznaczne z ograniczeniem praw rodzicielskich. On przyjął to jako dopust Boży. Ona — jako karę za nie popełnione grzechy. Odebrano jej dzieci... To znaczy, odebrano na papierze, bo w rzeczywistości niewiele się zmieniło: wciąż była z nimi u rodziców. Do siebie nie chciała wracać, a i nie bardzo mogła, gdyż były już mąż wymienił zamki w drzwiach mieszkania, w którym nadal oboje byli zameldowani.

Poszła z tym na milicję, bo jakimże prawem to zrobił? Oczywiście — bezprawnie! Ale stróże porządku publicznego umyli ręce: nieporozumienia rodzinne, to nie ich sprawa. Dużo ważniejsze mają teraz na głowie. Jak chce, niech idzie z tym do sądu.

Niemile zaskoczona, machnęła ręką: po co zaraz do sądu, skoro po prawdzie i tak tam nie mieszka. Później jednak zaczęła się zastanawiać — a właściwie dlaczego nie mieszka? Przecież mogłaby, tym bardziej, że były mąż, podobnie jak ona, siedział głównie u matki, a dwa pokoje z kuchnią stały puste. Szkoda więc, żeby tak stały.

4.

W tym samym mniej więcej czasie, a może nieco wcześniej Ewa wpakowała się w kolejną kabałę.

— *Zrobili ze mnie alkoholiczkę, uwierzy pan?*

— Kto zrobił?

— *Opieka społeczna. Przyszli zobaczyć, jak dzieci mają, pytali rodziców o różne takie, no i między innymi, czy nie nadużywam alkoholu. Pewnie, że piję, mówi na to mój ojciec, bo coś był wtedy na mnie cięty. I faktycznie, zaraz po rozwodzie trochę sobie za dużo pozwalałam. Byłam załamana tym wszystkim. Ale szybko się otrząsnąłem. Było, minęło. Każdemu może się zdarzyć. A oni od razu: jak piję, to na leczenie! W ogóle nie chcieli mnie wysłuchać.*

Najpierw sprawa trafiła do psychologa w poradni przeciwalkoholowej. Wyjaśniła mu jak było: że ojciec powiedział w gniewie, że nie jest notoryczną pijaczką, i że najlepiej, jeśli zapytają mamę. Ona może poświadczyć. I przyniosła nawet od mamy takie poświadczenie. Myślała, że to wystarczy, tak jak przedtem wystarczyła opinia ojca. No i tak też mówił psycholog. Aż tu nagle w pół roku później — wezwanie do sądu, który kieruje ją na przymusowe leczenie. Dowiedziała się, że można odwołać się do biegłego. Skierowano ją do szpitala psychiatrycznego na konsultację. Pojechała z nadzieją. Wróciła kompletnie załamana. Bo nie dosyć, że znów nie chciano jej uwierzyć, to jeszcze potraktowano tak, jakby była niespełna rozumu. Nawet jej dobrze nie zbadali. I to kto — lekarze. Ci którzy powinni pomagać.

Na następną rozprawę zabrała starszą siostrę — mieszka z mężem i dziećmi w tym samym domu, co rodzice — żeby powiedziała sądowi, jak jest naprawdę. Gdyby była bardziej przewidująca, podałaby też na świadków sąsiadów, każdego, kto ją zna. Ale skąd mogła wiedzieć, że sąd także z siostry zrobi pijaczkę? Popłakała się, biedna, po powrocie do domu.

I tak chcąc nie chcąc, rozpoczęła wreszcie to leczenie. Pomyślała, że zaszkodzić chyba nie zaszkodzi, tylko dodatkowy kłopot, bo dwa razy w tygodniu trzeba biegać do poradni. Pobierze trochę te tabletki, a potem wszystko się wyjaśni. Trudno: gdyby kózka nie skakała.. Ale poszła kiedyś i patrzy — w poczekalni prawie same znajome gęby. Z sąsiedztwa, z ulicy, ze sklepu... „*Dzień dobry*". „*Dzień dobry*". „*A co pani tutaj robi?*" Oblała się rumieńcem ze wstydu, pod ziemię chciała zapaść. Więc to tak wygląda to anonimowe leczenie! Czysta parodia. Natychmiast zrozumiała, dlaczego niektórzy tak się przed tym bronią i... dołączyła do ich szeregów. Niech się dzieje, co chce.

Na przymusowe leczenie skierował Ewę ten sam sędzia, który wcześniej prowadził jej sprawę o podział majątku. Majątek nie był zbyt wielki, bo czego można się dorobić przez trzy lata w Polsce Ludowej, ale to mieszkanie... Miała nadzieję, że mimo wszystko jej się dostanie. Mimo wszystko, ponieważ były mąż mieszkał w nim jeszcze w kawalerskim stanie, kiedy głównym najemcą był jego brat. Brat wyprowadził się do innego miasteczka, zostawiając lokal Jackowi, a po ślubie ona się wprowadziła.

5.

Sąd zważył na to i mieszkanie w całości przyznał Jackowi. Ona — na pocieszenie — miała dostać meble. Usłyszawszy o tym, ujęła się honorem i demonstracyjnie zrezygnowała z tego „bogactwa". Po pierwsze dlatego, że i tak nie miałaby ich gdzie wstawić. Po drugie zaś — że ledwo już się trzymały. Regał porozbijany, dziury od papierosów w kanapie i fotelach. Nie, nie chciała jałmużny. Także dlatego, że właśnie ona wzięła niegdyś pożyczkę na te meble i spłacała ją nawet kiedy mąż nigdzie już nie pracował.

Ewa jest przekonana, że wyrok i w tej sprawie był wymierzonym w nią ciosem. I to nie tylko — że po mężu i dzieciach w stosunkowo krótkim czasie straciła również dom, ale przede wszystkim — że pozostając bez samodzielnego mieszkania nie ma zbyt dużych szans na unormowanie sobie życia. Bo tak: co prawda mieszkanie przegrała, ale ciągle była w nim zameldowana, czyli teoretycznie ma jednak gdzie mieszkać, a jak ma, to zastępczego nie dostanie. No, chyba że były mąż założy w sądzie sprawę o eksmisję. Tymczasem były mąż nie dosyć, że zalegał z alimentami na dzieci i ze spłaceniem jej (rekompensata za odebranie jej praw do mieszkania), to o eksmisji też ani myślał. Śmiał się tylko, gdy go kiedyś o to zapytała, że przyszła koza do woza. Bo po co mu ta eksmisja, jak ona i tak dobrowolnie siedzi u matki. Proszę bardzo, jeśli tak bardzo jej zależy, to niech się tam od razu przemelduje i — po kłopocie.

Oczywiście mogłaby tak zrobić, to prawda, ale ani ona nie chciała, ani mama, a poza tym wtedy to już absolutnie nie miałaby co marzyć o własnym kącie, gdyż... warunki za dobre. I jeśliby nawet zapisała się do spółdzielni, to jako osoba samotna musiałaby czekać pewno ze dwadzieścia lat. W każdym razie zawsze byłaby na szarym końcu.

Co innego, gdyby odzyskała pełnię władz rodzicielskich. Z dnia na dzień stałaby się samotną matką wychowującą dwoje dzieci, a to automatycznie przesunęłoby ją na początek w każdej kolejce po każde mieszkanie i wkrótce coś tam by zapewne dostała. Nic prostszego. Tyle że kiedy pierwszy raz złożyła wniosek o przywrócenie jej tych praw, sąd natychmiast go odrzucił między innymi z powodu... braku samodzielnego mieszkania.

— *Widzi pan, jakie są te nasze przepisy?! Jak wyciąga się do ludzi rękę? Obłędu można dostać albo naprawdę zacząć pić na umór z rozgoryczenia. A jeszcze jak się człowiek spotka ze złą wolą, złośliwością czy obojętnością...*

Spotykała się z tym już nie raz. Właściwie ciągle się spotyka, bo tak naprawdę, to nikt nie chce jej pomóc. Pani doktor, u której była ostatnio, przyznała, że może rzeczywiście nie jest alkoholiczką, nie musi zażywać anticolu, ale — obowiązuje wyrok sądu i bezradnie rozłożyła ręce. Pani kodmak współczuła jej z powodu zalegania byłego męża ze spłatą, bo to i złamanie prawa i pieniądz już nie ten, co przed paru laty, nawet z naliczonymi odsetkami za zwłokę, ale — były mąż nigdzie przecież nie pracuje, więc jest niewypłacalny. Powiedziała, że trzeba jeszcze poczekać.

Poczekać? Jak długo? Chyba dosyć się już naczekała. I nie chodzi tu wcale głównie o pieniądze. Z tymi, choć zawsze ich mało, w sumie najmniejszy kłopot. Póki zdrowie dopisuje, zawsze można zarobić, a ona pracy się nie boi i gotowa przyjąć każdą, nawet najgorszą, jeśli będzie trzeba. Na rzecz mą niezłą, chociaż piją mało. Tylko że za pieniądze wszystkiego nie kupi. A już na pewno tego, na co mija czas.

6.

Ewa wdzięczna jest matce, że wzięła na siebie ciężar wychowywania jej dzieci, ale wolałaby sama, choć oznaczałoby to znaczne ograniczenie swobody, z której czasem — co tu dużo mówić — korzysta. Jest jeszcze przecież młoda — mówi — i coś się jej od tego życia należy. Na zakonnicę zadatków nigdy nie miała. Ale matka, mimo że bardzo kocha wnuki, jest już nimi zmęczona. Ma też swoje metody wychowawcze, które ona nie zawsze akceptuje i bywa — jak to w rodzinie — że nieraz dochodzi do ostrej wymiany zdań. Nieraz trzaska wówczas drzwiami ze złości i na parę godzin wychodzi, aby się uspokoić. Potem znowu się godzą, zapominają. I dla nich obu byłoby to może nawet do zniesienia, gdyby nie fakt, że dzieci gubią się w tym wszystkim, nie wiedzą, kogo mają ostatecznie słuchać — babci czy mamusi — i powoli tracą z nimi emocjonalny kontakt. A przecież jest też jeszcze tatuś, którego również czasem odwiedzają... Nie oddziałuje to najlepiej na ich psychikę, nie ułatwia i tak już trudnego dzieciństwa.

Babcia coraz bardziej traci siły, co widać szczególnie od momentu, kiedy została wdową. Chciałaby na starość choć trochę spokoju. Jacek nie przejawia najmniejszej ochoty, aby odzyskać pełnię władz rodzicielskich, a w każdym razie nic w tym kierunku nie robi. Ewie odmówiono już kilkakrotnie — za każdym razem głównie z powodu braku mieszkania. Co będzie dalej? Aż strach pomyśleć. A sytuacja staje się coraz bardziej skomplikowana.

7.

Mniej więcej rok temu były mąż Ewy udał się niespodziewanie do Urzędu Miasta i powiedziawszy, że od dosyć dawna już mieszka faktycznie sam, załatwił jej wymeldowanie. Dokąd? Donikąd! Można by rzec — na ulicę.

Gdy się o tym dowiedziała, poszła do meldunkowego z awanturą. Kazała sobie pokazać przepisy, domagała się anulowania decyzji o wymeldowaniu. Bez żadnego skutku. Urzędniczka była nieczuła i niewzruszona: jak nie przebywa, to można wymeldować. Takie jest prawo. A reszta jej nie obchodzi.

Niewiele również dały interwencje w Komitecie Miejskim partii, a zastępca naczelnika miasta, jakkolwiek przyznał, że nie słyszał dotychczas, aby ktoś na jego terenie nie był nigdzie zameldowany, też decyzji nie cofnął, a jedynie poradził, żeby złożyła podanie o przydział jakiegoś zastępczego lokalu. Kiedy się coś zwolni, zostanie rozpatrzone, choć trudno na razie powiedzieć z jakim skutkiem, a tym bardziej coś obiecywać, bo potrzebujących jest w miasteczku wielu. Nawet w województwie umyli zgrabnie ręce, mimo że sprawdzili w przepisach, iż wymeldować donikąd można dopiero wtedy, gdy ktoś nie tylko długo nie przebywa w miejscu zameldowania, ale też zniknął i nie sposób go odnaleźć.

— *A ja, panie redaktorze, nigdzie nie wyjechałam, nie zaginęłam. I w meldunkowym dobrze wiedzą, gdzie mnie szukać, bo jak kiedyś byłam im potrzebna, potrafili przyjść do matki i zapytać. Teraz pani tłumaczyła się, że wysłała do mnie pisemko na adres, który mam w dowodzie, tylko że ja go nie odebrałam. A jak miałam odebrać, skoro mnie tam nie ma, a poza tym, jak panu mówiłam, były mąż wymienił zamki. No, niech pan powie, czy tak można?*

Z barwnego, pięknego niegdyś pasiaka pozostały już tylko strzępy. Pozostały też dżinsowe wspomnienia.

Mówi: Krzysztof Cwynar

— **Jak to się stało, że został pan jurorem Konkursu Miss Polonia '88?**

— Brałem udział w dużej imprezie artystycznej w Wilnie, której organizatorem była redakcja „Expressu Wieczornego", jak wiadomo organizator Konkursu Miss Polonia i wtedy otrzymałem taką propozycję.

— Czy naprawdę zna się pan na urodzie pań?

— Sądzę, że znam się na kobietach nie mniej niż inni panowie. Zawsze preferowałem blondynki i nawet przefarbowałem żonę z ciemnej na jasną, a teraz okazało się, że odstąpiłem od tego.

— Co powiedziała żona na pana rolę jurora w Konkursie Miss Polonia '88?

— Powiedziała, że chyba ktoś mi robi kawał. Uwierzyła dopiero czytając „Express Wieczorny".

— Według jakich kryteriów ocenialiście kandydatki?

— Nie narzucano nam żadnych warunków oceny. Jury zauważyło tylko, że dziewczęta zachowywały się i mówiły bardzo podobnie, tak jakby ktoś panował nad nimi na zgrupowaniach, jakaś silna indywidualność. Widać było tresurę. Staraliśmy się je odprężyć. Czego nie robili prowadzący imprezę pesząc dziewczęta.

— Nie było żadnych nieporozumień przy sumowaniu ocen?

— Wszystkie były na równych prawach. Wybór piątki też nie określał punktacji i w związku z tym Bożena Brożyna, wywołana jako druga, była przekonana, że kandyduje do tytułu I wicemiss, stąd jej wielkie rozczarowanie, gdy przy ostatecznej punktacji zdobyła dalsze miejsce, mimo że np. w moim notowaniu była druga.

— Jurorzy byli zgodni w ocenach?

— W jednej trzeciej tak, ale co do pierwszego miejsca byliśmy jednomyślni. Pewne rozbieżności dotyczyły kolejności wicemiss, ja preferowałem łodziankę, inni warszawiankę, ale najwięcej kolegów głosowało na gdańszczankę Różę Gołasiewicz.

— Był pan obecny na balu koronacyjnym?

— Tak. Bal został zorganizowany w hotelu „Gdynia" w sali restauracyjnej i nocnym klubie. Miss otrzymała futro z szynszyli i swoim wdziękiem górowała nad miss świata i miss Polonia '87, które nie odstępowały jej ani na krok. Byliśmy świadkami popisu kulinarnego, a serwowane dania zaskoczyły uczestników balu. Nie można zapomnieć o bardzo dobrej orkiestrze „Żuki" z Bydgoszczy. Była loteria z bardzo cennymi nagrodami ufundowanymi przez sponsorów konkursu. Bal trwał do 6 nad ranem i określono go jako wielki pokaz damskiej i męskiej mody. Najskromniej była ubrana miss świata.

— Wszyscy czekali na jakiś skandal, choćby maleńki skandalik. Czy naprawdę wszystko było w takim porządku?

— Jak dowiedziałem się od dziennikarki z łódzkiej TV Ewy Bratoś owym skandalem był ten, który go najbardziej poszukiwał, czyli tegoroczny rzecznik prasowy Janusz Atlas, zachowujący się w taki sposób, że większość dziennikarzy obraziła się i opuściła konferencję prasową z miss Polonią, która trwała 4 minuty i 36 sekund. Tego rzeczywiście jeszcze nie było.

— Wcześniej brał pan udział w innym festiwalu w roli uczestnika?

— Reprezentowałem Polskę na Międzynarodowym Festiwalu Piosenki „OIRT" w Albenie (Bułgaria). Mój występ z trzema piosenkami w aranżacji Henryka Wojciechowskiego oceniono wysoko, otrzymałem zaproszenie na tournée po Bułgarii.

— Dlaczego nie oglądamy pana na krajowych festiwalach piosenki?

— Myślę, że nie bardzo jest komu proponować mi udział w danym festiwalu, bo imprezy te stały się w Polsce bardzo hermetyczne.

— Nie zmienia pan sposobu śpiewania, co spotyka się z zarzutem, że jest piosenkarzem niemodnym?

— Różnie to można interpretować, nie próbuję śpiewać tego do czego się nie nadaje. Nigdy natomiast nie rezygnuję ze śpiewania interpretacyjnego, dziś bardziej elitarnego niż popularnego, może dlatego trafiam na brak zainteresowania moimi propozycjami albo na utwory, w których nie można zaproponować określonych tekstów. Myślę, że zbliża się czas, w którym nareszcie będę mógł nagrać utwory wciąż napotykające na barierę typu „zbyt odważne".

— Jest pan także kompozytorem i autorem tekstów piosenek?

— Piszę dla przyjaciół, którzy twierdzą, że jestem leniwy, ale kiedy już otrzymają teksty, zapominają o tym. Piszę dla Ewy Śnieżanki, Jerzego Połomskiego, ostatnio napisałem utwór dla Wandy Polańskiej, która zaśpiewa go na festiwalu w Krynicy. Cały mój repertuar jest też mojego autorstwa.

— Muzyka stanowi treść pana życia także prywatnego?

— Wszystko co się do tej pory stało w moim życiu niewątpliwie jest związane z muzyką. Często porównuję je do jakiegoś niesamowitego utworu Prokofiewa lub Skriabina, a tęsknię do tego, żeby mi się kiedyś życie ułożyło w tak spokojną melodię, jak np. przebój Franka Sinatry „Nieznajomi w mroku", ale nie jestem pewien — czy nie będę tęsknił do szalonej muzyki.

— Mieszkał pan w Warszawie, powrócił do Łodzi. Podobno Łódź jest niewdzięcznym miastem dla artystów?

— Miasto z tak dużą ilością zakładów przemysłowych ma inne problemy, ale nie można powiedzieć, żeby władze miasta nie były mecenasami sztuki, mam na myśli wspaniale prosperujący Teatr Wielki w Łodzi.

— Czy mimo wszystko może pan mówić o swoim spełnieniu w zawodzie?

— Myślę, że tak, chociaż nie postawiłem jeszcze kropki nad „i". Mam przed sobą nowe plany. Mam zamiar zaproponować łódzkiej TV program autorski.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

BERNARD SZTAJNERT

Wrzesień

Gdy dom mój płonął, flirankę w płomieniach
Wiatr zdążył podnieść za płonący sznurek.
Żołnierz cynowy, jak ten z Andersena,
W bryłkę ołowiu stopił się pod murem.

Koń na biegunach na prawdziwej wojnie
Zginął. Nim umknął jeździec przerażony,
Biegł w tył i naprzód... po ostatniej bombie
Upadł, powlócząc grzywą i ogonem.

Wtedy herbata rozlała się w teczce,
Szkło mi z butelki ręce poraniło...
Podnosząc bułki, z myślą o wycieczce
Wybiegłem bramą, której już nie było.

Półka z książkami

NIEŚMIERTELNY „JAN KRZYSZTOF"

Tę opowieść-rzekę oglądaliśmy przed laty w TV, w serialu odcinkowym. Jeszcze w czasach mojej młodości zachwycano się tego rodzaju utworami, dziś zostały one wyparte przez kryminały i książki science fiction. „Jan Krzysztof" Romaine'a Rollanda — bo o nim tu mowa — to przetworzona biografia Ludwika van Beethovena, którego życiem i dziełem Rolland pasjonował się do końca swego życia. Mimo tego, że całość obejmuje cztery tomy, zachęcam czytelników do lektury i prześledzenia kolei życia genialnego człowieka, który w końcu osiąga swój cel: szczęście i sławę. Przekład Leopolda Staffa.

Romain Rolland: Jan Krzysztof. LSW 1988. Cena tomów 1 — 4: 1.900 zł.

OPOWIADANIA ARGENTYŃSKIE

Kolejny tom z obszernego cyklu **„Proza iberoamerykańska"** wydawanego od lat przez WL. Tym razem jest to dość reprezentatywny wybór opowiadań argentyńskich pisarzy średniego i młodego pokolenia. Ta „zmiana warty" przychodząca po Borgesie, Cesaresie czy Sabato — przynajmniej w prezentowanym tomie — nie zawsze dorównuje starym mistrzom. Opowiadania — a jest ich 37 — nie są równe, obok naprawdę dobrych, są słabe. Mimo to warto je przeczytać. Przekład zbiorowy.

Każdego lata. Nowe opowiadania argentyńskie. WL 1988. Str. 354. Cena 580 zł.

RELACJA Z WIĘZIENIA

Tej książce wróżę czytelnicze powodzenie przynajmniej z dwóch powodów: 1. znany niegdyś aktor zamieszany w aferę kryminalną zostaje skazany na 25 lat więzienia 2. język, jakim jest napisana ta książka oraz jej **więzienne realia. Jeszcze nikt w naszej literaturze** nie dokonał takiej wiwisekcji psychiki ludzi „zza krat" ani nie opisał stosunków panujących w polskim więziennictwie. Książka jest brutalna, pełna naturalistycznych opisów zboczeń i skrzywień psychicznych, ale jakże pasjonująca i jakże potrzebna, społecznie.

Jerzy Trębicki: Zbrodnia i... WL 1988. Str. 288. Cena 680 zł.

Oprac.: E.I.

Rozpoznania i diagnozy

Nie od dzisiaj, co mądrzejsi ludzie znający się na problemach kultury konstatują, że ukształtowany przed dziesiątki lat model organizacyjny naszej kultury jest modelem anachronicznym, nie odpowiadającym współczesnym zainteresowaniom i potrzebom społecznym. Potwierdzają to rozliczne badania stanu uczestnictwa w kulturze, odczuwają to na co dzień teatry, filharmonie, muzea, a i w stanie czytelnictwa nietrudno odnaleźć skutki i następstwa powstałych latami barier. Zarówno ów model jak i przestarzała, sztywne przepisy stworzyły ciasny gorset krępujący wszelkie nowatorskie poczynania, w wyniku czego do dziś oferowane są zużyte, nieprzystawalne do zainteresowań społecznych propozycje, które — wśród innych przyczyn — doprowadziły do aktualnego stanu uczestnictwa w kulturze. A stan ten — u każdego kto rozumie pewne procesy i ich następstwa — musi budzić zrozumiały niepokój.

Nie ma nic odkrywczego w stwierdzeniu, że na całym świecie najwięcej czasu pochłaniają ludziom środki masowej komunikacji, a więc radio, telewizja i w coraz większym stopniu wideo czy programy komputerowe. Ze coraz mniej czasu ludzie przeznaczają na czytelnictwo książek, prasy, na chodzenie do teatrów, muzeów, na koncerty, a nawet do kina. Określany przez znawców tzw. „domocentryzm" w odbiorze kultury jest zauważalny pod każdą szerokością geograficzną. Jednakże w naszym przypadku proporcje te są niepokojące.

Otóż według danych GUS aż 80 proc. czasu przeznaczonego na kulturę pochłaniają środki masowej komunikacji. Z pozostałych 20 — 12 proc. przeciętny Polak przeznacza na czytelnictwo, zaś ledwie 8 proc. — na domy kultury, muzea, teatry, filharmonie, galerie. W tych szacunkowych badaniach jest wyraźnie zauważalna tendencja spadkowa uczestnictwa w kulturze oferowanej przez większość instytucji artystycznych. Wedle dokonanych porównań roku 1972 do 1985 nastąpił spadek uczestnictwa: w teatrach dramatycznych z 26,4 proc. do 14,3, w teatrach muzycznych — z 15,0 do 12,9 proc., w operach z 8,6 do 6,3 proc., filharmoniach z 5,5 do 5 proc., w muzeach z 19,5 do 13,0 proc., wreszcie w galeriach i wystawach plastycznych — z 9,1 proc. do 8,4 proc.!

Przeprowadzone badania na reprezentatywnej populacji w 1985 roku dowiodły, że aż 91 proc. respondentów słucha radia, 98,4 — ogląda telewizję, 59,8 proc. w miarę systematycznie czyta książki, 47,1 proc. uczęszcza do kin, 14,8 proc. do teatru, 12,9 proc. do operetki, 6,3 proc. do opery, 5 proc. do filharmonii, 13 proc. do muzeów, 32,7 proc. do cyrku, 15,6 do domów kultury, 33,5 proc. na koncerty estradowe, 8,4 proc. na wystawy plastyczne, a 22,1 do wesołych miasteczek. Dane te ilustrują dość wymowny rozdźwięk pomiędzy tradycyjnym modelem upowszechnienia kultury a oczekiwaną rzeczywistością.

Unaocznione badaniami procesy nie zachodzą tylko w naszym kraju, gdzie indziej zachodzą odwrotne. Ostatnie badania Instytutu Gallupa, przeprowadzone np. wśród amerykańskiej młodzieży (od 13 do 17 lat) zdają się wskazywać, iż ów „domocentryzm", odczuwalny do niedawna w USA, choć inaczej określany, przechodzi w inne stadium. Obecnie np. amerykańskie nastolatki spędzają przeciętnie każdego dnia przed telewizorem 2 godz i 24 min., 2 godz. słuchają radia, a godzinę i 28 minut poświęcają na czytanie prasy i książek. U nas obserwuje się wzrost...

Nad szczegółowym rozpoznaniem tych zjawisk i wypracowaniem programu rozwoju kultury na najbliższe lata biedzą się dzisiaj nie tylko profesjonaliści, ale i działacze. Rozpoznanie stanu rzeczy i postawienie diagnozy — to sprawa najbliższa.

MARIAN ZDROJEWSKI

Rozewska bliza

Największą sławę wśród turystów odwiedzających Wybrzeże zyskała sobie **Latarnia Morska im. Stefana Żeromskiego na Rozewiu.** Ludowa tradycja wywodzi nazwę rozewskiego przylądka — **najbardziej na północ wysuniętego skrawka polskiego Wybrzeża** — od bujnie krzewiących się, na tej malowniczej wysoczyźnie (54 m npm) polnych róż.

Naukowcy od dawna zastanawiali się nad rodowodem nazwy „Rozewie". W słowniku **„Pochodzenie i znaczenie nazw geograficznych"** (Warszawa, 1968) — znajdujemy informację: **„Kaszubski Rozeft, z dolnoniemieckiego Rixhoeft — niemieckie Haupt „głowa" — dla oznaczenia przylądków wysokich, ostro wrzynających się w morze..."**

Opromieniona licznymi legendami rozewska bliza **(po kaszubsku — latarnia morska),** wznosi się na skraju stromego brzegu klifowego, **pośród 130-letnich buków,** na terenie stanowiącym **dziś rezerwat przyrody.** Zbudowano ją w 1821 r. (na miejscu starszej). **Zapalono w 1822.**

Jedna ze starych legend kaszubskich głosi, że **córka szwedzkiego żeglarza uratowawszy się podczas burzy, która spowodowała zatonięcie statku jej ojca, osiadła na Rozewiu i do końca życia utrzymywała ogień na cyplu przylądka.**

W okresie międzywojennym **do rozstawienia latarni przyczynił się pobyt na Rozewiu Stefana Żeromskiego.** Tutaj wielki pisarz znajdował inspiracje twórcze do swych utworów poświęconych morzu. W niektórych opracowaniach spotkać można informację, iż **zamieszkał** w tym czasie **w rozewskiej blizie i pisał** tam **„Wiatr od morza".**

Na latarni znajduje się **tablica ku czci Żeromskiego.** Odsłonięto ją w 25 rocznicę jego śmierci; w 1950 r. Poprzednią — z 1933 r. — upamiętniającą związki pisarza z Rozewiem zniszczyli hitlerowcy — trzebiący bezwzględnie na tej ziemi ślady polskości. W pobliżu wieży stoi na cokole granitowe popiersie pisarza, dłuta wybitnego rzeźbiarza — **Stanisława Horno-Popławskiego.**

W rozsławianiu Rozewia wspomagał słynnego latarnika z międzywojennych lat — **Leona Wzorka** — korespondent wielu pism, **Alfred Świerkosz.** Poszukując sensacji dla prasy, wyznawał maksymę: **„Budda zdoła obiec cały port, nim prawda zejdzie na ląd", i przerabiał Leonowe kiechdy na prasowe szlagiery. Mało mu było Żeromskiego, więc tuż przed wojną wpadł na nowy pomysł — w „Kurierze Bałtyckim" ukazała się jego korespondencja o odkryciu skarbów, zamurowanych w rozewskiej wieży.**

Na Rozewiu — w osadzie latarników — żywa jest pamięć o bohaterskim latarniku, **Leonie Wzorku. W 10. rocznicę jego śmierci odsłonięto pamiątkową tablicę.** Czytamy na niej: **„Kierownik latarni morskiej Rozewie — zamordowany przez hitlerowców we wrześniu 1939 r. — do końca wytrwał na posterunku pracy, a honor służby i obowiązek obywatelski** przeniósł nad życie".

W 1935 r. w starej rozewskiej blizie, staraniem miłośników Rozewia, otwarto **Muzeum Latarnictwa** (stanowiące obecnie **filię Muzeum Morskiego w Gdańsku).** Jest to jedyna tego rodzaju placówka muzealnicza w Polsce i jedna z nielicznych na naszym kontynencie.

Można w niej zapoznać się z obrazowana planszami i modelami **historią światowego latarnictwa,** w której **polskie latarnie odgrywały ważną rolę.** Z plansz dowiadujemy się, iż w XVI w. płonęło nad Morzem Bałtyckim już 15 latarniczych świateł. Ważne znaczenie przypadało sygnalizacyjnym ogniom z rozewskiego przylądka.

Osobne muzealne pomieszczenie poświęcone jest **aktualnemu stanowi latarnictwa** na naszym Wybrzeżu. **Eksponowane są modele** — rozlokowanych od **Krynicy Morskiej po Świnoujście — 17 latarń,** ułatwiających statkom różnych bander bezpieczną żeglugę. Obok makiety latarni rozewskiej, umieszczono model jej imiennika, **motorowca „Rozewie".** Zbudowany w fińskiej stoczni, pływał jako drobnicowiec. Został **storpedowany przez Niemców w 1942 r.**

Duże zainteresowanie tłumnie ściągających do muzeum turystów, wzbudza nietypowy, wielce symboliczny **eksponat.** Jest nim **dzwon „Wichra",** bohaterskiego okrętu naszej marynarki wojennej z lat II wojny światowej.

W osobnym, wydzielonym kąciku **zgromadzono pamiątki związane ze Stefanem Żeromskim.** Eksponowane są m.in. **pierwsze wydania „Wiatru od morza", „Międzymorza"** i innych powieści, opiewających piękno kaszubskiego pobrzeża.

Warto również obejrzeć **stare urządzenia świetlne** rozewskiej blizy, które już dziś stanowią cenne eksponaty muzealne. Godne uwagi są także osobliwości przyrody rozewskiego pobrzeża.

Pobyt w tych stronach utwierdza nas w przekonaniu, iż **„od morza jesteśmy, od morza..."**

JANUSZ KOZŁOWSKI

PESTKI DYNI

Człowiek to doprawdy biedna istota! Wszystko mu szkodzi a na dodatek jeszcze są tacy, co mu wszystkiego zakazują... Szkodzi mu gorzała, papierosy, seks, nadmiar pracy, brak pracy, nadmiar pieniędzy, brak pieniędzy, słońce, niedostatek słońca, za częste mycie i niemycie i tak dalej...

A naokoło słyszy: nie pij, nie pal, nie kopuluj cudzej żony tylko własną i to po ciemku, bo pójdziesz do piekła tyraj jak wół bo praca uszlachetnia, odpoczywaj dużo i aktywnie, oszczędzaj w PKO, nie goń za dobrami materialnymi, nie leż na słońcu bo dostaniesz raka, słońce leczy — wystaw plecy, myj się codziennie, kąpiel wzbroniona...

Jakby tego było mało gnębią go powodzie, trzęsienia ziemi, promieniowanie kosmiczne, brak i nadmiar ozonu, kwaśne deszcze i dwutlenek siarki, katastrofy kolejowe, piraci drogowi, sztuka współczesna, złodzieje, demagodzy, głupcy, reformy, strajki, inflacja, wyobraźnia...

Niedawno przeczytałem w **The New York Times Magazine,** że uprawianie biegów, tak modnych dziś na świecie i ćwiczeń fizycznych jest również szkodliwe, co niebieganie i niećwiczenie, co bezruch. Kiedyś jedzenie pomidorów było zdrowe, potem niezdrowe, dzisiaj znów jest zdrowe; za to marchew, która kiedyś była bardzo zdrowa, teraz jest szkodliwa. Kiedyś cytryny pomagały — teraz nie pomagają... Swego czasu dieta wodna była zbawieniem dla organizmu — dziś jest zabójstwem... Półkompółki Doktora Kneippa przechodziły sto razy swój renesans i sto razy były potępiane przez lekarzy; dziś znowuż są dobre na wszystko, bo już starożytni Chińczycy je stosowali, a Chiny dziś też są na wszystko dobre... Jeszcze niedawno maseczki kosmetyczne z rzeżuchy były rewelacją, dziś się przestrzega, żeby nie używać, za to świetne są z pora i selera... Było hasło: „Sport to zdrowie"; dzisiaj: „Sport to kalectwo". Istny obłęd!

I tak człowiek nie może się zdecydować, co jest dla niego dobre a co nie, bowiem to, co służy Kaziowi nie musi służyć Wackowi. Paweł przez całe życie wyprawiał wieczne harce, pił, palił, używał, pracował intensywnie i twórczo i dożył w zdrowiu sędziwych lat: Gaweł był cichy, nie wadził nikomu, życia użył tyle co kot napłakał, wódkę widział tylko na wystawie, golą, panienkę w gazecie, tyrał jak głupi, ale bez efektów i umarł w kwiecie wieku...

Ojciec medycyny Grek Hipokrates powiadał: „Wszelki nadmiar jest sprzeczny z naturą". Zgoda. Ale pojedynczy człowiek jest osobnym światem: indywidualnym systemem potrzeb i możliwości, ambicji i predyspozycji. I dlatego głupotą jest uleganie obiegowym hasłom, przepisom, receptom na życie i szczęście, na zdrowie i chorobę, na wrzód na dupie i wrzód na duszy... Każdy powinien starać się zrozumieć sens recepty, sens zakazu czy nakazu, sens hasła i jeżeli to odpowiada jego naturze (albo sumieniu), jest z nią zgodne — przyjąć, zaakceptować, zastosować. Jeżeli nie — odrzucić. Inaczej zawsze pozostanie sterowanym głupcem: więcej — może zostać głupim fanatykiem i samemu zacząć wymyślać recepty i hasła...

ANDRZEJ GRUN

Rys. Andrzej Grun

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

Rys. Sławomir Łuczyński

JAN MACHULSKI O SOBIE I SYNU

Na pytanie: czy jest przeciwnikiem tradycyjnego teatru, Jan Machulski odpowiedział: — Nie. Taki teatr jest oczywiście potrzebny, ale mnie nie interesuje. Uważam że nie wystarczy zrobić piękne dekoracje, kostiumy i zapoznawać ludzi z literaturą. Taki teatr jest jak duży telewizor, a ja chcę być bliżej widza, rozmawiać z nim. Przez 18 lat istnienia Teatru Ochota ta formuła się sprawdziła... Mamy własną publiczność, zwłaszcza młodzież, do której adresujemy nasze przedstawienia. Bez widzów nie ma teatru, a ja przecież nie pracuję dla własnej satysfakcji, tylko dla nich. Oczywiście widzę, że te dyskusje nie są już tak zaciekłe, jak przed laty. Ale wszystko się zmienia. Do kina też ludzie nie chodzą już z takim entuzjazmem. Emocje budzi jedynie wideo, czasem wizyta jakiejś gwiazdy... A ja, mimo wszystko nie narzekam. Po naszych spektaklach dyskusja trwa czasem godzinę... Młodzież z naszego koła teatralnego gra na scenie razem z zawodowymi aktorami, ci którzy piszą, mogą przynieść do nas swoje teksty Myślę, że to co robimy, to nie tylko zabawa w teatr, ale proces wychowawczy...". A jak się czuje jako ojciec sławnego syna? „— Wspaniale. Myślę, że taki syn to ideał każdej matki i ojca, przedłuża im życie. Mnie wzruszają sukcesy syna nie zaskakują. Widziałem, jak się rozwija tu, w teatrze i wiedziałem, że stać go na wiele. Gdy mój syn startował w zawodzie reżysera, a ja grałem w jego filmach, niektórzy uważali, że chcę mu pomóc w karierze, teraz wiele osób pyta mnie, czy nie zazdroszczę mu popularności. Zagrałem w tylu filmach i jakoś nigdy nie udało mi się pomóc reżyserowi. Filmy są albo dobre, ale złe. Julka są dobre więc nie potrzebuje żadnej pomocy... Na razie jednak każdy z nas robi swoje, on filmy, ja teatr i to jest zdrowe podejście do pracy".

JUŻ W EGIPCIE

Polskie ekipy archeologiczne i konserwatorskie pracujące od wielu lat przy rekonstrukcji świątyni królowej Hatszepsut w Deir el Bahari w górnym Egipcie dokonują interesujących odkryć wzbogacających wiedzę o kulturze państwa faraonów. Niedawno dokonano nowej interpretacji zachowanych na ścianach, liczącej już 3,5 tys. lat budowli, scen o charakterze religijnym. Przedstawiają one tzw. święto Set — czyli rodzaj jubileuszu królewskiego. Celem symbolicznych rysunków było podkreślenie szczególnej roli władcy protegowanego przez bogów oraz pokazanie przewagi Egiptu nad innymi krajami. Taki jubileusz powinien być obchodzony dopiero po 30 latach panowania danego władcy. Niektórzy z faraonów pragnąc podnieść swój prestiż organizowali to święto znacznie wcześniej. Podobnie było za panowania królowej Hatszepsut, która nie przestrzegała wymaganego okresu 30 lat. Na ścianach wzniesionej przez nią świątyni przedstawiono to święto, traktowane jako obrzęd wzmacniający siłę władzy królewskiej.

MIESZANINA IRONII I SMUTKU

„...Opisał ją Arystoteles, stwierdzając, że wybitni artyści lub politycy są z natury melancholikami. Ten typ temperamentu wiązał on z czarną żółcią, wydzieliną śledziony... Teoria ta może odnosić się do artystów, którzy przeżywają okresy wzlotów i upadków, ale sądzę, że prawdziwa sztuka zawsze wykracza poza melancholię, rozumianą w sensie klinicznym, jako zespół takich objawów, jak trudności koncentracji, osłabienie myślowe... Chyba lekarz i filozof platończyk, Marsilio Ficino, był przekonany, że melancholia sprzyja pracy umysłowej i sam oczywiście uważał się za melancholika. Przerażał go jednak szkodliwy wpływ Saturna, planety-boga, którą astrologowie uważali za przyczynę różnych odmian przygnębienia. Napisał więc traktat „De vita" (O życiu) pełen rad i zaleceń. I tak, aby zjednać sobie łaskę niebios, gwiazd i słońca, intelektualista powinien słuchać muzyki, spacerować w blasku poranka, zaopatrzyć się w talizmany i pić czyste wino. Następcami Ficino byli artyści epoki Odrodzenia. Sam Michał Anioł w swych słynnych poematach podaje się za melancholika. Za takiego uchodził też Rafael... W początkach naszego stulecia świadectwem wielkiego znaczenia melancholii w sztuce jest np. metafizyczne malarstwo De Chirico, jego smutne posągi na opustoszałych placach. Przesycona melancholią jest też część sztuki niemieckiej lat dwudziestych i trzydziestych z okresu nazizmu. A co do czasów współczesnych — to pewne cechy melancholii, obok oznak nie-**

„Życie to tango"

SPOTKANIE Z FERNANDO ARRABALEM

W czerwcu br. w krakowskim „Teatrze STU" odbyła się uroczysta prapremiera **„Labiryntu" Fernanda Arrabala** z udziałem autora. Nazajutrz — interesująca konfrencja prasowa ze światowej sławy dramatopisarzem. Twórczość F. Arrabala w Polsce jest mało spopularyzowana. W 1969 r. „Dialog" wydrukował dwie jednoaktówki: **„Guernica"** i **„Modlitwa"**, zaś Teatr Dramatyczny w Warszawie pokusił się wystawić **„Franciszkę i katów" oraz „Guernicę"**. Ostatnio trochę szumu powstało wokół **„Cmentarzyska samochodów"** i **„Wieży Babel"**. Po latach milczenia Krzysztof Jasiński zdecydował się przybliżyć tę niezwykle barwna sylwetkę krakowskiej publiczności, nie tylko poprzez wystawienie „Labiryntu", ale także poprzez możliwość bezpośredniej dyskusji z autorem sztuki.

O F. Arrabalu wiadomo, że urodził się w 1932 r. w Hiszpanii, że jest synem republikańskiego oficera prześladowanego i więzionego przez frankistów, który uciekł ze szpitala więziennego i ślad po nim zaginął. Prawdopodobnie po nim odziedziczył brak pokory wobec przemocy i niesprawiedliwości, który i jego zaprowadził do więzienia. W hiszpańskim więzieniu przed trzydziestu laty napisał „Labirynt" — sztukę opowiadającą o losie człowieka przypadkowo stającego się ofiarą totalitarnego systemu — labiryntu, z którego nie ma wyjścia. Sztuka w oczywisty sposób nawiązuje do rzeczywistości frankistowskiej. W tym samym czasie Beckett interwencyjnie napisał, że „cierpienie jakie poniósł Arrabal w trakcie pisania »Labiryntu« przekroczyło wymiar jego kary".

Arrabal przyznaje, że to co napisał Beckett bardzo mu pomogło w walce o przywrócenie praw obywatelskich. Jego uwięzienie poruszyło opinię intelektualnej elity świata. Posypały się liczne protesty... **Artur Miller** na ostatniej stronie swoich pamiętników napisał: „Arrabal został zwolniony z więzienia dzięki własnej interwencji".

Do własnej przeszłości Arrabal odnosi się z dystansem, nie chce uchodzić za męczennika. Twierdzi, że walczył w słusznej sprawie i nigdy nie pogodzi się z istnieniem bezsensownych, krwawych wojen, rewolucji, przewrotów, niosących potworne ofiary. Równie silne niebezpieczeństwo dostrzega w konsumpcyjnym podejściu do życia, które jest tak samo bezsensowne, jak wszelkie totalizmy — prowadzi do zatracenia prawdziwych, głębokich wartości w życiu i w sztuce. Od 1955 r. F. Arrabal przebywa we Francji. Jego dramaty nawiązują do teatru absurdu. Często poruszają problemy polityczne. Korzenie jego teatru znajdują się jednak w Hiszpanii, boleśnie doświadczonej przez własną historię. Arrabal odsłania bezmiar okrucieństwa...

Na liczne pytania Arrabal odpowiadał z osobliwym wdziękiem, swoistym poczuciem humoru i z pewną dozą przewrotności.

— Co pana zdaniem pozostało z awangardy we współczesnej dramaturgii?

— Uważam pojęcie „awangarda" za termin akademicki. Nie można sztuki dzielić na starą i nową. Istnieje tylko sztuka lepsza i gorsza. Ale czy to może oznaczać, że Arrabal jest lepszy od Shakespeare'a? — Arrabal zawiesił głos i uśmiechnął się.

— To, co zwykło się określać teatrem awangardowym, czy też czasem teatrem absurdu, w moim odczuciu jest jakimś nieporozumieniem. Jeżeli przywoła się w pamięci twórczość Becketta, Mrożka, Ionesco, którzy nadal pozostają bardzo aktywnymi pisarzami, a których krytyka postrzega jako reprezentantów teatru surrealistycznego, to chodzi jedynie o wygodę w akademickich sporach o teatrze. My nigdy nie reprezentowaliśmy jednej linii rozwojowej. Doskonale znamy smak wzajemnej rywalizacji i odmienności. Posiadamy tylko jeden punkt wspólny — to jest zdziwienie i szok, z jakim przyjmowano nasze dzieła, ale to wszystko...

— Co zatem pozostało z tej wielkiej prowokacji?

— Prowokacja nigdy nie była dla nas celem z góry założonym. Bywa czasem tak, że błahe zdarzenie wywołuje nieoczekiwane dla człowieka konsekwencje... Życie to tango! Jeżeli spojrzeć na ten taniec z filozoficzną wyższością, to okaże się, że charakterystyczny rytm tego tańca, porywistość i zmęczenie, wzajemna agresja partnerów przywołują adekwatne skojarzenia z prawidłowościami występującymi w życiu. W końcu życie przetańcza się na swój sposób. Podobnie jest z historią. W mojej małej biografii odnotowane są czyny, które uznano za prowokacyjne. Mam na myśli **„List do Fidela Castro"**. Tekst traktuje o miłości, ale wygłosiłem w nim radykalnie cztery prawdy. One właśnie zaprowadziły mnie do hiszpańskiego więzienia. To, co stało się później — było dla mnie dużą niespodzianką. Ja naprawdę nie chciałem nikogo prowokować...

— Jakie są artystyczne uwarunkowania „teatru panicznego"?

— Dzisiaj **„Grupa Pańko"** jest bardzo zredukowana — powiada szczerze rozbawiony Arrabal. — Nie prowadziliśmy na siłę werbowania. Wpływy krakowskie są w niej znaczne: Topor, Cieślewicz, Poleński stanowią dokładnie połowę naszej grupy sześciu europejskich twórców. Czujemy się członkami grupy surrealistycznej, w której zachowany został stosunek pokrewieństwa: ojców i dzieci. Surrealiści pozostają dziećmi dadaistów. Zaczęliśmy tworzyć nową sztukę, dość odważną. Wiele poruszanych problemów dotykało spraw seksu, ciemnej strony ludzkiej natury ze skłonnością do sadyzmu. Nowemu kierunkowi zaczęły przyświecać dwie zasady: moralność nie istnieje, w sztuce wszystko jest możliwe.

Wśród surrealistów nastąpiło wrzenie. Pojawiły się ekskomunikacje wobec tych, którzy zastosowali się w swej twórczości do nowych zasad. Nie było już powodu do śmiechu. Wspólnie z Toporem i Jodorowskym odeszliśmy od klasycznej postaci surrealizmu która wydała nam się anachroniczna. Tak powstał „teatr paniczny" — kierunek obnażający okrutne skłonności drzemiące w osobowości człowieka. „Pan" może oznaczać wszystko, także Boga, który rozśmiesza, ale który u swych podstaw zieje tragedią. Pod nazwą „teatru panicznego" kryje się pretekst do zaniepokojenia, pretekst zmuszający do myślenia. Z czasem ufundowano nawet nagrodę teatralną „Pańko", przyznawaną za debiut reżyserski.

— Dramaturg jest zawsze na pozycji przegranej. Chciałby zdobyć miłość publiczności nie pisząc o niej wcale. Fascynujące jest zjawisko, że to, co pisarz tworzy w sposób konfidencjonalny, jako kompensacje dla własnych frustracji, może zobaczyć na polskiej ziemi. Robicie państwo cudowne rzeczy, bardzo mi pomagacie... Nie sądzę, abym mógł stworzyć coś ważniejszego... Poza talentem, geniuszem istnieje dobroć innych... Dziękuję za serdeczne przyjęcie.

Opracowała:
IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

Kronika

NAGRODA POLSKIEJ FEDERACJI DYSKUSYJNYCH KLUBÓW FILMOWYCH pod nazwą **„Don Kichot"** — dla dzieła pobudzającego do refleksji — **przypadła w udziale „Niepokonanym" Marka Drążewskiego.**

Ten pełnometrażowy **obraz dokumentalny, w** przejmujący sposób **opowiada o tragicznych wydarzeniach czerwcowych 1956 roku w Poznaniu.**

• • •

NIE DRUKOWANE, odnalezione przez amerykańskich naukowców **opowiadanie Williama Faulknera „Miłość", opublikuje** wkrótce, ukazujące się w Stanach Zjednoczonych, **czasopismo** literackie **„Missouri Review".**

• • •

ZAPOWIADA SIĘ WIELKA ARTYSTYCZNA SENSACJA. Znakomity pisarz i reżyser — **Tadeusz Konwicki — przygotowuje bowiem filmową adaptację Mickiewiczowskich „Dziadów".**

Niedawno **powrócił on z Wileńszczyzny,** ze swych dawnych, umiłowanych stron rodzinnych, gdzie **wybierał plenery do przyszłego filmu.**

• • •

JUŻ WKRÓTCE W WARSZAWSKIEJ KATEDRZE ŚW. JANA będzie można podziwiać, ofiarowany przez Janinę i Zbigniewa Porczyńskich, monumentalny **obraz Wojciecha Gersona „Chrzest Litwy".**

• • •

PO RAZ PIERWSZY, W KOPRODUKCJI PAŃSTWOWEJ WYTWÓRNI Z PRYWATNYM STUDIEM, realizowany jest utwór filmowy pt. **„Spodos II" („Spopielenie").**

Kręcą go w Krakowie filmowcy łódzkiego **„Se-Ma-Fora"** i tamtejszej **„Galicji".**

Reżyseruje właściciel prywatnej wytwórni — **Leopold R. Nowak.**

• • •

EKSPEDYCJA RADZIECKIEGO FUNDUSZU KULTURY przystąpiła w Kaliningradzie do rozkopywania terenu pod zniszczonym byłym browarem niemieckim, **w nadziei trafienia na ślad** słynnej, **bursztynowej komnaty.**

Według relacji naocznych świadków — **w czasie II wojny światowej zwożono tam tajemnicze skrzynie.**

Swoją drogą ciekawe — czy kiedyś jeszcze zostanie rozwikłana **zagadka,** dotycząca **bezprecedensowego skarbu?**

• • •

W LOANO, we Włoszech, **został wybrany „Najpiękniejszy Włoch Roku 88".** Jest nim **28-letni Gino Concari.**

Czy również i u nas kiedyś ktoś pomyśli o zorganizowaniu podobnej imprezy?

• • •

NAD RENOWACJĄ KOPUŁ SŁYNNEGO LENINGRADZKIEGO SOBORU SAMSONIUSZA, z ramienia naszego resortu kultury, **czuwa m.in.** renomowany **łódzki specjalista w zakresie konserwacji metali — mgr Andrzej Kanwiszer.**

• • •

FRANCUSKIE CZASOPISMO, AUJOURD'HUI MADAME" wypłaci — z mocy wyroku sądowego — **znanej aktorce Isabelle Adjani 2250 tys. franków odszkodowania, za rozpowszechnianie na jego łamach pogłosek, iż cierpi ona na AIDS.**

Sąd uznał bowiem, iż w publikacji naruszone zostało prawo do ochrony życia prywatnego.

• • •

W MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO W WARSZAWIE otwarta została bardzo ciekawa ekspozycja — „Ordery i odznaczenia polskie oraz ich kawalerowie".

Wszystkie prezentowane na wystawie eksponaty (począwszy od wieku XVIII po współczesność) pochodzą ze zbiorów własnych muzeum.

• • •

KRAJOWY KLUB ILUZJONISTÓW, działający **przy Łódzkim Domu Kultury, organizuje w Łodzi,** w dniach 7—8 **października br., Kongres Iluzjonistów.**

Ta wielka impreza będzie miała charakter **międzynarodowy.**

W przedstawieniu galowym zaprezentują się m.in. **łódzkiej publiczności mistrzowie** czarodziejskiej laseczki **z Austrii, Czechosłowacji, Holandii, ZSRR, NRD, Francji, RFN, Szwajcarii.**

Program trzydniowego spotkania „czarodziejów" **przewiduje również seminaria dokształcające, giełdę rekwizytów, wideoprzegląd filmów iluzjonistycznych, wystawę plakatów, „Noc Czarodziejów"** (Magic, Variété).

Niezwykle **atrakcyjnie zapowiada się Międzynarodowy Przegląd Konkursowy o Puchar Mistrza Twardowskiego.**

Atrakcji i niespodzianek czeka nas więc **co niemiara!**

• • •

W GALERII PROMOCYJNEJ STAROMIEJSKIEGO DOMU KULTURY W WARSZAWIE, 8 września br., **otwarta zostanie wystawą** pn. **„Świeżo malowane" — prezentująca młode malarstwo polskie z lat 1982—1987.**

Do udziału **w ekspozycji zaproszono 25 najbardziej reprezentatywnych twórców młodego pokolenia.**

Czy warszawska publiczność szturmować będzie staromiejską galerię, tak jak to czyniła podczas „Arsenału '88", przekonamy się już za kilka dni.

• • •

6 PAŹDZIERNIKA BR., MINIE 100 LAT od dnia, **kiedy w gmachu „Victorii"** (gdzie dzisiaj mieści się kino **„Polonia")** otwarto **pierwszą scenę w naszym mieście.**

Ten **wielki jubileusz** będzie uroczyście świecony **przez łódzką Melpomenę.**

Opracował: JAK

Głośne książki

Fenomen **Christophera Nolana**, porównywanego do Jamesa Joyce'a i Dylana Thomasa polega na tym, że jest on ofiarą wrodzonego paraliżu mózgu, kaleką przykutym do inwalidzkiego wózka, porozumiewającym się z otoczeniem za pomocą ruchów oczu. 22-letni obecnie Christopher, który musiał przezwyciężyć ogromne trudności, aby po ukończeniu szkoły specjalnej wyjść — jak to sam określa — z klatki zoo, przez szereg lat spędzał czas na „pisaniu mózgiem", rozwijając w ten sposób niezwykły intelekt. Aby przelać myśli na papier, musiał opanować sztukę pisania na maszynie przy pomocy specjalnej aparatury umieszczonej na głowie, zaś napisanie jednego słowa zajmowało mu niekiedy 10 minut.

Książka tego młodego irlandzkiego pisarza uznana została za wydarzenie na rynku wydawniczym USA. Nolan jest laureatem Nagrody British Spastic Society (1981 r.) oraz brytyjskiej Nagrody Whitebreada (1987) za zbiór poezji **„Dam-Burst od Dreams" (Przerwana taśma).** Jego kolejna książka, nosząca tytuł **„Under The Eye Of The Clock" (Pod okiem zegara),** zawiera heroiczne epizody walki, ze strasznym kalectwem, opisy lat spędzonych w szkole, pierwsze, niedojrzałe jeszcze próby poetyckie, ale jest zarazem pełnym otuchy wezwaniem do milionów kalek.

M.B.

„Latarnie magiczne"!...

W podwórku **Muzeum Kinematografii** stoi wóz. Niby nic dziwnego, skoro zaparkowany przed drzwiami pofabrykanckiej wozowni Scheiblerów. Z bliska przypomina nietypowy walec drogowy, no bo kto słyszał montować na raz cztery „rolki"? Dla bywalca kina nietrudno go skojarzyć z rekwizytem „grającym" wrotki w **„Kingsajzie" Juliusza Machulskiego.** Obok leży słuchawka telefoniczna, w której jeden klawisz jest wielki jak stopa.

Przedmioty te to jakby kontynuacja ekspozycji wewnątrz muzeum. Już po raz drugi bowiem prezentują swoje prace słuchacze **Policealnego Studium Zawodowego Technik Teatralnych i Filmowych,** specjalizujący się właśnie w rekwizytach i dekoracjach. Oprócz sporej ilości szkiców, obrazów, makiet przestrzeni scenicznej są także rekwizyty. Wśród ciekawszych okazów „bursztynowa" szkatuła, „złote" kielichy, tarcza średniowiecznych wojów i buławy hetmańskie albo buzdygany. Jeśli ktoś nie lubi zachwycać się militariami to są tu i atrapy sałaty, wybujałe w rozmiarach jabłko itp.

Wiezy muzealników oraz słuchaczy studium systematycznie się zacieśniają. Świadczy o tym okazalsza od ubiegłorocznej wystawa. Dzięki tym kontaktom uczniowie zgodzili się wykonać niektóre eksponaty do ekspozycji w piwnicach. Ma być ona poświęcona prehistorii kina. Otwarcie zaplanowano na połowę przyszłego roku. To nietypowe zlecenie przestaje dziwić, gdy zdać sobie sprawę, iż przed wojną polska kinematografia nie była potęgą, nawet na skalę środkowoeuropejską. Efektem tego skromna ilość zachowanych oryginalnych urządzeń. Zresztą eksponaty-kopie nie są niczym nadzwyczajnym w specjalistycznych muzeach techniki np. w Pradze.

Do tej pory przyszli rekwizytorzy zmajstrowali rekonstrukcję stroboscopu, który zapoczątkował całą serię modeli tzw. zabawek optycznych, modnych w XIX w. Przy ich pomocy można było obserwować ruch, a więc bardzo prymitywne, krótkie filmiki. Muzeum Kinematografii posiada oryginały takich urządzeń, „latarnie magiczne", ale z lat późniejszych, do 1914 r. W planie kopia kamery braci Lumiere.

Prasa codzienna systematycznie donosi o nowych nabytkach. Muzealnicy szukają ich niczym rutynowani detektywi. Niemal każda publikacja niesie za sobą nowe darowizny. Gdy wdowa po **Janie Rybkowskim** przyniosła mężowskie domowe archiwum m.in. z wariantami scenariuszy zrealizowanych filmów wraz z nie znanymi dotąd stopami — odezwał się Rybkowski-junior. Ofiarował dokumenty z okresu, kiedy ojciec sprawował funkcje dziekana Wydziału Reżyserskiego.

Gdy ktoś zwabiony anonsem prasowym albo telewizyjnym trafia po raz pierwszy do Muzeum Kinematografii, przeżywa szok: odrapane ściany pałacu pokryte rusztowaniami, pryzmy ogromnych polnych kamieni, dziesiątki ton gruzu. Ale dzięki bardzo intensywnym pracom rzemieślników ze **Spółdzielni „Budowlana"** — reprezentacyjna wieża i połowa willi mają nowy dach, a reszta poszycia powinna być wymieniona przed pierwszymi śniegami.

Piwnice zostały pogłębione, aby zwiedzający nie musieli spacerować przygarbieni. Dla ochrony przed wilgocią budowlani wykonali podciętkę podłoża. Teraz zakładają instalacje. Jest problem. Szkoła muzyczna nie przeniosła się jeszcze do nowego lokalu, bo nie otrzymała przydziału. A przecież gdy dojdzie, niedługo do wymiany belek stropowych „u Scheiblera" — trzeba zbiory i personel wyprowadzić z całego skrzydła do zajmowanej obecnie przez szkołę stajni pałacowej...

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

przeciętnej żywości umysłu, nosi twórczość literacka laureata Nagrody Nobla Claude Simona... Sądzę, że smutek jest kluczem do rozumienia współczesnych wydarzeń... Fakt, że przestaliśmy żyć złudzeniami ideologii, nie oznacza jeszcze, że utraciliśmy wszelką nadzieję. Musimy tylko zachować w swych aspiracjach większy umiar, równowagę. Choć nasze perspektywy nie przedstawiają się najlepiej wiele jeszcze mamy do zrobienia w dziedzinie budowania przyszłości. Swą życiową postawę nazwałbym aktywnym pesymizmem. Wielu ludzi, nie tylko artystów, przykro odczuwa rozdźwięk między własnymi oczekiwaniami a rzeczywistością. Z tego właśnie rozdźwięku, tej luki, rodzi się owa właściwa naszym czasom mieszanina ironii i smutku..." **(z wywiadu Jeana Starobińskiego, profesora literatury francuskiej na uniwersytecie w Genewie, byłego profesora historii medycyny, dla „Europeo").**

PAWEŁ CZUCHRAJ O GŁASNOSTI

„— Nowe tendencje przejawiają się u nas, w telewizji radzieckiej, przede wszystkim w dziedzinie tematyki. Wiemy, że jest wiele niedopowiedzeń w naszej historii, we wzajemnych stosunkach, wokół wielu postaci. Wy nazywacie to „białymi plamami". Takimi personami, wokół których ogniskuje się niasze zainteresowanie jest np. genetyk Wawikow, gen. Tuchaczewski, Bucharin. Nawiązując do tych przykładów, dziennikarze naszej telewizji opowiadają o przeszłości, ostrzegają, szerzą głasnost' (...)

Trzeba jednak przyznać, że proces rozwoju głasnosti w kinematografii jest szybszy, bardziej dostrzegalny niż w telewizji. Telewizyjna biurokracja bardzo utrudnia przemiany. Woli np. sagi rodzinne, te spokojne, rozlewne seriale rodzinne, które zresztą wciąż mają swoją wierną widownię (...)

(...) Pomimo zastrzeżeń jedno jest jednak jasne, w Pradze można oglądać dwa kanały telewizji czechosłowackiej, dwa niemieckie i radziecki, i co się dzieje? Okazuje się, że program radziecki jest najaktualniejszy. Że wybieram, że chcę oglądać właśnie program radziecki, żeby dowiedzieć się, co się tam ostatnio zdarzyło, bo tyle się wydarza. A to jeszcze wczoraj było nie do pomyślenia!" (Laureat Grand Prix „Złota Praga" Paweł Czuchraj, syn klasyka kina radzieckiego Grigorija w rozmowie z Elżbietą Królikowską z „Anteny").

NOTOWANIA KSIĄŻKOWE Z „GÓRNIAKA"

Waldemar Łysiak „Wyspy bezludne" — 5000 zł; **„Lubieżna Rita"** (odbitka powielana) — 2000 zł; **„Pamiętnik nieżbyt cnotliwego mężczyzny"** (odbitka powielana) — 1800 zł; **„Atlas historyczny świata"** — 11000 zł; **„Encyklopedia powszechna PWN" — Suplement** 10000 zł (cena nominalna 4800 zł); **Zbigniew Nienacki** „Wielki las" — 1800 zł; **Pu Yi** „Byłem ostatnim cesarzem Chin" (WŁ) 2 t. — 2800 zł (cena nominalna 2 t. — 1400 z.); **„Kronika getta łódzkiego"** (2 t.) — 12000 zł. **„Galeria drezdeńska"** (przewodnik) — 800 zł.; **Eugeniusz Wawrzyniak** „Na rubieży Okręgu AK Łódź" — 2000 zł (cena nominalna — 950 zł); **„Mała encyklopedia kultury antycznej"** — 7000 zł; **Steven Runciman** „Dzieje wypraw krzyżackich" (3 t.) — 10000 zł; **Umberto Eco** „Imię róży" — 4000 zł (cena nominalna 900 zł); **Hans Hellmut Kirst** „08/15" — 2800 zł (cena nominalna 1800 zł); tegoż **„Fabryka oficerów"** — 4000 zł.

Myśli nieuczesane

STANISŁAW JERZY LEC

- **Burząc pomniki, oszczędzajcie cokoły. Zawsze mogą się przydać.**
- **Śnił mi się koszmar: Przerost biurokracji w państwie, gdzie niedawno ukończono likwidację analfabetyzmu.**
- **Wielu dłubie w przełomowych chwilach narodu w nosie. Najczęściej pochodzą oni z rodzin, w których uważa się dłubanie w nosie za rzecz brzydką.**
- **Na żadnym zegarze nie znajdziesz wskazówek do życia.**
- **Głupota jest matką zbrodni. Ale ojcowie są często genialni.**
- **Zawsze znajdą się Eskimosi, którzy wypracują dla mieszkańców Konga Belgijskiego wskazówki zachowywania się w czas olbrzymich upałów.**
- **Jeśliś bez kręgosłupa, nie wyłaź ze skóry!**
- **Nawet na tronie wycierają się spodnie.**
- **Chociaż krowie dasz kakao, nie wydoisz czekolady.**
- **Okno na świat można zasłonić gazetą.**

Łódź: historia, wspomnienia, relacje

Prawdziwy koniec łódzkiej dintojry (3)

ARNOLD MOSTOWICZ

Jak powiadam, większość spraw, w które Ślepy Maks czy któryś z rządzącego dintojrą triumwiratu był zamieszany, pozostanie na zawsze tajemnicą. Niemniej o dwóch takich wyczynach Ślepego Maksa muszę przecież panu wspomnieć, choćby to nawet miało przedłużyć moją opowieść.

Bohaterem jednej z nich jest Bronisław Huberman. Huberman, częstochowski Żyd, o ile sobie pan przypomina, był w okresie międzywojennym jednym z największych w świecie skrzypków. Często przyjeżdżał do Łodzi, bo musi pan wiedzieć, że w tych czasach Łódź mogła pochwalić się świetną orkiestrą symfoniczną, a także znakomitą publicznością, cenioną, bardzo przez najwybitniejszych wirtuozów. Gdzieś w latach trzydziestych podczas wizyty Hubermana w Łodzi ukradziono mu (podobno jeszcze na dworcu) skrzypce. Skrzypce skrzypcom nierówne. Te, które Hubermanowi skradziono, były ni mniej, ni więcej, tylko dziełem Stradivariusa. Wystarczy, co? Cała łódzka i nie tylko łódzka policja postawiona została na nogi. Bez skutku. Skrzypce zniknęły, jakby za zasłoną dymną łódzkich kominów. Po dwóch dniach władze zaproponowały Hubermanowi, by się w tej sprawie zwrócił do Ślepego Maksa, przy czym policja mogła udzielić w tym nawiązaniu kontaktu niezbędnej pomocy. Huberman trochę się zdziwił, ale innego wyboru nie miał. Spotkanie na szczycie nastąpiło w Grand Hotelu. Gdy Maks się dowiedział, o co idzie wzburzył się — podobno — niesłychanie. Uznał za osobistą obrazę fakt, iż w jego królestwie znalazł się złodziej, który najlepszemu na świecie skrzypkowi, i do tego Żydowi, ukradł skrzypce. Nie wiadomo, jakie poruszył sprężyny, kogo gdzie nacisnął, dość że po dwunastu godzinach Stradivarius wrócił do swego prawowitego właściciela. Ładne, co?

Ale niech pan słucha dalej, bo teraz rozpoczyna się najlepsza część tej historii. Huberman chciał oczywiście Ślepego Maksa odpowiednio wynagrodzić. Każdy by przyjął takie wynagrodzenie, ale nie Maks, który czuł się nawet nieco urażony. Była to przecież przysługa wyświadczona przez jednego mistrza w swoim zawodzie drugiemu, przez jednego Żyda drugiemu... Ślepy Maks nie chciał żadnej nagrody. Miał tylko do wielkiego skrzypka małą prośbę. On oraz jego rodzina byliby uszczęśliwieni, gdyby Huberman zechciał przyjąć jego zaproszenie. W piątek wieczór mogliby zjeść wspólnie karpia po żydowsku, z którego kuchnia w jego domu słynie. I co pan powie? Huberman przyjął zaproszenie. Podczas kolacji Ślepy Maks wzniósł kojsa za zdrowie chluby narodu żydowskiego, Wielkiego Skrzypka Hubermana. Toast połączony był z prośbą, aby znakomity gość zechciał, tylko dla niego i dla jego rodziny, zagrać jakiś kawałek. I Huberman rzeczywiście zagrał. Na Stradivariusie. Nie wiadomo tylko, co zagrał. Może to był Sarasate, może Paganini — tego kroniki nie odnotowały. W każdym razie Maks się rozpłakał, reszta rodziny również, a i sam Bronisław Huberman był podobno bardzo wzruszony.

Ta historia jest oczywiście autentyczna, aczkolwiek do naszych zmaterializowanych czasów dotarła w różnych wersjach, które zresztą istoty rzeczy nie zmieniają. Aby pan sobie wyrobił pełny obraz tej postaci, jaką był Ślepy Maks, opowiem o jeszcze jednym wydarzeniu. Opowieść tę będzie pan na pewno smakował z nie mniejszą przyjemnością niż karpia po żydowsku smakował Huberman podczas piątkowej kolacji u szefa dintojry. Niech pan teraz uważnie słucha.

W latach trzydziestych, a może było to trochę wcześniej, diabli wiedzą, pokłócili się między sobą dwaj komendanci łódzkiej policji. Jeden nazywał się Weyer, a drugi — Elsesser-Niedzielski. O co im konkretnie chodziło — trudno powiedzieć. Prawdopodobnie o nader wymierne beneficja łapówkowe związane z piastowanymi przez nich stanowiskami. Widocznie dla dwóch słońc na niebie łódzkiej policji nie było miejsca. Tak długo oskarżali się nawzajem o branie łapówek, aż jeden z nich znalazł się na ławie oskarżonych, choć nie ulega wątpliwości, że powinni się tam byli znaleźć obydwaj. Któremu z nich ostatecznie powinęła się noga — dziś już nie pamiętam, ale nie jest to w tym wypadku takie istotne. Natomiast istotne jest, że głównym świadkiem oskarżenia był... Ślepy Maks.

Wyobraża pan to sobie? Ślepy Maks jako świadek przed sądem w sprawie, w której jeden komendant policji oskarża drugiego o branie łapówek! No więc prokurator zadaje stereotypowe pytanie: co świadkowi Borensztajnowi wiadomym jest w danej sprawie?

Świadek Borensztajn wiedział wiele. Bo to on właśnie, nie mając zielonego pojęcia, jakiego to brudnego podjął się zadania, wręczał pochodzące z łapówek pieniądze oskarżonemu. Gdzie je wręczał? W jego, oskarżonego, mieszkaniu. Czy ma na to jakiś dowód? Dowodu rzeczowego nie ma, ale mebel po mebelku, obrazek po obrazku, dywan po dywaniku opisać może pokój w mieszkaniu oskarżonego, gdzie transakcja ta miała miejsce... Na to nie wytrzymał adwokat. Stwierdził, że taki dowód to żaden dowód. Ktoś mógł przecież świadkowi Borensztajnowi opisać rzeczony pokój, mógł się też świadek tam znaleźć w jakiejś sprawie służbowej, co z pewnością oskarżony potwierdzi. Oskarżony potwierdził. Na to Maks tylko czekał.

Oczywiście argumenty pana mecenasa są słuszne. Rzeczywiście mógł mu ktoś ten pokój opisać lub mógł się tam przypadkowo znaleźć w jakiejś innej sprawie. Tylko że on, Maks Borensztajn, przysięgał i nie zwykł przed sądem kłamać. Natomiast jeśli Wysoki Sąd ma jeszcze jakieś wątpliwości, to może zechce Wysoki Sąd udać się do mieszkania oskarżonego. A tam w pokoju, o którym mowa, znajduje się stół. Na odwrocie blatu tego stołu on, Maks Borensztajn, ilekroć był u oskarżonego i wręczał mu łapówki, nożem wyżynał odpowiednią krechę. Tyle jest krech na blacie, ile razy on, Borensztajn, odwiedzał oskarżonego w wiadomym celu. Wysoki Sąd wysłał rzeczoznawców, którzy zbadali blat stołu i stwierdzili, że faktycznie wyżłobionych jest tam wiele kresek, i to dokładnie tyle, ile zgodnie ze swoim zeznaniem, łapówek przekazał świadek oskarżonemu. Co pan na to? Cała łódzka palestra tylko cmokała, opowiadając sobie o tym wydarzeniu. Czy sprawa rzeczywiście tak wyglądała, czy ktoś Ślepemu Maksowi pomógł — nikt dziś prawdy nie docieknie. W każdym razie miał Ślepy Maks, jak zresztą miała cała dintojra, zapewnione na długie lata najlepsze stosunki z policją. Zresztą...

Nie muszę chyba panu tłumaczyć... Bez życzliwego poparcia ze strony policji dintojra nie mogłaby należycie funkcjonować. Niech pan zauważy, że to tylko dobrze o tej policji świadczy. Każdej policji powinno zależeć, aby w świecie przestępczym panował jaki taki porządek. W razie czego — wiadomo, czego się trzymać. Policja wolała mieć do czynienia z organizacją przestępczą, działającą zgodnie z niepisanym, ale przecież istniejącym kodeksem moralno-zawodowym niż z wieloma działającymi w pojedynkę dyletantami. I jednocześnie świat doliniarzy, wytrawnych włamywaczy, sławnych na całą Europę kasiarzy, wybitnych zgoła fachowców-fałszerzy bronił się przed inwazją nieodpowiedzialnego amatorstwa, po którym nie wiadomo czego można się było spodziewać. Jak pan widzi, w każdej epoce działają podobne prawa. Aby bronić siebie w sytuacjach, kiedy niedostatki fachowe nadrabiane bywały nożem, kastetem czy rewolwerem, dintojra pomagała policji. Ilu morderców wykryła policja dzięki niej, tego już nikt się nie dowie.

...Było, nie było, opowiem panu jeszcze jedną historię o Ślepym Maksie. Da ona panu pojęcie o metodach dintojry...

Gdzieś z początkiem lat trzydziestych przyszedł do Ślepego Maksa z prośbą o pomoc pewien przyzwoity Żyd. Aby się zbytnio nie rozwodzić, powiem panu tylko, że ten petent biura pisania podań głowę miał nabitą teatrem żydowskim, literaturą, muzyką i pisaniem felietonów — jednym słowem sprawami, które kawałka chleba z mostkiem od Dyszkina jemu i jego rodzinie dać nie mogły. Przez wiele lat, aby tę rodzinę utrzymać, pracował na posadzie. Był sprzedawcą, i to wyspecjalizowanym. Sprzedawał w różnych sklepach hurtowych to, co się w Łodzi sprzedawało — manufakturę. Przez szereg lat miał wcale ładną pensję. Aż przyszły lata chude. Były one w ogóle nieżyczliwe dla ludzi, którzy zajmowali się manufakturą, a cóż dopiero dla kogoś, kto ją tylko sprzedawał. W czasie kryzysu stracił tę pracę... Znalazł się w ciężkiej sytuacji i kto wie, jakby się to wszystko skończyło, gdyby nie przypadek... Ten przypadek zetknął go z kimś, kto importował wówczas do Polski kanwę. Co to jest kanwa — wie pan? To taki materiał, na którym nasze matki, babki i matki tych babek wyszywały różnego rodzaju wzorki. Z tych wyszywanych krzyżakami jeleni, myśliwych, bajader powstawały obrusy, poduszki, a nawet obrazki pod ramkę. Taka kanwa ma nici osnowy i wątku ułożone w kratki. Tyle że w kratki specjalne. Na przemian większe i mniejsze. W czasach, kiedy nie było telewizji, a przyzwoite kobiety siedziały wieczorami w domu, co druga wyszywała jakiś wzorek, a kanwa szła jak masło. Tylko że całą kanwę importowano z Czechosłowacji. Bo w Polsce jakoś nikomu nie udało się tak usztywnić utkanego materiału, aby kratki nie straciły wymiarów. Rozumie pan? Gdyby się taką kanwę udało wyprodukować, interes byłby olbrzymi...

Więc ów marzyciel teatralny i specjalista od sprzedaży szewiotów i perkali zaczął próbować sił na własną rękę. Po kilkunastu miesiącach prób, przy pomocy paru majstrów z łódzkich fabryk, udało mu się otrzymać kanwę, która mogła zadowolić najbardziej wybredny damski gust. Tylko że teraz, by się zabrać do produkcji, potrzebna była gotówka. Dzisiaj mówi się „kapitał" — wówczas mówiło się „gotówka". A gotówki to ten wynalazca nie miał. Tu się rozglądał, tam się rozglądał, aż w końcu okazało się, że w tym samym co on domu mieszka bogaty Żyd gotowy mu przyjść z pomocą. Nazywał się, dajmy na to, Orkin. Ten Orkin wyczuł, że kanwa to może być złoty interes, a że głowę miał właśnie do interesów, a nie do teatru, po trzech miesiącach jego wspólnik-wynalazca znalazł się na bruku. Bez pieniędzy, bez praw do wyrabiania kanwy, a nawet bez listy ewentualnych nabywców z całej Polski. A to dlatego, że rozmyślał właśnie wówczas nad inscenizacją „Podróży Beniamina Trzeciego" — Mendele Mojcher Sforim, a nie o odpowiedniej umowie, która by go obroniła przed taką hieną, jak Orkin...

Widzi pan tę sytuację... No i ktoś życzliwy poradził mu, by się oddał w opiekę Ślepego Maksa. Nie będę panu zajmował czasu szczegółami. W każdym razie najciekawsze jest to, jak się Ślepy Maks zabrał do sprawy.

No więc... Pewnego dnia, powiedzmy, w poniedziałek w porze obiadowej do Orkina zgłosili się dwaj panowie. Ubrani byli w obcisłe, watowane w ramionach marynarki, szerokie spodnie i cyklistówki. Grzecznie poprosili pana Orkina o chwilę poufnej rozmowy. Otóż przyszli oni z polecenia pan Maksa Borensztajna, właściciela biura pisania podań. Pan Borensztajn bardzo prosi, aby pan Orkin w ciągu trzech dni podpisał dokument, w którym byłoby czarno na białym napisane, że nie będzie się więcej zajmował sprawami kanwy. Ani on, ani jego syn, ani nikt do dziesiątego pokolenia... Powiedzmy... Dokument ten powinien przesłać temu panu z trzeciego piętra, którego wyrzucił ze spółki.

Ów Orkin zrobił, jak się pan domyśla, to, co zrobiłby każdy na jego miejscu. Obydwu panów wyrzucił z mieszkania. Przed opuszczeniem niegościnnego domu obydwaj panowie poprosili jeszcze Orkina, aby nie denerwował ich szefa, który niestety (taki charakter) szybko traci nad sobą panowanie...

A Orkin ani myślał, rzecz jasna, o zrezygnowaniu z tak łatwego łupu. Czwartego więc dnia ci sami dwaj panowie zjawili się u Orkina ponownie. Również w porze obiadowej. Grzecznie odsunęli wszystkich domowników od stołu i nim ktokolwiek zdążył się zorientować, obrus wraz z zastawą leżał na podłodze. Na to wszystko panowie przewrócili stół oraz kredens z całą jego zawartością... Kiedy przyszła policja i wyciągnęła z Orkina detale całego zdarzenia, poradziła mu, by jak najszybciej spełnił prośbę pana Borensztajna. Bo z panem Borensztajnem, inaczej ze Ślepym Maksem, z pewnością nie wygra. A jeśli pan Orkin ma jakieś wątpliwości, to najlepiej niech się poradzi kogoś zaufanego. Jeszcze tego samego dnia odpowiedni dokument znalazł się na trzecim piętrze w ręku poszkodowanego eks-wspólnika...

Ten po paru tygodniach znalazł zasobnego faceta, który za wspólną eksploatację sposobu na produkcję kanwy wypłacał mu miesięczną pensję. W ten sposób dzięki Ślepemu Maksowi Polska nie musiała importować kanwy, a teatr żydowski w Łodzi wzbogacił się o przedstawienie, które przeszło podobno do jego historii.

I tak to się, proszę pana, wszystko toczyło do wybuchu wojny. Niemcy wkroczyli do Łodzi i całe imperium dintojry diabli wzięli. Może ten czy ów z jej szefów miał nadzieję, że będzie ona mogła wykorzystać swoje doświadczenia z poprzedniej wojny, ale szybko okazało się to tylko mrzonką. Między Niemcami tamtych czasów a Niemcami Hitlera była taka różnica jak między majaczącym w gorączce chorym a furiatem, z którym bez kaftana bezpieczeństwa nie można sobie dać rady. Zresztą jeszcze wcześniej Ślepy Maks wyrwał się z Łodzi na wschód i wrócił dopiero po siedmiu latach.

Czy to znaczy, że wraz z początkiem okupacji zakończyła się historia łódzkiej dintojry? Nie, proszę pana. Wprawdzie Fajwel Bucik gdzieś zginął, ale został, i to został w łódzkim getcie Szaja Zylberszac alias Magnat. On też będzie bohaterem dalszego ciągu tej historii. A jest to historia nader pouczająca. Skoro o naszej, pańskiej i mojej — Łodzi tak mało mimo wszystko wiadomo, a myślę o dziejach tej części jej ludności, której prochów nie ma nawet co szukać, to każdy przyczynek, choćby dotyczył spraw zgoła nieważnych, ma wartość cennego dokumentu. Wiatr tłukący się nocą po ulicach, które niegdyś kipiały żydowskim folklorem czy chasydzkim optymizmem, nie ma czym uzupełnić wiedzy ich obecnych mieszkańców o czasach, od których nie dzielą nas przecież więcej niż dwa pokolenia. Niech więc opowieść o wielkości i upadku Szai Magnata coś z tych czasów przypomni.

Powiedziałem, że Szaja Magnat znalazł się w łódzkim getcie. Bardzo to nieprecyzyjne. Mieszkał tu bowiem stale. Ulica Marysińska, przy której stała będąca jego własnością kamienica, prawie w całości znalazła się w granicach getta. Po drugie, Szaja Zylberszac nie był takim sobie, ot, zwykłym mieszkańcem Bałut. Był on ich nie koronowanym księciem. Przezwisko Magnat, z akcentem, niech pan tego nie zapomni, na ostatniej zgłosce, pochodziło stąd, że fakt posiadania kamienicy na Bałutach uchodził sam przez się za dowód bogactwa, choć sądzić należy, że nie był to jedyny powód uzasadniający to przezwisko.

Czy wie pan, czym były przed wojną łódzkie Bałuty? To była mieszanina nędzy i przestępstwa. Za parę groszy można tu było wszystko kupić: nóż sprężynowy, brylantowy pierścionek rodziny carskiej, dziewczynę, maść na odciski, życzliwość urzędnika i sumienie policjanta. Za parę groszy można było dostać nożem w plecy, pałką przez łeb, kastetem w oko. Bałuty mogli wymyślić pospołu Dickens i Balzak. Tylko że nie przysporzyli sławy tej łódzkiej dzielnicy żaden Fagin ani Vautrin. Nikt panu dzisiaj nie powie z czego żyła większość mieszkańców Bałut, ale tego dawniej również nikt nie wiedział. Nikt tu nikomu nie zaglądał do garnka ani do kieszeni, ale wiadome było, że te bałuckie garnki często były postne, a kieszenie chude.

Był więc Szaja Zylberszac czymś w rodzaju rezydenta dintojry na tę zakazaną dzielnicę. Z postury podobny do Ślepego Maksa. Oczy w przeciwieństwie do swego przyjaciela miał bystre. Ślepy Maks jedno oko miał wybite. Kiedy i jak je stracił — nie wiadomo. Sam Maks wielokrotnie zmieniał wersję tego wydarzenia. Ostatnia głosiła, że oko to wybił mu żandarm carski, ale jak już mówiłem, Maks był blagierem, i to takim, że pozazdrościłby mu niejeden Marsylczyk...

Wróćmy jednak do Szai, bo tej opowieści nigdy nie skończymy. Wysoki, łysawy, był Szaja Zylberszac bardzo silny, co na Bałutach stanowiło ważną zaletę, bez której nie mogło być mowy o zachowaniu autorytetu. Tak jak Maks, Szaja mówił źle po polsku, ale na Bałutach nikomu to nie przeszkadzało. Posługiwano się czymś w rodzaju miejscowego dialektu. Nie trzeba zgłębiać tajników psychologii, by się domyślić, co czuł Szaja Magnat po utworzeniu getta. Był on tutaj u siebie, i to do niego, na Bałuty, zepchnięto całą żydowską Łódź, albo raczej to, co z niej, po ucieczkach i wysiedleniach, zostało. Co więcej, na terenie, którego czuł się władcą, powstało bez jego akceptacji całe nowe państwo z żydowskimi władzami, z żydowskimi urzędnikami i żydowską policją. Jego — jego! — świat przestał się liczyć. Niech pan zauważy, że wcale nie jest wykluczone, iż przy swoich znajomościach, dzięki swemu sprytowi i na swoich Bałutach mógł Szaja Magnat przeżyć kilka lat w warunkach nie gorszych, a może i lepszych niż sto pięćdziesiąt tysięcy innych Żydów. Tylko że Szaja Zylberszac nie miał w sobie nic z męczennika. Nie mógł się zgodzić, jak inni być męczonym, zagłodzonym, schorowanym, bitym Żydem. Nie jest wykluczone, że dalszymi jego poczynaniami kierowała ambicja i swego rodzaju gorycz. Nikt go tutaj nie potrzebował! Co gorsza, on, specjalista od wszelkich możliwych spraw, które polegały na omijaniu prawa, on stary rep, dla którego żadna specjalność w złodziejskim fachu nie miała tajemnic, musiał patrzeć, jak wokół niego, w tym groteskowym państewku, panoszyli się złodzieje-nuworysze, amatorzy piastujący swoje urzędy z łaski oszalałego starca Rumkowskiego. I wreszcie, myślę także, proszę pana, że rodziło się w nim coś w rodzaju poczucia wspólnoty. Uznał prawdopodobnie, że wobec takiego wroga, jakim był Niemiec, obowiązywała Żydów bezwzględna solidarność, a w tej sytuacji wzajemne okradanie się było hańbą.

To była jedna strona problemów Szai. Druga była zupełnie innej natury. Jak już panu powiedziałem, dintojra korzystała z pomocy policji, policja korzystała z pomocy dintojry. Pytanie, jakie sobie stawiał Szaja, dotyczyło sprawy niebłahej: czy władze niemieckie przejąwszy po polskiej policji wszelkie akta i dokumenty zażądają od niego jakichś konkretnych usług na zasadzie kontynuacji? Z tego, co opowiadali później jego przyjaciele, wnioskować można, że spodziewał się on w każdej chwili wezwania do Kripo czy gestapo. Szaja gardził serdecznie zwykłymi konfidentami, a co dopiero mówić o tych pracujących dla władz niemieckich. Niewiele mogę panu w tej sprawie powiedzieć, ale wszystko wskazuje, że policje niemieckie korzystały z usług ludzi, którzy pracowali uprzednio dla polskiej policji. Znalazło się kilku takich w getcie. Byli to konfidenci, o których wszyscy wiedzieli, kim są i czym się zajmują. Pokazywano sobie palcami różnych Wajlandów, Berkowiczów, Grynbergów, których ten czy ów pamiętał z czasów przedokupacyjnych. Niewykluczone, że początkowo władze niemieckie korzystały z ich usług. Jednakże pewnego dnia cała ta trójka nagle zniknęła. Wszelki ślad zaginął po dwóch z nich — Wajlandzie i Grynbergu, a zmasakrowane zwłoki Berkowicza pogotowie gettowe zabrało z siedziby Kripo przy placu Kościelnym, by odstawić je na cmentarz... A Szaja pełen obaw czekał. Uważał siebie za kogoś znacznie lepszego i swoją współpracę z policją kwalifikował prawdopodobnie jako coś w rodzaju porozumienia dwóch równorzędnych sił.

Minęło kilka miesięcy i nikt na szczęście nie zainteresował się Szają Magnatem. Sam Szaja oczywiście nie pracował, gdyż dzięki Bogu nie nadeszły jeszcze, tak przynajmniej uważał, takie czasy, aby on, magnat bałucki, musiał pracować na kawałek chleba. Rozglądał się. Rozglądał się i czekał.... Zapyta mnie pan, skąd o tym wszystkim wiem? Otóż w swoim czasie trochę się losami Szai Magnata, szefa dintojry, interesowałem. Tu rozmawiałem, tam rozmawiałem, resztę sobie dośpiewałem... Czy aby dośpiewałem właściwie? Dalszy przebieg wydarzeń przekona pana, że się nie myliłem.

C.D.N.

Ryc. Janusz Szymański-Olene

Powyższy odcinek jest kolejnym fragmentem nowej książki Arnolda Mostowicza „Żółta Gwiazda i Czerwony Krzyż", która niebawem ukaże się nakładem PIW. Są to zbeletryzowane wspomnienia autora z czasów kiedy autor był więziony w łódzkim getcie i obozach koncentracyjnych III Rzeszy.

„Azyl polityczny" — nowa książka Andrzeja Brychta (8)

Kiedy Jan Duch opowiadał mi o swojej wizycie u Jerzego Giedroycia, uśmiechałem się do siebie, ponieważ cała ta sytuacja wyświetlała mi się w wyobraźni dokładnie, jak film, w którym kiedyś sam grałem rolę. Pamiętałem ten duży pokój o lśniącym drewnianym parkiecie, pełen ułożonej w stosy polskiej prasy... Na dużym stole numery „Trybuny Ludu" i „Życia Warszawy" z bieżącą datą. Przychodziły natychmiast, nie tak, jak zwykle, z trzydniowym opóźnieniem dla zwyczajnych prenumeratorów, mieszkających w Zachodniej Europie. Jerzy Giedroyć otrzymywał prasę rano, tego samego dnia. Musiał przecież trzymać rękę na pulsie, reagować natychmiast na wszystko, co działo się w kraju. To była jego praca.

Ale Jan Duch wciąż jeszcze, po tylu latach, dziwi się, w jaki sposób te wszystkie gazety, łącznie z „Chłopską Drogą", i z tytułem jak „Gromada — Rolnik Polski" znajdowały się w pokoju Giedroycia w dwie, trzy godziny po zejściu z maszyny drukarskiej.

— *Musiał to robić ktoś z jakiejś ambasady, kupować i podawać na lotnisku stewardesie z Air France, a w Paryżu pewnie pani Hertz, będąca tam na zakupach u rzeźnika, przy okazji odbierała prasę...* — śmieje się z wyrażającej brak przekonania miny Ducha.

— *Stary, to jest organizacja* — kręci on głową z uznaniem. — *U Giedroycia czułem się, jak w warszawskim Klubie Książki i Prasy. Tyle było czytania...*

Jan Duch lubił kiedyś czytać gazety, wszystko, co mu wpadło w rękę. Publikację „Mleko, jaja, drób" czytał od dechy do dechy jakby to był jakiś kryminał. I nawet tę publikację dostrzegł u Giedroycia. Ale nie dane mu było zapoznać się z najnowszymi osiągnięciami polskiego przemysłu jajczarskiego i przedyskutować je z Giedroyciem.

Redaktor bowiem był człowiekiem biznesu. Wysoki, dość szczupły, z jedwabnym fularem pod szyją, wystającym z rozpiętej koszuli, emitował z siebie powstawą i głosem sygnały ostrzegawcze: *„istoto ludzka, jeżeli hołdujesz gadulstwu, nie zbliżaj się do mnie"*, oraz *„właściwie, to przecież my się w ogóle nie znamy, a pan, przepraszam, to chyba z plebsu"* — i ostrzeżony paroma gestami i spojrzeniami gość już z mniejszym animuszem przystępował do omawiania sprawy, która go do „Kultury" przywiodła.

Jan Duch nie poddawał się takim emisjom. Przyzwyczajony do różnych fanaberii oficerów śledczych, którzy byli zdecydowanie rzeczywiści, Jerzego Giedroycia zaklasyfikował do rzędu teatralnych postaci, rekwizytów z epok minionych. Takie postawienie sprawy utrudniało dialog, i tak już prawie niemożliwy. Giedroyć wyczuwał, że temu plebejuszowi chodzi tylko o jedno: o trochę forsy, i żeby się wszyscy od niego odpieprzyli. Co więcej, Giedroyć wiedział, że Jan Duch da sobie radę w świecie, że nie jest warszawskim kawiarnianym molem papierowym, dla którego „Kultura" byłaby z konieczności jedynym oparciem. Taki stwór, jeden z wielu, którzy odwiedzali redakcję, byłby się czołgał do stóp księcia, byłby gotów zrobić wszystko, czego się od niego zażąda. Jednak jeden rzut oka na Ducha i na Georgię powiedział Giedroyciowi prawdę: *„ci ludzie mają mnie w dupie"*.

Dlatego też Giedroyć przyjął styl z dystansem, takie desinteressement na 50 procent. I dobrze. Czasami tylko jakieś ludzkie odcienie pojawiały się w jego tekstach, na przykład: *„nie będzie tu państwu lekko"* — ale znów był to kolejny sygnał, mówiący wyraźnie, że nie mają na niego co liczyć.

Jan Duch otrzymał zaliczkę na tom wierszy oraz na powieść, której temat wymyślił w pociągu. Miała to być powieść, demaskująca rzeczywistość polską, ale podpisując umowę obaj wiedzieli, że ten utwór nigdy nie ujrzy światła dziennego. Wystarczyła zaliczka.

Po załatwieniu interesów nastąpiła część artystyczna: obiad w małej jadalni, z nieodłączną sztuką mięsa i z pokazem łykania fragmentów opony w wykonaniu księcia.

W pociągu powrotnym do Paryża Duchowie, podobnie jak ja wcześniej, jechali z panią Hertz. Tym razem rozmowa dotyczyła Jerzego Giedroycia i Witolda Gombrowicza.

— *Pan Giedroyć musi być strasznie zapracowany* — powiedział Duch.

— *Okropnie* — przyznała pani Zofia, zajmująca się dawniej przez wiele lat redagowaniem kącika humoru krajowego na ostatniej stronie „Kultury". — *Jest tak zajęty, że nie ma czasu na osobiste życie. Czy państwo wiecie, że on ma dotąd paszport uchodźczy? Nie przyjął obywatelstwa francuskiego, bo według niego wówczas nie mógłby walczyć o to, o co walczy. Nie mógłby walczyć o Polskę jako obywatel francuski.*

— *To musi mu strasznie utrudniać życie* — powiedziała ze współczuciem Georgia, której na niczym nie zależało tak bardzo, jak na otrzymaniu jakiegoś porządnego obywatelstwa, francuskiego czy belgijskiego, byle prędzej.

— *Okropnie utrudnia* — przyznała Zofia Hertzowa. — *Żebyście państwo wiedzieli, ile razy już cały Instytut znajdował się na krawędzi... I tylko dzięki niemu...*

— *Czyżby i po tej stronie działali przeciwnicy „Kultury" i Instytutu Literackiego?* — zapytał Duch, szczerze ubawiony.

— *Po tej stronie mamy większych i groźniejszych przeciwników niż w Polsce. Z Polski mogą sobie pokrzykiwać, im więcej, tym dla nas lepiej. Ale tutaj istnieją naciski prawdziwe... I tylko dzięki jego nieprawdopodobnemu poświęceniu i uporowi udaje się utrzymywać to przedsięwzięcie.*

Jan Duch, który w tym okresie był miłośnikiem prozy Witolda Gombrowicza, powiedział, że Instytut ma niezaprzeczalny wkład do kultury polskiej właśnie dzięki wydaniu wszystkich utworów tego pisarza. Zapytał, czy Giedroyć i Gombrowicz znali się jeszcze przed wojną.

— *A skąd! Poznali się dopiero tutaj, po powrocie Gombrowicza do Europy. Chociaż w korespondencji od dawna już byli na „ty". I w końcu Witold zjawił się u nas pewnego dnia, Jerzy sam otworzył drzwi i zobaczyli się po raz pierwszy. Widziałam to dokładnie...*

— *Musieli sobie przypaść do gustu* — powiedziała Georgia.

— *Niespecjalnie* — rzekła Hertzowa. — *Na widok Giedroycia Gombrowicz powiedział lekko wyniośle: słuchaj, Jerzy, w Paryżu rodacy traktują mnie jak Mickiewicza. Na to Giedroyć obojętnie: nigdy nie przepadałem za Mickiewiczem.*

I opowiedziała o pobycie Witolda Gombrowicza w willi, o kłopotach, jakie stwarzał. Zwykli planować numer w pokoju po prawej stronie, gdzie na dużym stole rozkładali makiety i wszystkie materiały, potrzebne do zesłania numeru do drukarni. Kończyli późno w nocy i zmęczeni szli spać, zostawiając robotę prawie ukończoną, rozłożoną na stole w dopracowanych z trudem, sobie tylko wiadomych konfiguracjach. Pewnego ranka Hertzowa wstaje, słyszy jakieś hałasy, trzaski na dole. Schodzi, raczej pospiesznie, bo odgłosy miętego i darcia papieru dobiegają z pracowni... O zgrozo! Widzi Gombrowicza, który w porannym tużurku zdążył już sprzątnąć wszystko ze stołu, zwalić w kącie, a to, co spadło na ziemię, podnosi i drze i wrzuca do kosza... Oniemiała Hertzowa nie może wykrztusić słowa, a Gombrowicz chłodno, rozkazująco, jak do służącej:

— *No, nareszcie pani wstała, proszę natychmiast wynieść te papierzyska, nakryć do stołu. Za kilka minut przyjadą do mnie goście na śniadanie, proszę o jajka po wiedeńsku, sześć razy, oraz café au lait.*

W Brukseli Jan Duch zadzwonił do faceta, nazwiskiem Merło. Ten był już uprzedzony przez Giedroycia. Spotkali się w biurze komitetu pomocy dla uchodźców. Stanisław Merło był mały, okrągławy, ruchliwy, wiecznie zaaferowany, z daleka pachniał konspiracją, co przy jego sylwetce dawało zabawne efekty.

Teraz właśnie nastąpił moment najważniejszy: Duch i Georgia oficjalnie złożyli prośbę o azyl — na ręce pana Merły, który od tej pory, aż do otrzymania azylu, miał się obojgiem opiekować.

Kiedy składali oświadczenia i wypełniali różne ankiety, z którymi Merło nazajutrz miał udać się do różnych belgijskich urzędów, pojawiał się w biurze i znikał niewysoki, szczupły człowieczek o podsuszonej twarzy i uważnym, trochę zaniepokojonym, a trochę niechętnym spojrzeniu. Duch słusznie przypuszczał, że jest to pracownik komitetu, nie zwracał więc na szarą postać uwagi. W pewnej chwili Merło wyszedł z pokoju, a ten drugi urzędnik skorzystał z okazji, by zacząć rozmowę. Zadał parę stereotypowych pytań, do których Duch już był przyzwyczajony, w rodzaju: *„no, to jak tam w Polsce, proszę pana?"*, albo: *„trudno u nich żyć, prawda?"* Chcąc okazać uprzejmość i zdrowy rozsądek, jakim powinien cechować się nowoczesny Europejczyk, Duch zaczął bredzić coś o trudnościach, na jakie napotyka w kraju tak zwana inicjatywa prywatna, ci wszyscy pracowici i podziwu godni badylarze i prywaciarze, bez których nie byłoby w kraju ani rzodkiewki, ani grzebienia, ani haczyków do firanek. Urzędnik jednak nie okazał zbytniego zainteresowania tym tematem, na szczęście, bo Duch nie miał zbyt wiele do powiedzenia w imieniu prywaciarzy, których zresztą, jak większość ludzi w Polsce, uważał za kanciarzy i złodziei.

Szary człowieczek przeprosił, odwrócił się i podniósł słuchawkę. Georgia i Duch patrzyli na niego obojętnie, myśląc sobie, że taki typek musi przecież żyć z donosów, wobec czego można spodziewać się, że po krótkim seansie udawania obojętności, zaprosi ich na posiłek, by wyciągnąć z nich, co się da. Typek tymczasem nakręcił numer i bardzo godnym, bardzo poważnym głosem powiedział:

— *Tu mówi książę.*

Duch i Georgia spojrzeli na siebie szeroko otwartymi oczami. Jeszcze sekunda i parsknął śmiechem. Ale człowieczyna, nie mogąc widocznie złapać kontaktu, powtórzył, tym razem z dającym się odczuć zniecierpliwieniem:

— *Hallo! Tu mówi książę! Czy maman jest jeszcze w domu?*

Po czym natychmiast przeszedł na francuski. Niebywałe. Duch nie mógł uwierzyć, że to dzieje się na serio, że ktoś może — w dwudziestym wieku! — mówić o sobie samym per „książę". Byłby mniej zaskoczony, gdyby w jego obecności jakiś pies powiedział do słuchawki ludzkim głosem. *„hallo, tu mówi pudel"*. Kiedy człeczyna wyszedł, Georgia powiedziała:

— *To jest pewnie jego nazwisko, pan Książę, a może po prostu Książek, a my nie zrozumieliśmy.*

Wrócił Merło. Duch:

— *Panie Stanisławie, kim jest ten pan, który tu z nami został przez kilka chwil?*

Merło:

— *To książę Sapieha.*

— *O, kurwa go mać!* — powiedział Duch.

Georgia skuliła się ze śmiechu. Duchowi łzy ciekły po twarzy. Merło nie rozumiał, o co chodzi. Wreszcie Duch powiedział mu o sposobie, w jaki ten facet przedstawiał się przez telefon.

— *Toż to operetka, drogi panie* — mówił Duch. — *Gdzie myśmy przyjechali? Rozumiem, że Giedroyć jest podobno jakimś tam księciem, ale słyszałem o tym od innych, on mi tego nie mówił. Zwracałem się do niego normalnie, per „panie redaktorze", bo taki jest jego zawód i funkcja. Ale żeby na serio dorosły człowiek siebie samego przedstawiał przez telefon w ten sposób... w głowie się nie mieści.*

Merło z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

— *Proszę państwa* — wyjaśnił. — *Książę Sapieha pracuje w komitecie pomocy, ma bardzo poważną funkcję. On i biskup Rubin bardzo pomagają komitetowi...*

— *Jaki biskup?*

— *Rubin.*

— *Przecież to...* — zdziwił się Duch.

— *Biskup Rubin* — tłumaczył Merło — *jest polskim duchownym pochodzenia mojżeszowego. Przechrzcił się, rozumie pan, i doszedł do godności biskupa. Jest głównym pasterzem uchodźstwa i emigracji.*

Po wyjściu od Merły nasza parka uchodźców szła ulicą w lekkim oszołomieniu. Żydowski biskup i operetkowy książę! Istny cyrk.

— *Spierdalajmy stąd* — powiedział Duch. — *Dziewczyno, my się tu nie uchowamy.*

— *Pewnie, że nie. Nie z tymi kretynami. Nie pasujemy do tego przedstawienia. Mimo wszystko wychowanie w komunizmie uczuliło nas na groteskę* — odparła Georgia. — *Trzeba nauczyć się języka i wejść w normalny świat, i to jak najszybciej.*

Ale na razie weszli do hotelu, który wydawał im się niezbyt drogi. Facet w recepcji wyglądał jak goryl. Patrzył na Georgię spojrzeniem fachowca. Georgia prowadziła pertraktacje, ponieważ tamten znał angielski.

— *On się pyta, na ile godzin* — zwróciła się do Ducha.

— *Na dwa tygodnie* — rzekł Duch. — *Tyle powinno wystarczyć na otrzymanie azylu.*

— *Nie wytrzymacie tu* — powiedział facet. — *Tu się wynajmuje na godziny, dzień i noc, ściany są cienkie i pokoje jak klatki. Lepiej idźcie gdzie indziej.*

Ale w okolicy były same burdele. Zadzwonili do Stanisława Merły i skierował ich do hotelu o nazwie „Le Duc", prowadzonego przez Polaków.

Następnego dnia zaczęła się karuzela. Od samego rana Merło ciągnął ich po urzędach. Najpierw policja — krótkie przesłuchanie wstępne, podanie danych osobistych, podpisanie prośby o udzielenie azylu. Potem odciski palców: każdy palec po kolei, potem wszystkie naraz, potem cała dłoń odbita na kartonie. Niektórzy mówią, że robienie odcisków palców jest poniżające. Na Ducha to nie działało. W Polsce dawał odciski parę razy. Nie miało to dla niego znaczenia. I tak, wiedział to na pewno, włamywać się nigdzie nie będzie. Niech więc sobie biorą, nawet u nóg.

Potem opis znaków szczególnych, tatuaży. Duch miał dwa małe tatuaże na lewym przedramieniu. Opisano je dokładnie. Ten po zewnętrznej stronie wskazywał daty Duchowego kiblowania: Ł 55—56, a pod spodem: W 58—59. Między datami znajdowały się kraty, od których wił się kolczasty drut. Tę artystyczną robótkę wykonał niejaki Jurek Majewski, zapuszkowany na piętnaście za skoki z kopytem. Jurek był miłośnikiem poezji, więc Duchowi wydziergał za darmo, choć od innych brał po dwieście fajek za mniej skomplikowane wzorki. Po wewnętrznej stronie przedramienia fragment wiersza francuskiego poety Louisa Aragona: „IL N'Y A PAS D'AMOUR HEUREUX". Aragon był ideowym komunistą, Żydem — dzisiaj piszą o nim, że był stalinowcem — ale czy to ważne? Louis Aragon dla Jana Ducha jest poetą wielkim, poetą jego młodości. Duch nienawidził stalinizmu, natomiast Aragona uwielbiał. *„Miłości szczęśliwej nie masz, ojczyznę czy miłą kochasz"* — tak to brzmiało w przekładzie Adama Ważyka, innego stalinowca. Jan Duch darzy miłością strofę duetu Aragon — Ważyk, jedną z piękniejszych strof poezji światowej: *„...powróci wiosna, wróbli zaświergocą roje /powiem ci o miłości w pełnym marzeń łożu/ gdzie jak złoto pierścienia będziemy we dwoje..."*

Ten ostatni werset dziś jeszcze daje Duchowi „goosebumps", czyli gęsią skórę, taką samą, jak przy słuchaniu finału symfonii „Tytan" Mahlera.

— *Mahler też, zdaje się, był Żydem* — powiedziałem. — *Jak wobec tego mam traktować pogłoski o twoim antysemityzmie?*

— *Można szanować Włochy, niekoniecznie kochając mafię. Zresztą wielcy ludzie nie potrzebują ani religii, ani narodowości* — odparł. — *Mnie przynajmniej nic to nie obchodzi. Interesuje mnie produkt ostateczny jednostki ludzkiej. Interesuje mnie sztuka, a reszta, brud i brzydota życia, lichwa, bandytyzm, oszustwo są wszędzie takie same.*

Opisano dokładnie tatuaże Ducha. Georgia nie miała znaków szczególnych. Po wyjściu z budynku Duch poprosił Merłę o znalezienie dla nich tańszego hotelu, ponieważ jeszcze dwie noce w „Le Duc" i będą bez grosza. Wówczas Merło powiedział, że rachunek hotelowy bierze na siebie, to znaczy na Komitet Pomocy. Ale też zaproponował im przeniesienie do domu Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, gdzie nie będą się czuli tak osamotnieni.

— *Mieszka tam wielu Polaków, którzy znajdują się w podobnej do państwa sytuacji. Na pewno będzie wam łatwiej znieść czas oczekiwania na azyl. Oczywiście będziecie mieli osobny pokój, i komitet będzie zadowolony, ponieważ ceny tam są stosunkowo niskie. No i jest biblioteka, wiele wydawnictw Instytutu Literackiego, których pan Jan pewno nie zna, i polskie gazety...*

Wszystko to wyglądało bardzo obiecująco. Nareszcie będzie można pogadać z kimś nowym. Kilka miesięcy, spędzonych razem, dały im się obojgu we znaki. Nie mogli już znieść swego towarzystwa.

Tu mówi książę!

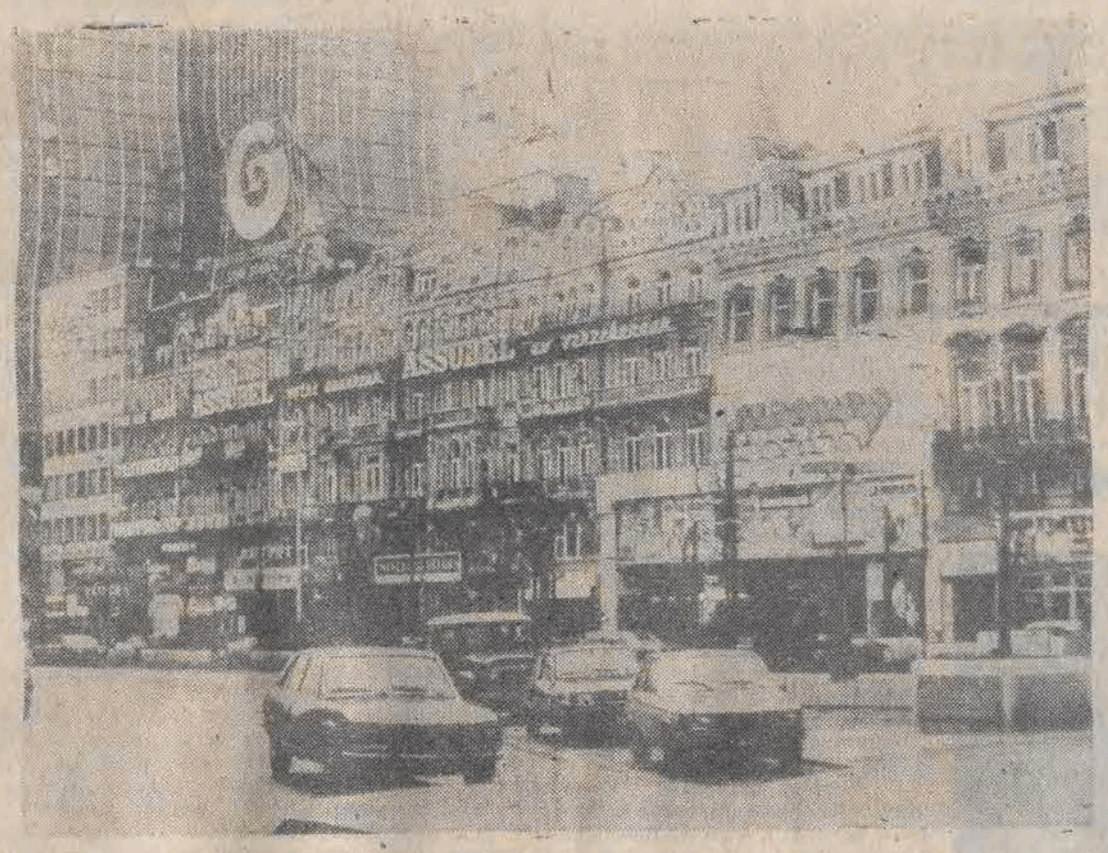

Naiwne przewidywania! Mieszkałem już od kilku tygodni w domu SPK na rue Jourdan. Byłem jednym z dwudziestu ludzi, czekających na azyl. Jak dotychczas otrzymaliśmy tak zwane zielone karty, uprawniające do legalnego wykonywania pracy. Ale nikt się nie starał o pracę. Jak pracowałeś, to koniec z zapomogą od komitetu. A zapomoga nie była zła, wystarczała na drobne przyjemności, w rodzaju pornograficznego filmu czy butelki „vin rouge ordinaire" co drugi dzień — a ponadto można było sobie w miarę potrzeby kupić ubranie, buty, koszulę — i Merło zwracał koszta. Ale żeby spodziewać się trajdy towarzyskiej? Czy poeci zawsze są aż tak naiwni?

Kiedy Jan Duch z żoną zjawił się wśród nas, zrobiła się niezła sensacja. Może Duch myślał, że chodzi o niego? Że takim sławnym jest poetą? Bo patrzyli na nich, wodzili oczami, szeptali po kątach. I ja też wodziłem oczami. Ale nie za Duchem. Za Georgią.

Takiej świetnej dupy nasi chłopcy dawno już nie widzieli. Nawet bogate prostytutki, krążące w mercedesach i BMW, z nieodłącznym pudelkiem za tylną szybą, nie mogły się z nią równać. Zresztą, o kurwach z Porte Namur mogliśmy sobie tylko pomarzyć, kosztowały za drogo, a Georgia była z nami tutaj, w tym samym domu, przez ścianę, ba, można było sobie z nią nawet pogadać na korytarzu, czy przy okazji spotkania na rynku albo w sklepie.

Wieczorami potencjalni azylowcy, tryskający nie wyzyskaną energią, podpaleni kombinowaniem, w jaki sposób zerwać Duchowi żonę, walili konie, aż się trząsł stary budynek. Duch nie wiedział, że szykują na niego zamach, że w najdrobniejszych szczegółach opracowują plan porwania Georgii — do pokoju na najwyższym piętrze, po uprzednim spiciu Ducha do nieprzytomności. Tam, kontynuując nadużywanie alkoholu, trzech największych cwaniaków miało zamiar spić również Georgię, nie w trupa bynajmniej, ale tak, by następująca w konsekwencji orgia seksualna wydała się jej czymś naturalnym i ze wszech miar pożądanym.

C.D.N.

■

Wideonotes

FILM, TV, WIDEO

FILM Z KASETY

9 i pół tygodnia

„9 1/2 tygodnia" Adriana Lyne zrobił oszałamiającą karierę na tzw. rynkach zachodnich i został nawet uznany filmem roku 1986 w Wielkiej Brytanii. Teraz, dzięki wideo —mimo że już wielokrotnie okazało się, że gusty polskie i zachodnie to dwie różne sprawy — robi karierę u nas. Sprawa więc zaczyna być poważna i zmusza do zastanowienia.

„9 1/2 tygodnia" to opowieść o dwojgu ludziach którzy przypadkowo się spotykają, fascynują sobą, przeżywają niezapomniane chwile, po czym coś zaczyna się między nimi psuć i wreszcie dochodzi do rozstania, chociaż dla obojga jest to trudne do zniesienia. Historii takich opowiedziano już w kinie masę i pewnie nadal będzie się je opowiadać, dotyczą bowiem jednego z najbardziej trwałych fenomenów człowieka, a poza tym — w przeciwieństwie do szalonych eskapad na inne planety, brawurowych akcji terrorystycznych i toczących się na szczycie władzy rozgrywek — w ich trakcie każdy z siedzących na sali czy przed telewizorem może utożsamiać się z bohaterami, porównywać, ba, nawet uczyć. Naturalnie aby się jakoś wyróżnić w tej powodzi, aby zdobyć popularność, trzeba — oprócz perfekcyjnego warsztatu i aktorstwa — zalecić się czymś nowym, trafić w to, co „wisi w powietrzu". W „9 1/2 tygodnia" tą cechą wyróżniającą jest seks.

Już podczas pierwszego spotkania bohater bez słowa zarzuca na łóżko prześcieradło, dalej zaś nie musi już nawet dawać tak dyskretnych sygnałów i stosować tak tradycyjnych rekwizytów; stosunki cielesne bowiem nie improwizacji w miejscach i sytuacjach błyskawicznie adaptowanych do tego typu potrzeb. Mamy więc na przykład gwałtowne zbliżenie w jakiejś ruderze tuż po opedzeniu się od grupy chuliganów, która robi tu za pieszczoty wstępne, mamy też koneserski coitus w domu meblowym, gdzie bohaterowie wybrali się w zasadzie po zakup kanapy, ale że towar należy najpierw wypróbować... I tak mija czas.

Razem ze zmianą miejsc zmieniają się też techniki, w każdym razie inicjujące; raz jest to wodzenie po ciele kawałkiem lodu, innym razem mazanie się spożywanym właśnie jedzeniem, jeszcze kiedy indziej zaś przebieranka, pełzanie na czworakach, itd., itp. Nigdy jednak — żeby nie było nieporozumień — nie dochodzi do czystej pornografii, zawsze mamy do czynienia z dobrą grą aktorów (Mickey Rourke — to dziś zresztą wschodząca gwiazda światowego kina), świetnym uchwyceniem erotycznego klimatu, wysmakowanymi zdjęciami. Gdyby już koniecznie trzeba było to do czegoś porównać, to raczej do „Playboya" niż prymitywnych „świerszczyków".

Perfekcyjny warsztat zawsze nobilitował film i potrafił byle jaką anegdotę wznieść do poziomu filozoficznego traktatu, rzadziej — bo perfekcyjny warsztat to rzecz bardzo trudna i rzadka — zakrywał myślowe i emocjonalne pustki, za pomocą zwykłego szkła udawał brylant.

W przypadku filmu Adriana mowa schodzą jednak na plan Lyne'a, rozważania czysto fildalszy. Film, a głównie jego powodzenie, jest zjawiskiem przede wszystkim socjologicznym. Celowo do tej pory nie było używane słowo „miłość", bo właśnie jedno z pytań jakie powodzenie tego filmu stawia, dotyczy, żeby wyrazić się naukowo, form miłości w świecie współczesnym i zmian jakie w tym zakresie zaszły. A także roli kobiety i mężczyzny.

Ten ostatni punkt jest szczególnie ciekawy, kobiety bowiem, znane z tego, że niechętnie patrzą na spektakle ocierające się o pornografię, „9 1/2 tygodnia" oglądają równie tłumnie jak mężczyźni. A przecież w tym filmie kobieta jest wyłącznie rodzajem przedmiotu erotycznego i buntuje się dopiero, gdy mężczyzna — w ramach eskalacji swoich kaprysów — sprowadza „na trzeciego" zawodową prostytutkę. Zresztą i wtedy bunt ten jest dwuznaczny, jakby był wynikiem tylko starych przesadów, które jeszcze zupełnie nie straciły swej władzy.

Czyżby całe równouprawnienie było zwykłą bujdą? Chyba lepiej za bardzo w to nie wnikać, mężczyznom jednak radziłbym, na wszelki wypadek, postępować tak, jakby ono nie istniało. Wprawdzie jest to patent tylko na 9 i pół tygodnia, ale to przecież aż 66 do 67 dni. Dobre i to!

RYSZARD NAKONIECZNY

„9 1/2 TYGODNIA", reż. Adrian Lyne, zdj. Peter Biziou, aktorzy: Mickey Rourke, Kim Basinger, prod. angielska.

A może do kina?

Bohaterką radzieckiego filmu „PIERWIOSNEK" w reżyserii **Wiktora Żyłko** jest dziewczyna, której wczesne dzieciństwo upływa w spokoju, pełne macierzyńskiej miłości i serdecznych wspomnień o nieżyjącym ojcu — zginął podczas wojny domowej. Ten spokój zostaje zakłócony, gdy matka decyduje się na ponowne małżeństwo z mężczyzną, którego dziewczyna nie akceptuje. Akcja filmu rozgrywa się w latach dwudziestych i na tym dopiero tle, tle prowincjonalnego miasteczka, ukazuje nam się przejmująca opowieść o trudnym okresie dojrzewania dziewczyny z prowincji.

W filmie występują: **Sasza Rudienko, Katia Riaboszlyk, Natalia Szostak i Andriej Bołtniew.**

Fakty ◆ Plotki ◆ Anegdotki

■ A więc kolejne, 16 Koszalińskie Spotkania Filmowe zakończyły się. Młodzieżowe (nieprofesjonalne!) jury oceniło 86 filmów fabularnych i krótkometrażowych. „Wielkiego Jantara 88" przyznano filmowi węgierskiemu **„Piękne dziewczęta" Laszlo Hartaia i Andreasa Dera.** Spośród fabularnych debiutów telewizyjnych wyróżniono **„Zero życia" Rolanda Rowińskiego.** Nie przyznano nagrody w kategorii debiutów fabularnych, natomiast za debiut krótkometrażowy nagrodzono **Marka Skrobeckiego** za film pt. **„Epizod".** Również dziennikarze nie znaleźli nikogo, kto by zasługiwał na nagrodę — za najciekawszą indywidualność twórczą. Widzowie natomiast wyłonili laureatów nagród za najlepsze kreacje aktorskie — **Sylwię Wysocką („Zad wielkiego wieloryba")** oraz **Olafa Lubaszenko („Bez grzechu")**

■ Telewizja zapowiada w najbliższym sezonie dwa nowe cykle teatralne — „Telewizyjny Teatr Rozmaitości" oraz „Telewizyjny Teatr Prozy". Szefowie od teatru TV utrzymują, że Teatr Poniedziałkowy pełnił zbyt wiele funkcji. Z jednej strony ma bowiem mieć bogatą ofertę kulturalną, zapoznawać widza z najwybitniejszymi dramatami jakie powstały w dziejach teatru, z drugiej zaś istnieje wyraźny nacisk widzów, domagających się większej dozy pozycji lekkich i rozrywkowych. Nie pozbawiając więc Teatru Poniedziałkowego jego roli, kierownictwo redakcji teatralnej telewizji postanowiło uruchomić nowe sceny, które spełniałyby postulaty widzów. Scena „Telewizyjnego Teatru Rozmaitości" (co drugi piątek, godz. 20) oferować nam będzie (ponoć) wiele niespodzianek, od komedii po farsy melodramaty, spektakle muzyczne, na sensacyjnych kończąc. Już 2 września zainauguruje ten cykl jednoaktówka **Tadeusza Rittnera „Odwiedziny o zmroku".** W miejsce cennej „Antologii Dramatu Powszechnego" wchodzi nowy cykl — „Telewizyjny Teatr Prozy". Pierwszą pozycją tej sceny będzie **„Popiół i diament" Jerzego Andrzejewskiego** w reżyserii **Zygmunta Hübnera** (sobota, 3 września, godz. 15).

■ **„Lawa"** — taki tytuł nosił będzie kolejny film **Tadeusza Konwickiego** według **„Dziadów" Adama Mickiewicza.** Z rekonesansu reżysera na Wileńszczyźnie wiadomo już, że zdjęcia do filmu realizowane będą m. in. w klasztorze bazylianów i na Placu Katedralnym Wilna.

■ Na festiwalu w Wenecji swoje najnowsze dzieło zaprezentuje **Wojciech Has.** Będzie to **„Niezwykła podróż Baltazara Kobera"**, film zrealizowany w koprodukcji z Francją. Francuska telewizja zrealizowała 25-min. film dokumentalny poświęcony Wojciechowi Hasowi.

■ **Liz Taylor** opuściła ponoć kolejnego męża **Georga Hamiltona,** by oddać się pod opiekę nowego przyjaciela, amerykańskiego milionera, **Malcolma Forbesa.** Liz twierdzi, że „jeszcze nigdy żaden z jej licznych mężów i kochanków nie otaczał jej taką opiekuńczością, jak Malcolm.

■ Historia nauczycielki angielskiego, która przybywa do Meksyku na początku wieku i przyłącza się do rewolucyjnych oddziałów **Pancho Villi** — oto w największym skrócie treść powieści **Carlosa Fuentesa „Old Gringo"**, którą przenosi na ekran **Jane Fonda** jako odtwórczyni głównej roli i producentka. Jej chyba należy przypisać, że po dziesięcioletniej nieobecności powraca na ekran — w tym właśnie filmie — **Gregory Peck.**

Młodzi zarabiają mało. Młodym każe się czekać — na „swoje" lata, na bliżej nie określone możliwości, na lepsze czasy. Dlatego aż osiemdziesiąt procent maturzystów i studentów pragnęłoby przynajmniej okresowo wyjechać za granicę, na Zachód, bo tam są pieniądze i łatwiej się dorobić. Niektórzy wyjeżdżają. Większość pozostaje jednak w kraju i tu szuka swej szansy. Ale tylko nielicznym udaje przebić się przez wciąż jeszcze twardą skorupę nawyków i przepisów, które krępują ich przedsiębiorczość, oduczają pracowitości i samodzielności oraz są jedną z głównych przyczyn tego, że żyjemy dziś tak, jak żyjemy.

1.

Krzysztofowi Gmajowi udało się. Przede wszystkim dzięki temu, że zaczynał nie z całkiem pustą kieszenią, nie bał się ciężkiej pracy ani ryzyka, a przy tym miał trochę szczęścia. Najpierw przez trzy lata był ajentem rożna w **Kowiesach** przy trasie szybkiego ruchu Katowice — Warszawa, gdzie na kiełbaskach, kurczakach i piwie zarobił nieco grosza. Teraz w **Białej Rawskiej** prowadzi... prywatne kino, które też — jak przewiduje — powinno dawać mu niezłe dochody.

Krzysztof Gmaj ma dwadzieścia pięć lat.

W Białej Rawskiej znalazł się pierwszy odważny. Kto będzie następny?

Ale kino!

PAWEŁ TOMASZEWSKI

jest kawalerem, a z zawodu — teletechnikiem. Lubi muzykę i dobre filmy. Do niedawna w kinie bywał wyłącznie jako widz.

2.

Kino „Przedwiośnie" w Białej Rawskiej mieści się na piętrze starego budynku, który jeszcze do niedawna należał do straży pożarnej. Powstało w latach sześćdziesiątych jako jedyna tego typu placówka kulturalna w promieniu kilkunastu kilometrów, co zresztą nie uległo zmianie do dnia dzisiejszego. Początkowo cieszyło się sporym powodzeniem, gdyż nie miało tak silnej konkurencji w postaci telewizji. Później bywało już różnie, ale na ogół — coraz gorzej. Repertuar był nieciekawy i nieaktualny, jak to na prowincji. Często zmieniali się kierownicy. Spadała wciąż liczba widzów, których w 1987 roku było zaledwie niecałe osiem tysięcy. Wiele zastrzeżeń budził też stan techniczny nie remontowanego od dawna budynku i to właśnie przesądziło, że w pierwszych dniach listopada 1987 roku na wniosek stacji sanepidu **„Przedwiośnie" zamknięto do odwołania, a Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów w Łodzi zaczęło myśleć o jego likwidacji.**

Perspektywa ta zaniepokoiła władze administracyjne miasteczka. Zaprosiły więc do siebie dyrektorów OPRF-u i wspólnie zaczęto zastanawiać się, jak by tu jednak kino uratować, bo bez niego to już naprawdę z kulturą w **Białej Rawskiej** byłoby ubożuchno. Dyrektorzy powiedzieli wtedy, że kto wie, czy jedyną szansą nie jest oddanie „Przedwiośnia" w prywatne ręce, bo czasy są ciężkie i teraz już można. Prywatny znalazłby może pieniądze na remont, choćby bieżący, a także zadbał, aby kino przestało być nierentowne. Ale kto by chciał wziąć tę ruinę?

Władze miały poważne obiekcje, czy jest to właściwe rozwiązanie, bo w pierwszej chwili prywatne kino nie chciało się jakoś pomieścić w głowie, ale nie miały innego wyjścia. Rozesłały zatem „wici" wśród znajomych, członków rodzin interesantów — chyba bez głębszej wiary w sens i skuteczność poszukiwań, bowiem gdyby ją miały, dałyby po prostu ogłoszenie w prasie. **Niespodziewanie zgłosił się młody mieszkaniec Rawy Mazowieckiej, Krzysztof Gmaj, oświadczając, że przyjmuje ofertę i gotów jest ponieść związane z tym ryzyko.**

Skierowano go do Łodzi.

3.

Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów jest instytucją głęboko deficytową. W 1987 roku wydało 625 milionów złotych, a zarobiło tylko 492 miliony. Przyczyn takiego stanu jest wiele: rosnące lawinowo koszty eksploatacji kin, wysokie opłaty licencyjne za filmy, brak większej ilości atrakcyjnych tytułów, brak wpływu na ofertę repertuarową, a z drugiej strony — niemożność podniesienia cen biletów poza granicę, która uczyni z kina placówkę elitarną i niedostępną dla przeciętnie zarabiającego człowieka.

Dyrektorzy OPRF mówią, że mają związane ręce. Wymaga się od nich po nowemu, a zmusza do działania po staremu. Bo jakże inaczej to nazwać, skoro **Centrala Dystrybucji Filmów w Warszawie** żąda od nich na przykład ponad 2 miliony za prawo rozpowszechniania czeskiego „Mojego grzesznego męża", na którym spodziewają się zarobić zaledwie do dwustu tysięcy złotych, zaś za amerykańską „Dziką namiętność" — tylko niecałe 900 tysięcy przy spodziewanych wpływach co najmniej 5 milionów, a oba filmy muszą wziąć. Albo dlaczego wciska się im taki kit, jak „Młodzi ludzie w mieście" produkcji NRD, jeśli z góry było wiadomo, że film zrobi klapę? No i zrobił — obejrzało go aż... 66 widzów.

Jak przy takiej polityce władz kulturalnych wyjść na swoje? Jak zarobić na nową aparaturę, remonty budynków, na podwyżki płac, które w całym przedsiębiorstwie nie przekraczają średnio 20 tysięcy złotych? Przecież to istna kwadratura koła!

Gdyby OPRF był naprawdę samodzielnym przedsiębiorstwem i sam mógł decydować o swoim losie, sytuacja wyglądałaby o niebo lepiej. Albo gdyby chociaż kina były prywatne... No, może nie wszystkie, ale te przynoszące większe straty, jak choćby **„Przedwiośnie" w Białej Rawskiej.**

Już to byłoby jakąś szansą i dlatego OPRF z nieskrywaną radością przekazał je w ręce **Krzysztofa Gmaja.** Jemu nikt nie będzie dopłacał, więc stanie na głowie, aby wyjść na swoje. A jak on zarobi, to przedsiębiorstwo również. Proste? Proste!

— Pomogliśmy panu Gmajowi w miarę naszych możliwości i zapewniliśmy mu jak najlepsze warunki startu — mówi zastępca dyrektora OPRF w Łodzi, **Stefan Wdzięczak. — Wygląda na to, że da sobie jakoś radę.**

4.

Pod koniec lutego 1988 roku **Krzysztof Gmaj** zrezygnował z prowadzenia rożna. Pracował w nim sam i był w związku z tym trochę zmęczony. Toteż najpierw postanowił odpocząć, a potem znaleźć coś bardziej odpowiedniego. Myślał już nawet o pewnej firmie polonijnej, ale kiedy przypadkiem od kolegi dowiedział się, **że w Białej Rawskiej jest kino, które można wziąć w ajencję,** bardzo zapalił się do tego pomysłu. Miał przecież już pewne doświadczenie jako ajent, a kino to nie rożen, więc może ma przed sobą to, czego szukał?

W łódzkim OPRF wyprowadzono go z błędu. Nie będzie ajentem, ale właścicielem kina. Warunki są następujące: dokonuje bieżącego remontu, dzięki czemu sanepid zezwala na ponowne uruchomienie placówki, po czym jak najszybciej rozpoczyna normalną działalność. Aparaturę projekcyjną dostaje do dyspozycji darmo do końca roku. Potem może ją odkupić lub wydzierżawić — jak mu będzie wygodniej. Kopie filmów bierze oczywiście z przedsiębiorstwa. Kasety wideo — również, z tym że o magnetowid musi już postarać się sam. Ceny biletów — zgodne z obowiązującym cennikiem. Jedną czwartą wpływów z projekcji z taśmy oddaje przedsiębiorstwu, z wideo — 40 proc. Musi też uiścić kwotę zabezpieczającą w wysokości 120 tysięcy, 1200 tysięcy w postaci weksla gwarancyjnego oraz normalnie płacić podatek, pensje pracownikom, których może zatrudnić wedle potrzeb i możliwości, a także — za lokal i — zimą — za ogrzewanie. Reszta z tego, co utarguje, to jego czysty zysk. Jeśli się zdecyduje, może od razu załatwiać niezbędne formalności. Nie powinien mieć z tym większych kłopotów.

I rzeczywiście. Zezwolenie na projekcje wideo załatwił od ręki **w Urzędzie Wojewódzkim w Skierniewicach.** Dawali już takie. Ale na projekcje filmów z taśmy... — to byłby dopiero pierwszy raz, więc — powiedzieli — **trzeba jechać do Ministerstwa Kultury i Sztuki.** Oni tam najlepiej będą wiedzieć, co i jak. W ministerstwie też jednak nie bardzo wiedzieli. Zastanawiali się, bo to przecież pierwszy raz... Trzy razy jeździł do Warszawy. W końcu orzekli, że wystarczy zgoda naczelnika miasta.

— Jeśli wystarczy — powiedział naczelnik — **to oczywiście zaraz ją dam.**

I dał. Umówił się też z Krzysztofem Gmajem, że koszty remontu, jakie poniesie, wliczone zostaną w poczet opłat za wynajem lokalu, który teraz nie jest już strażą, ale — urzędu. Na razie nie będzie więc musiał nic płacić.

Tymczasem remont był już poważnie zaawansowany. Trwał zaledwie półtora miesiąca, mimo że nowy właściciel kina prowadził go dosłownie własnymi rękami. Ile zaoszczędził przy tym czasu i pieniędzy? Bo jakie przedsiębiorstwo państwowe wykonałoby go tak szybko i tanio? Żadne. Nikomu by się to nie opłacało. Co innego prywatny. Prywatnemu się opłaci. Wiadomo — robi dla siebie: nie liczy godzin, nikogo nie pyta o zgodę, praktycznie o wszystkim decyduje sam.

Podobnie było z zatrudnieniem pracowników. Państwowe **„Przedwiośnie"** potrzebowało ich aż czterech na trzy dni pracy w tygodniu. Prywatne — zaledwie dwóch na sześć dni, gdyż właściciel zdecydował, że będzie nie tylko kierownikiem, ale też — sprzedawał bilety, wpuszczał widzów oraz sprzątał. Potrzebny był mu więc jedynie operator, któremu mógł w dodatku zaoferować wyższą pensję niż OPRF.

Krzysztof Gmaj spodziewa się, że dzięki temu przy dobrej frekwencji na widowni może wziąć do kieszeni jakieś 80—100 tysięcy złotych miesięcznie. Tylko jeden warunek — musi mieć naprawdę dobre filmy, bo inaczej przyjdzie mu grać do pustych krzeseł. I to właśnie najbardziej go niepokoi.

5.

Odświeżone przez nowego właściciela **„Przedwiośnie"** otworzyło swe podwoje **8 lipca 1988 roku.** Na inaugurację wybrany został premierowy film polski pt.: „Zabij mnie glino" w reżyserii J. Bromskiego. Kompletu publiczności nie było, ale z seansu na seans stumiejscowa widownia coraz bardziej wypełniała się. Nie wszyscy w **Białej Rawskiej** od razu zauważyli, że miejscowy przybytek X muzy znów działa. Poza tym — lato, gorąco, wakacje... Prawdziwy sezon zacznie się jesienią. I dopiero wtedy okaże się, czy **Krzysztof Gmaj** zarobi w nowym miejscu pracy na życie, a łódzki OPRF — choć trochę zmniejszy swój deficyt.

Na razie z działalności pierwszego prywatnego kina wszyscy zdają się być zadowoleni. Władze i mieszkańcy miasteczka — bo jest gdzie ciekawie spędzić czas wieczorem, czy też — zabrać w niedzielny poranek dzieci na „Wilka i zająca". Dyrekcja OPRF — bo pozbyła się kłopotu, z którym sama nie mogła sobie poradzić.

O zadowoleniu tym świadczy też niewątpliwie fakt, że **myśli się już o przekazaniu następnych kin w prywatne ręce.** Będą to m.in. **„Sputnik" w Płocku, „Wisła" w Wyszogrodzie, „Świt" w Gąbinie, „Tkacz" w Zduńskiej Woli i „Plon" w Tuszynie.** Oczywiście jeśli znajdą się osoby, które zechcą pójść śladem **Krzysztofa Gmaja** i ponieść pewne ryzyko.

W OPRF mówi się, że dla wielu kin, zwłaszcza tych małych i od lat zaniedbanych, jest to prawdopodobnie jedyna szansa. Szansa w ogóle dalszego istnienia. W 1978 roku przedsiębiorstwo, obsługujące województwa: sieradzkie, piotrkowskie, skierniewickie, płockie i łódzkie, dysponowało **120 kinami.** Obecnie ma ich **tylko 104,** przy czym wiele z nich już dziś kwalifikuje się właściwie do likwidacji. I zostaną zlikwidowane, jeżeli monopol OPRF będzie dalej sztucznie utrzymywany przy życiu.

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

· polemiki · listy · opinie · polemiki · listy · opinie ·

NIE WIERZCIE PIOSENKOM!

W każdej kulturze istnieje zespół zakazów i nakazów. Wyznaczają one normy postępowania, które podzielić można na dwie grupy. Pierwsza to normy konieczne do prawidłowego funkcjonowania społeczeństwa (np. zakaz niszczenia ławek w parku). Społeczeństwo pilnuje ich przestrzegania, stosując system kar i nagród. Druga grupa to normy wynikające z tradycji, pozornie do niczego niepotrzebne. Do tej grupy należą m.in. budzące ostatnio tak wielkie kontrowersje normy związane z życiem seksualnym.

Zasada utrzymywania dziewictwa do dnia ślubu czy zakaz zdrad małżeńskich nie są potrzebne społeczeństwu; są jednak potrzebne człowiekowi. Ludzie przestrzegający tych zasad manifestują swoją wolę, która jest istotą człowieczeństwa. Jednostka odrzucająca normy tradycyjne staje się maszyną sterowaną przez prawo. Społeczeństwa masowe (bez względu na ustrój) potrzebują takich właśnie maszyn i dlatego instytucje oficjalne (w tym wasza redakcja) lansują rewolucję seksualną. Apele o umiarkowanie pojawiają się, gdy zagrożone jest zdrowie dużej ilości maszyn (np. AIDS). Ale takie wymuszone umiarkowanie nie ma nic wspólnego z wolą, a co za tym idzie z wolnością. Więc cóż doradzić zbyt szybko dojrzewającej młodzieży. Podejmujcie więcej świadomych decyzji w tej ważnej dziedzinie życia. A ponadto: radzę budować swój światopogląd nie tylko w oparciu o głupie teksty piosenek. Dodam, że nie jestem emerytem, dewotką, ani impotentem, lecz 22-letnim studentem, posiadającym żonę i dziecko.

PIOTR GROBLIŃSKI

OD REDAKCJI. Zgadzamy się całkowicie i bez zastrzeżeń: nie należy budować światopoglądu w oparciu o teksty piosenek ani głupich, ani mądrych. Tych ostatnich zresztą jest niebywale mało. Piosenki poza tym nie służą do tego celu.

Jeśli natomiast chodzi o rewolucję seksualną, to już jakby po wszystkim. Poza tym naszym celem nie jest propagowanie takiej rewolucji, ani nam to przez myśl nie przeszło. Jeśli proponujemy Czytelnikom teksty — mówiąc oględnie — kontrowersyjne, to właśnie dlatego, aby nie stawali się maszynami, ale aby myśleli.

Gdyby uważnie prześledzić historię społeczeństw i religii, jakie społeczeństwa wyznawały i wyznają, to powstałe w różnych czasach zakazy i nakazy mają na celu nie tyle dobro jednostek, a wręcz przeciwnie, powstawały i powstają z myślą o ochronie społeczeństw. Jak się więc okazuje nie wszystko jest takie proste, jak w... piosence.

Poza słuchaniem piosenek jest kilka książek, które warto przeczytać i przemyśleć! Życzymy powodzenia!

JAK PODRÓŻOWAŁEM PKS

Był piątek, 12 sierpnia 1988 r., godz. 17.25. Dworzec PKS Łódź Fabryczna. Grupa ludzi oczekiwała na podstawienie autobusu pośpiesznego Łódź — Włocławek, wśród nich ja z żoną, dzieckiem i sprzętem biwakowym. Celem wyprawy był Lubień Kujawski. Z głośnika usłyszeliśmy, że autobus ma awarię i nie odjedzie, natomiast z Włocławka wyruszyła już podmiana.

W pierwszej chwili sądziłem, że się przesłyszałem, więc poszedłem do dyspozytora. Tam otrzymałem potwierdzenie, że rzeczywiście z Włocławka. Na pytanie, dlaczego nie można podstawić zastępczego autobusu z Łodzi, bo przecież ten z Włocławka przebywa drogę w jedną stronę pusty, ileż to kosztuje paliwa, odpowiedź brzmiała, że kierowca uszkodzonego wozu dzwonił do Włocławka i załatwił zastępstwo. Zostawiam to bez komentarza. Dodam tylko, iż autobus miast o 17.30 odjechał o 20.00 i miejsca na biwak szukałem wśród ciemnej nocy.

Dworzec Łódź-Kaliska godz. 15.29, niedziela, 14 sierpnia 1988 r. Odjeżdża pociąg Łódź-Kaliska — Karsznice złożony z dwóch jednostek. W pociągu znajduje się około 50 osób (szacunek optymistyczny). Ten sam dworzec godz. 19.45. Wtacza się opóźniony pociąg z Łowicza do Sieradza, zwożący ludzi z działek i letnisk ze Swędowa, Głowna, Strykowa, Glinnika. Wiadomo, niedziela, ludziska korzystają z weekendu. Znając nasze realia nie muszę dodawać, iż była to pojedyncza jednostka elektryczna. W pociągu ścisk taki, iż konduktor zrezygnował z kontroli biletów i z przedziału służbowego, gdzie wpuścił kilka osób. Połowa oczekujących została na stacjach pośrednich, nie mogąc dostać się. Skutek: rozłączone rodziny, płaczące dzieci, mdlejące babcie, lejący się sok z gniecionych pomidorów. Zostawiam to również bez komentarza (chyba niepotrzebny).

TOMASZ IGNACZAK
(Sieradz)

AUTO! MARZENIE WIELU!

Pęd, czy jak kto woli, szaleństwo motoryzacji, ogarnęło wszystkie społeczeństwa. Samochód, szczególnie dla młodego pokolenia stał się drugim, po mieszkaniu, najważniejszym elementem w dorobku życiowym. I żadne tu ograniczenia nie pomogą. Wśród argumentów mających usprawiedliwić opuszczenie Polski bynajmniej nie na ostatnim miejscu znajduje się argument mówiący o braku szans dorobienia się w kraju własnego auta. I z tego zdać sobie muszą sprawę władze naszego państwa.

Jeśli państwo nie jest w stanie zapewnić swoim obywatelom dostatecznej liczby samochodów własnej produkcji, nie może zrezygnować z horrendalnego ich opodatkowania, ani z zaporowego ustalenia stawek celnych — to przynajmniej należy poczynić takie ułatwienia i uproszczenia, aby prywatny import samochodów używanych nie wzbogacał ponad uzasadnioną miarę kraju, skąd auta te są sprowadzane.

Kilka tygodni temu zakupiłem używane auto w RFN i sprowadziłem je do Polski. Zakup był oczywiście poprzedzony rozeznaniem cen na giełdach, dłuższym śledzeniem ogłoszeń, oględzinami aut do kupna itp. Wszystko w aspekcie naszych przepisów celnych.

A oto moje uwagi. Ustalenie nadbariery celnej dla aut powyżej 5-letnich ma tylko uzasadnienie z punktu widzenia interesów kraju, z którego pochodzi auto. Okres pięcioletni stanowi może pewną granicę, ale poza którą bynajmniej nie spada nagle stan techniczny auta, nie znika „urok nowości". O ile ceny aut 2—4-letnich (jeszcze modnych) utrzymują się na dość wysokim poziomie — to auta 5—7-letnie osiągają trzecią czy czwartą część ceny z okresu swojej młodości, a np. 10-letnie w zupełnie dobrym stanie można kupić za kilkaset marek.

Polacy żyjący na Zachodzie, a których jeszcze nie stać na dotrzymywanie kroku modzie, jeżdżą autami 8—9-letnimi, nie topiąc bynajmniej oszczędności w kosztownych remontach. Mój znajomy, który stanął już mocniej na nogach, oferuje swojego 9-letniego „Forda" (będącego w doskonałym stanie, którym jeździłem) już drugiemu koledze w prezencie, za darmo. Obydwaj odmówili: nie stać ich na opłacenie ogromnego cła i równie dużego podatku od darowizny. Po przyjeździe rozmawiałem z jednym z nich: nie będę powtarzał jego słów rozżalenia.

Autor przepisu podnoszącego i tak wysokie stawki celne, dla aut powyżej 5-letnich winien zdać sobie sprawę, że przejechanie 250 tys. kilometrów bez remontu nie stanowi dziś, w samochodach produkcji zachodniej, żadnej rewelacji; a w rękach przeciętnego użytkownika jest to co najmniej okres 10-letni. Warto tu może przytoczyć panującą u nas opinię, że mniej kłopotów technicznych ma się z 10-letnim „Volkswagenem" niż z nowym „Fiatem" produkcji polskiej.

Głównie przez Polaków poszukiwane są auta rozbite, oczywiście znacznie tańsze. Jeśli rocznik odpowiedni, aby nie płacić wyższego cła — formalnie wszystko w porządku. Tylko jeśli podwyższona bariera celna miała zaoszczędzić pracy przy starych autach naszym warsztatom — to ten pomysł jest zupełnie chybiony.

Sprowadzenie auta z RFN wymaga wyłożenia dodatkowo około 400 marek za tzw. numery celne i kilkudniowe (w praktyce) ubezpieczenie. Dlaczego nie można zaoszczędzić naszym obywatelom tych opłat przez wydawanie „in blanco" polskich numerów próbnych i opłacenie tygodniowego ubezpieczenia w „Warcie"? Na przeszkodzie stoi, jak się informowałem przed wyjazdem, sztywny przepis. Najpierw opłacenie cła, a później reszta; tak jakby miała ta opłata wymknąć się państwu z rąk. A przecież żaden urząd nie zarejestruje na stałe auta bez kwitu z Urzędu Celnego.

Wiele, naprawdę bardzo wiele naszych przepisów i zarządzeń wymaga ponownego przemyślenia i weryfikacji. Ale przez innych ludzi niż przez obecnych przepisotwórców.

W.W.

CZY W BANKU MOŻNA DOSTAĆ KREDYT?

Piszę do Was, ponieważ mam nadzieję, że pomożecie mi w pewnej sprawie (i chyba nie tylko mnie).

Jestem taksówkarzem, jeżdżę samochodem już prawie 12-letnim, który wymaga ciągłych napraw. Najlepszym rozwiązaniem byłaby zamiana go na inny. W Zrzeszeniu Transportu Prywatnego szans takich nie ma, z przyczyn oczywistych, o których nie warto pisać. Inflacja zabiera prawie wszystkie zaoszczędzone pieniądze.

Jedyną możliwością dla mnie (i nie tylko) byłoby, wziąć pożyczkę z banku, dołożyć część pieniędzy np. ze sprzedaży starego i wtedy ewentualnie kupić samochód choć o parę lat młodszy.

Udałem się więc w tym celu do banku na ul. Stanisława Moniuszki — lecz tu spotkało mnie rozczarowanie. Pani z okienka poinformowała mnie, że owszem pożyczek udzielają, lecz najpierw należy okazać się takimi dokumentami jak:

1) kosztorys z remontu,
2) asygnata przyznana na nowe auto,
3) dokumentem, że kupiło się auto z przetargu.

Mając jeden z tych dokumentów można wnieść wniosek o udzielenie kredytu. Uważam, że jest tutaj jakieś nieporozumienie.

Po pierwsze: kosztorysu remontu nie mam, ponieważ samochód naprawiany jest na bieżąco przez szereg już lat. Rachunki są więc nieaktualne. A gdybym wykonał remont i zapłacił — nie brałbym kredytu, bo po co?

Po drugie: asygnaty nie mam szans dostać — przynajmniej jak na razie!

Po trzecie: aby kupić samochód z przetargu (i tylko z przetargu — pani stwierdziła, że na samochody kupione na giełdzie kredytów nie udzielają) — również trzeba dysponować odpowiednią ilością pieniędzy i właśnie po to potrzebny mi kredyt.

Wniosek z tego, że bank kredytu, owszem udziela, lecz ma takie przepisy, które skutecznie hamują udzielanie kredytu. Nie chcę darowizny, lecz kredyt, który będę spłacał i to pewnie z wysokimi odsetkami. Wydawało mi się, że udzielanie kredytów jest opłacalne dla banków, bo po to są banki. Ale może mi się to tylko wydawało...

Bardzo bym Was prosił o zainteresowanie się tą sprawą i o odpowiedź. Bardzo zależy mi na tym, gdyż jedynie biorąc kredyt mogę dalej spokojnie myśleć o swojej przyszłości. Może ludzi rzetelnie „od słupka do słupka" i nie widzę innej możliwości zmiany samochodu. Myślę, że jest to problem wielu taksówkarzy.

Czekam na odpowiedź!

A.D.

OD REDAKCJI. Bylibyśmy wdzięczni dyrekcji NBP, gdyby zechciała publicznie wypowiedzieć się, jak to jest z tymi kredytami? Czy dotychczasowe przepisy sprzyjają rozwijaniu kredytów, czy nie? I czy banki w ogóle muszą udzielać kredytów, jak to się dzieje na całym świecie? Może u nas musi być odwrotnie, bo to bankom wygodne, ale czy wygodne jest też klientom bankowym? Pytań jest sporo. Powstają nowe banki. Może coś się zmieni. Postaramy się zająć tematem i niezależnie od — spodziewanej — odpowiedzi NBP, wyjaśnimy sytuację.

USPRAWNIĆ — CZY TO TAKIE TRUDNE?

Z wielką ulgą przyjąłem decyzję o likwidacji od 1 lipca 1988 r. konta „N" w PKO SA. Z ulgą, ponieważ wprowadzenie tego wydawało się co najmniej dziwne w państwie, które walczy na wszystkich frontach ze spekulacją.

W swojej naiwności nie przewidziałem, że takich jak ja kilkudolarowych ciułaczy jest tysiące, chociaż i krezusi przewijają się dość często. Aby dostać się do okienka z sympatyczną skądinąd panią, trzeba odstać kilka godzin. Kto sobie może pozwolić na taką stratę czasu, ja na pewno nie. Będąc jednak przekonany, w czym utwierdzały mnie liczne wywiady, przemówienia, wyjaśnienia naukowców i działaczy polityczno-gospodarczych, że państwu zależy na każdym dolarze, byłem pewny, że istnieją dodatkowe stanowiska umożliwiające szybką obsługę klienta. Z trudem przebijając się przez tłumy, narażając na złośliwe uwagi i wrogie spojrzenia odczytałem liczne ogłoszenia, komunikaty; nie znalazłem jednak żadnej informacji na interesujący mnie temat.

Fakty są takie: zrobiono społeczeństwu łaskę umożliwiając dokonywanie wpłat na konto „A", to niech ludziska stoją godzinami w kolejkach. A czy rzeczywiście tak trudno uruchomić np.: we wszystkich oddziałach PKO, bankach — stanowiska na okres dwóch, trzech miesięcy, aby jak najszybciej przyjąć jak największą ilość dewiz, tak potrzebnych państwu?

JERZY PIĄSECKI
(Zgierz)

NIEUDANE WAKACJE

Nawiązując do artykułu Marka Juśkiewicza „Nie tylko koni mi żal" chciałbym dodać kilka szczegółów charakteryzujących „Wakacje z Wojciechem", czyli wakacje organizowane przez Biuro Podróży mgr W. Marzyńskiego.

Nie zdziwiła mnie wiadomość, że na obozie jeździeckim nie ma wystarczającej liczby sprawnych koni. W sierpniu 1987 roku w Iławie miał być obóz motorowodny, a w ogóle nie było motorówek ani kursu motorowodnego, ze względu na który zdecydowaliśmy się na wysłanie synów na ten obóz. Kiedy zaniepokojeni informacjami o sposobach spędzania czasu przez dzieci wybraliśmy się z mężem na wizytację, zastaliśmy nie dający się z niczym porównać bałagan organizacyjny, usprawiedliwiany przez powoływanie się na koncepcję antyautorytarnego wychowania. W praktyce oznaczało to brak kontroli obecności uczestników, braku obowiązku jedzenia posiłków, spania nocą, sprzątania w pokojach, uczestnictwa w zajęciach. Nie było wiadomo co, kiedy i gdzie ma się odbywać. Gdyby nie emerytowani nauczyciele iławscy, którzy na tym obozie pełnili funkcję instruktorów, młodzież cały obóz przeleżałaby na łóżkach grając w karty. Jedynie ci nauczyciele starali się zachęcić obozowiczów do uczestnictwa w zajęciach; z dość mizernym skutkiem.

Wychowawczynie", zwane „ciociami", realizowały koncepcję wychowawczą według zasady „rób co chcesz", „masz całkowity luz". W koszt obozu wkalkulowane były pensje instruktorów, opłata za sprzęt wodny, choć wskutek nieudolności organizacyjnej ani umiejętności instruktorów, ani sprzęt nie były należycie i z pożytkiem dla młodzieży wykorzystane. W koszt obozu został z pewnością wliczony również przewóz kajaków specjalnym samochodem ciężarowym w tę i z powrotem, ponieważ tam, gdzie je zawieziono z Iławy nikt nie oczekiwał na te kajaki i nie miał ich kto przejąć.

Po wizycie w Iławie w 1987 roku sądziłam, że nic gorszego nie może się już zdarzyć. A tymczasem organizacja obozu w tym roku przechodzi wszelkie wyobrażenia. Synowie nasi mieli pojechać do Zgonu „na konie" i żaglówki. Wyjazd został zaplanowany na 30 lipca na godz. ósmą rano. Przedstawiciel organizatora zjawił się dopiero krótko przed dziewiątą i nie przeprosiwszy nawet za spóźnienie poinformował zebranych, że dzieci jadą do miejscowości Nowy Most nad Krutynią, skąd będą dowożone do jeziora autokarem. Gdy dojechano na miejsce, okazało się, że w Nowym Mieście nie ma miejsca i uczestnicy obozu zostali ulokowani w... Jabłoni koło Piszu w domkach tak małych, że ledwie mieszczą się dwa łóżka. Czy są tam nadal, nie wiemy. Podobno mieli być przeniesieni do Zgonu. Cała ta historia byłaby może zabawna, gdyby nie były uwikłane w nią dzieci, które obserwują ten bałagan, brak odpowiedzialności, bylejakość. Ponieważ Biuro Podróży mgr. W. Marzyńskiego jest monopolistą, gdy chodzi o organizację wakacji młodzieży za pośrednictwem zakładów pracy, z jego usług nie można zrezygnować. Trzeba więc za tę bylejakość słono płacić i modlić się, żeby nie zdarzył się wypadek.

WIELISŁAWA KRUSZYŃSKA

SZKOŁA JAKA JEST — KAŻDY WIDZI!

Zawód nauczyciela tak samo się zdeprecjonował jak i szereg innych zawodów. Nie chcę nikogo obrażać i z góry przepraszam. Jest znakiem naszych czasów (dlaczego — nie wiem!), że coraz mniej działających z powołania (na przykład przekazywane z pokolenia na pokolenie tradycje zawodowe i tym samym obranie drogi życia), trochę więcej „na rozum", a najwięcej — przypadkowych.

Niegdyś nauczyciel (mimo że na głodowych pensjach) — to było coś, kolejarz — też coś, tramwajarz — oczywiście, urzędnik magistracki — szczyt marzeń o stabilności życia. Dziś: niedouk, pijak w urzędowych sortach, biurokrata. Takie są obiegowe opinie.

Nie mnie dochodzić, jakimi drogami tych zmian się dorobiliśmy. Dlaczego część studentów medycyny nie zastanawia się nad istotą zawodu, tylko nad spodziewanymi zyskami i „pozycja". Ale wróćmy do... szkoły.

Mój syn przez pierwsze 4 klasy szkoły podstawowej, gdy miał nauczycielkę i wychowawczynię z prawdziwego zdarzenia, nie miał żadnych problemów. I ja też nie. Klasy od 5 do 8 — to jedno wielkie nieporozumienie. Podam choćby przykłady ocen niedostatecznych z przedmiotu za to, że nie było majtek lub tenisówek odpowiedniego koloru lub linijka była z tworzywa, a nie drewniana. W klasie 7 w dzienniczku było 7 jednobrzmiących uwag wpisanych, jak mi wychowawczyni się tłumaczyła, na polecenie Pani Dyrektor: „skandaliczne zachowanie się". I nic poza tym. Gdy dopytywałem, na czym to skandaliczne zachowanie polegało — słyszałem, że na bieganiu na przerwach lub podnoszeniu kolegów... „Wychowawcze metody" w tej klasie polegały też m.in. na tym, że dziewczynki miały notować i następnie powiadamiać wychowawczynię o każdym „niestosownym" zachowaniu się chłopców. Uzasadnienie? „Trzeba ich wychować". Nieprawdopodobne? A jednak prawdziwe.

Szczytem wszystkiego było, gdy syn mój na kilka miesięcy przed ukończeniem klasy 8 usłyszał od Pani Polonistki: — choćbyś na głowie stanął, to i tak ci więcej jak „trzy" nie postawie.

Skończyło się i tak dobrze. W tej chwili moja progenitura jest w II klasie zacnego liceum łódzkiego. Trafił na wychowawczynię, o której nie tylko on, ale wszyscy mówią z szacunkiem i uczy się nie metodą „olewania", jakże często spotykaną, ale naprawdę. Nie mam wątpliwości, że trafił dobrze i dobrze skończy.

Jakie z tego wnioski? Że wszystko zależy od ludzi i że tych najlepszych i z powołaniem — niestety brak! A dlaczego? Nie wiem.

W.A.

WYJAŚNIENIE

W poprzednim numerze „Odgłosów" pod zdjęciem przedstawiającym autora książki „Żółta Gwiazda i Czerwony Krzyż" — Arnolda Mostowicza znalazł się niewłaściwy podpis. Arnold Mostowicz urodził się w Łodzi w domu przy ulicy Gabriela Narutowicza nr 22, a mieszkał na tej samej ulicy w domu nr 56. Przepraszamy!

JEST AUTOR

Z winy redakcji ukazał się artykuł Jana Bąbińskiego „Ostatnie dni Włodzimierza Lenina" na trzeciej stronie „Odgłosów" w poprzednim tygodniu. Artykuł ten był jednak nie podpisany. A jego autorem jest JAN BĄBIŃSKI. Autora i Czytelników przepraszamy za ten niemiły błąd.

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 56-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:
1 września — ANDRZEJ GĘBAROWSKI — godz. 10—15.
8 września — MAREK KOPROWSKI — godzina 10—15.

RELACJA Z DYŻURU W DNIU 25 SIERPNIA 1988 R.

Mimo wakacji telefonów sporo. Jak zawsze ludzie dzwonią w sprawach drobnych i tych bardziej ogólnych, które bulwersują społeczeństwo, zmuszają do refleksji lub choćby do wypowiedzenia własnego zdania.

Pani **T. D.** z ul. Okrzei nr 10 (Imię i nazwisko do wiadomości redakcji) skarżyła się na brud panujący w jej bloku, na nie sprzątane klatki schodowe, na zasikane przez psy windy, na smród przyprawiający o mdłości, na nie myte od lat pojemniki na śmieci stojące pod oknami. Dozorca — jest, a jakże! — nie kwapi się do pracy uważając, że tydzień ma 7 dni wolnych od pracy.

Pan **Jan Agaciak** z ul. Traugutta 10 rozpoczął rozmowę ze mną od dramatycznego SOS! Od lat lokator zajmujący lokal nad jego mieszkaniem zalewa mu sufity i meble. Dwa tygodnie temu pan J. A. za ciężkie pieniądze odnowił mieszkanie, a sąsiad znów nie zakręcił kranów. Pan J. A. jest schorowanym rencistą, żona sparaliżowana, pomocy znikąd. Co z tego, że PZU zwraca część kosztów? To przecież jest zaledwie część i nie ma miejsca na rekompensatę moralną. Chciałbym otrzymać odpowiedź od śródmiejskiego ROM nr 4: co oni zrobili lub zamierzają uczynić w tej sprawie?

Pan **Henryk Dyniak** z Kasprzaka 66 gratulując nam za redagowanie w sposób interesujący pisma, postuluje, by na ulicy Kasprzaka między Gandhiego a Powstańców Wielkopolskich ograniczyć szybkość dla samochodów do 40 km na godz., a także wprowadzić zakaz wyprzedzania. Motywuje to tym, że są tam — niemal naprzeciw siebie — dwa przystanki dla autobusów linii 65, 73 i 73-bis, więc ludzi zawsze jest sporo i o wypadek nietrudno. Ponadto — pyta pan H. D. — dlaczego w Łodzi jeszcze używa się przedpotopowej „wajchy" do przekładania zwrotnic tramwajowych? Przecież w normalnych krajach od dawna czynią to automaty. I dlaczego wieczorami w naszych tramwajach i autobusach jest tak ciemno, że pasażer nie jest w stanie przeczytać gazety?

Pan **Wiesław Chojecki** — ul. Kossaka na Dąbrowie pytał, czy to prawda, że w Łodzi służby telefonów miejskich chodzą i namawiają ludzi do instalowania telefonów. On złożył podanie 11 lat temu i dotąd raczej mu odmawiano niż proponowano. Odpowiedziałem, że zapewne jest to spóźniony kawał primaaprilisowy.

Pani **H. M.** (dane do wiadomości redakcji) w latach 1945 — — 1955 pracowała u ojca. Teraz jest na emeryturze i ZUS nie chce tego okresu pracy jej uznać. A to przecież strata aż 5 procent emerytury.

Pani **J. B.** (dane do wiadomości redakcji) pyta, dlaczego się nie karze dozorców za brud, tylko gazety ciągle o tym piszą?

Bulwersują panią J. B. niepokoje w kraju, a przecież wszyscy wiedzą, kto jest ich inspiratorem. Norweska akademia — uważa pani J. B. — przyznała Wałęsie Pokojową Nagrodę Nobla. A jaki on pokój nam urządza? Czy rząd jego nie rozumie, nie widzi? Hasło „Nie ma wolności bez „Solidarności" jest kłamliwe, obliczone na tani efekt. Już zaczęliśmy wychodzić na prostą, piąć się w górę — i masz! Była „Solidarność" chce znów urządzić nam raj na ziemi z pustymi półkami sklepowymi i rozgardiaszem społecznym. Pani J. B. apeluje więc do dziennikarzy, by obudzili wreszcie rząd, od którego oczekuje się czynów a nie kolejnych posiedzeń.

Pani **Danuta Krystkowiak** z Rudy Pabianickiej pyta, czy stadiony w czasie wakacji mają stać puste? Oto na stadionie RKS, który jest otwarty a w bramie siedzi człowiek w poczuciu władzy, nie mogą się nawet bawić dzieci. A jest ich w okolicy pełno i wałęsają się bezczynnie. Pani D. K. chciała wejść na ten stadion ze swoim 3-letnim wnuczkiem, by dziecko pojeździło po bieżni rowerkiem, ale ważny człowiek nie wpuścił. Myślę, że działaczom od sportu coś się chyba pomieszało, bo jak świat światem stadiony były przeznaczone do uprawiania sportu i to dla wszystkich, bez względu na wiek.

Pani **Maria Reinert** z ul. Elsnera 9 była z mężem w kinie „Pokój" na filmie „Most na rzece Kwai". Niestety, nic z niego nie zrozumiała, bo do kina wpuszcza się dzieci w wieku przedszkolnym, które jeszcze nie umieją czytać, i które nie potrafią wysiedzieć dwie godziny w spokoju. Więc biegają, łażą po krzesłach, krzyczą. Czy naprawdę kino swoje finanse musi zdobywać w ten sposób?

Pan **Janusz Wachowicz** z ul. Andrzeja Struga 47 m. 10 otrzymał pismo z administracji w sprawie opłaty za wodę (Łódź — Polesie, ROM ul. Gdańska 77), w którym powiadamia się, że od dn. 1 II 1988 r. „obowiązany jest obywatel uiszczać opłatę za zimną wodę wg. poniższego wyliczenia: 4 osoby razy 1,5 m. sześć. wody razy 23 złote za 1 litr. Razem: 221 zł.". Pan J.W. przeliczył i mu wyszło, że po przemnożeniu powyższego jest zaledwie 138 zł! Dalej: opłatę za wodę od 1 II do 30 VIII obliczono na 1.361 zł. I tu się panu J. W. nie zgadza. Licząc nawet po owe 221 zł za 7 m-cy wychodzi 1.547 zł, a po 138 zł zaledwie 966 zł. A więc albo komputer się pomylił albo urzędnik nie zna tabliczki mnożenia.

Pan **Zbigniew Kosiński** z ul. Gorkiego 93 jest zbulwersowany tym, że jedyny punkt „Domaru" (naprawy radia i tv) na ul. Ćwiklińskiej jest często zamknięty: w lutym i marcu — bo kierownik chorował, teraz w sierpniu — bo kierownik poszedł na urlop. Czyżby kierownik stanowił cały personel sklepu?

Pani **W. Z.** (dane do wiadomości redakcji) od dwóch miesięcy mieszka w Łodzi na Teofilowie. Podoba się jej miasto, ale nie podoba się, że ludzie nie dbają o zieleń, że trawniki skoszone (właściwie kosiarka powyrywała trawę) w czerwcu kosi się znowu, choć trawa z braku deszczy nie wyrosła. Ale kosiarki znów rwą trawę, aż leci w niebo kurz. Kiedy zaczniemy myśleć? — pyta pani W. Z.

EUGENIUSZ IWANICKI

KRAJOWA PAŃSTWOWA KOMUNIKACJA SAMOCHODOWA
III ODDZIAŁ
w Łodzi, ul. Gibalskiego 2/4

ogłasza

PRZETARG NIEOGRANICZONY

na sprzedaż nw. pojazdów:

Lp.	Marka i typ	Nr rej.	Rok prod.	Cena wyw.
1.	STAR F-28	LDB188B	1974	603.000,—
2.	STAR A-28	LZA301C	1975	610.000,—
3.	STAR 28 zamiatarka	LDA722D	1977	805.000,—
4.	STAR 660 pogotowie	LDA719D	1976	874.000,—
5.	JELCZ 080 autobus	LDA303P	1981	1.300.000,—
6.	JELCZ 317	LDA217D	1973	1.300.000,—
7.	JELCZ 317	LDB052E	1978	1.400.000,—
8.	JELCZ 316	LDA085D	1972	1.500.000,—
9.	JELCZ 316	LDF85...	1971	1.400.000,—
10.	SKODA MT-4	LDG119D	1979	950.000,—
11.	ŻUK A-11	LZA055D	1975	493.200,—
12.	PRZYCZEPA SFA D-50	LDZ289X	1976	340.000,—
13.	PRZYCZEPA SFA D-50	LDZ221H	1977	350.000,—

Przetarg odbędzie się w świetlicy III Oddziału KPKS w Łodzi, ul. Gibalskiego 2/4 w dniu 14 września br., o godz. 10. W przypadku niedojścia do skutku I przetargu, II przetarg odbędzie się w dniu 28 września o godz. 10.

Wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej można wpłacić w kasie KPKS III Oddziału w Łodzi.

Pojazdy można oglądać na pięć dni przed przetargiem w godz. 7—15 w Magazynie Pojazdów Oddziału.

W przypadku pozycji 10 i 14 w KPKS Zgierz, ul. Koszarowa 6. Pojazdy stają do przetargu w stanie technicznym (aktualnym w dniu przetargu).

Braków w wyposażeniu i osprzęcie nie uzupełniamy.

Zastrzegamy sobie prawo odstąpienia od przetargu bez podania przyczyn.

2415/K

PAŃSTWOWY TEATR IM. S. JARACZA
w Łodzi,
ul. Kilińskiego 45

Z A T R U D N I

PLASTYKA
DO PRAC REKLAMOWYCH.

Bliższe informacje — tel. 33-75-85, 33-30-35, 33-97-80.

5500/K

SPÓŁDZIELNIA PRACY
„SPES-ELETROMET"
90-135 Łódź, ul. Narutowicza 24

O F E R U J E

DO SPRZEDAŻY

następujące materiały:

- DRUTY NAWOJOWE z grupy DNBBp, DNE, DNEsJ, DNBB, DNSS
- TAŚMĘ TRANSFORMATOROWĄ ET-6 o wymiarach: 0,28 × 50, 0,30 × 70, 0,30 × 80, 0,30 × 95
- ŚRUBY, WKRĘTY, NAKRĘTKI, PODKŁADKI, NITY, KOŁKI WALCOWE w różnych wymiarach
- BLACHĘ STALOWĄ w gat. 1H13 o grubości 2 i 3 mm
- MATERIAŁY i CZĘŚCI ELEKTRYCZNE
- INNE MATERIAŁY

Informacji udziela Dział Zaopatrzenia, tel. 32-19-18, tlx 885405.

2384/K

SPÓŁDZIELNIA INWALIDÓW TWO-MET
Zgierz, ul. Dąbrowskiego 14

ogłasza

PRZETARG NIEOGRANICZONY

na sprzedaż:

*** SAMOCHODU marki ŻUK A-11 ***

rok prod. 1973, nr rej. LDA 049 R, cena wywoławcza 432.900,—

Przetarg odbędzie się w dniu 1988.09.06. w siedzibie spółdzielni o godzinie 11.
Przystępujący do przetargu powinni wpłacić wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej w kasie spółdzielni w dniu przetargu do godziny 10.
Za wady ukryte w pojeździe spółdzielnia nie odpowiada.
Zastrzegamy sobie prawo unieważnienia przetargu bez podania przyczyn.
Samochód można oglądać w dniu 1988.09.05. w godz. 9—12, w Zgierzu, ul. Dąbrowskiego 14.

2385/K

UWAGA FOTOAMATORZY!

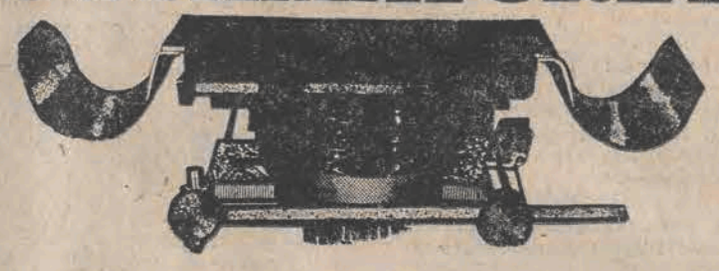

Otrzymasz bezpłatnie film kolorowy, jeżeli z Twojego negatywu wywołanego u nas wykonamy co najmniej 20 dobrych zdjęć!

— Wywoływanie filmów ORWO, AGFA, KODAK i innych w urządzeniach najlepszych firm światowych,

— Odbitki barwne robione wyłącznie w automatach AGFA i GRETAG na papierach polskich i zagranicznych.

— odbitki ze slajdów wykonywane techniką specjalną na papierze odwracalnym.

STUDIO FOTOGRAFICZNE AFP ZAPRASZA!

adres: 03-318 Warszawa, ul. Ogińskiego 5a, tel. 11-50-85
00-545 Warszawa, ul. Marszałkowska 72, tel. 28-32-29

Prace można również nadsyłać pocztą.

INTERTOUR spółka z o.o
ul. Piotrkowska 73/75
tel. 32-91-57 32-65-38
proponuje zakładom pracy

atrakcyjne imprezy choinkowe

* musicale
„Kubuś Puchatek" i „Awantura w Zimolandii" (do wyboru)
* zestawy filmów rysunkowych
* paczki
z krajowymi i importowanymi słodyczami
wręczane przez „Mikołajów"

CHOINKA Z „INTERTOUREM" GWARANCJĄ WSPANIAŁEJ ZABAWY!

Informacje i zamówienia przyjmują akwizytorzy:
— R. CYBULSKI — tel. 32-87-73 w. 105
— A. BARTOSIEWICZ — tel. 78-27-62

2427/K

Od czasu do czasu słychać ubolewania nad katastrofalnym stanem książki w Polsce i brakiem należytej opieki nad tą substancją kultury materialnej, jaką wytworzyły poprzednie pokolenia. Od nas — współczesnych — zależy, w jakim stanie przekażemy dziedzictwo pokoleń, wzbogacone naszym wysiłkiem, pokoleniom następnym. Tymczasem inkunabuły, stare druki, rękopisy, unikalne druki ulotne i prasa codzienna niszczeją w nie zawsze odpowiednich warunkach ich przechowywania, bez możliwości fachowej konserwacji papieru i skóry, bez odpowiednio przygotowanej kadry specjalistów i bez zabezpieczenia w materiały konserwatorsko-renowacyjne. Nawet tam, gdzie książka winna znaleźć spokojny azyl z nadzieją na przetrwanie, tzn. w bibliotekach, magazyny biblioteczne rzadko bywają wentylowane filtrowanym powietrzem wolnym od domieszek spalin, sadzy i pyłu ulicznego, zabójczego dla książki mikro- i makroskładników powietrza. Powietrze bardziej wilgotne niż suche sprzyja rozwojowi drobnoustrojów i pleśni zagrażających fizycznej egzystencji książki.

Przed laty znakomity poeta i prozaik, a w dodatku zamiłowany bibliofil Aleksander Janta-Połczyński (1908—1974) pisał:

„Butwienie opraw, korniki dziurkujące zadrukowane przed wiekami karty, brakujące, podarte lub poszarpane strony, przycięte „do krwi" marginesy, posmarowane ryciny, plamy i zacieki zostawiające nieusuwalne ślady na stronach komponowanych kiedyś z największym nakładem pilności i sztuki przez mistrzów rękodzieła typograficznego — są to wszystko świadectwa złych warunków przechowywania i karygodnego niedbalstwa właścicieli tych ksiąg, braku fachowych bibliotekarzy, obojętności otoczenia na ten rodzaj bogactwa; ogólnie niskiego stanu kultury, także jej śmiertelnych zagrożeń w różnych okresach naszej dziejowej drogi.

Z różnych szuflad

Zagrożone dziedzictwo

Ale przecież nie tylko najcenniejsze z cennych zabytki naszego piśmiennictwa ulegają procesom powolnego niszczenia. Okazuje się, że zagłada grozi książce stosunkowo niedawnej — XIX-wiecznej, a nawet tej sprzed kilku zaledwie dziesięcioleci. Niedawno zmarły Karol Estreicher młodszy pisał w przedmowie do redakcji „Bibliografii polskiej XIX stulecia": *„Książka polska XIX wieku jest coraz większą rzadkością, a tymczasem nie wszystkie biblioteki zdają się to dostrzegać (...). Tymczasem duży procent druków XIX wieku znany nam jest jedynie z tytułów. Nieraz poszukiwanie po wszystkich bibliotekach polskich jakiegoś interesującego dzieła z XIX w. nie daje rezultatu. Dzieło jest stracone. Niektóre druki takich autorów jak E. Abramowskiego, W. Akiekewicza, K. Altmana, Wł. L. Anczyca i innych jeszcze autorów znamy niestety tylko z tytułu. Jeszcze gorszy bywa los czasopism, a zwłaszcza dzienników. Dobrze, jeśli istnieją choć niekompletne i podarte od zużycia roczniki. Ale iluż roczników brak, głównie wskutek wypożyczania."*

Książka dawna podlega fizycznemu zagrożeniu przede wszystkim ze strony drobnoustrojów i owadów karmiących się masą papierową pochodzenia roślinnego. Obecnie nie smakuje im zawartość błonnika występującego we współcześnie stosowanej masie celulozowej. Stężenie polisacharydów zabezpiecza skutecznie przed szkodnikami, natomiast przyspiesza reakcje chemiczne polegające na utlenianiu się kwaśnych związków węglowodanowych używanych do produkcji celulozy w warunkach nieodpowiedniego oświetlenia, temperatury i wilgotności pomieszczeń. Następuje wówczas samoczynny proces samospalania papieru powodujący żółknięcie, kruchość i łamliwość papieru, wreszcie rozsypanie się bloku książki przy pierwszej próbie jej otwarcia.

W ten sposób ginie bezpowrotnie poważny odsetek bieżącej produkcji wydawniczej naszych czasów, a więc wszelkie druki ulotne, masowe, obliczone na duży krąg odbiorców, nielegalna i konspiracyjna prasa ostatnich dziesięcioleci. Zła jakość stosowanych w produkcji wydawniczej komponentów, książki jednorazowego użytku, rozpadające się w rękach po pierwszym czytaniu, mikroskopijnych rozmiarów marginesy nie pozwalające na oprawę introligatorską — to tylko nieliczne zagrożenia książki współczesnej, których można by uniknąć poprawiając stan bazy poligraficznej i staranność produkcji.

Podczas tegorocznej III Konferencji Konserwatorów i Bibliotekarzy, odbytej 8 i 9 czerwca 1988 r. we Wrocławiu, po raz kolejny potwierdzono pogłębiające się zagrożenia zbiorów bibliotecznych, określono skalę potrzeb w zakresie ochrony i konserwacji tych zbiorów, środki przeciwdziałania niektórym tylko zagrożeniom, dostępne w warunkach prostej profilaktyki. Zebrani wystąpili z sugestią opracowania narodowego planu ochrony i konserwacji skarbów piśmiennictwa narodowego. Sformułowanie planu winno być poprzedzone głęboką analizą potrzeb w zakresie profilaktyki, konserwacji i renowacji objętych planem ochrony zbiorów bibliotecznych, kształcenia kadr i sposobu przygotowania ich do zawodu, materiałów i urządzeń konserwatorskich. Plan powinien, moim zdaniem, skutecznie udaremniać podejmowanie tak głębokich i ważkich „decyzji", jaką było np. rozwiązanie, bodaj w 1985 r., istniejącej przy Pracowni Konserwacji Zabytków Pracowni Konserwacji Grafiki i Książki Zabytkowej.

Ktoś powie, że w czasie naszych dokuczliwych trudności ekonomicznych należy zaspokajać przede wszystkim potrzeby żołądka, na plan dalszy odkładając troskę o przeszłość i przyszłość kultury. Podobnie rozumowano w sferach rządowych już pół wieku temu, gdy trwała dyskusja nad projektem ustawy bibliotecznej. Wówczas to jeden ze światłych bibliotekarzy wielkopolskich, prezes towarzystwa czytelń ludowych, ks. Karol Milik, wypowiadając się w tej sprawie, zauważył: *„ci, którzy zwalczając projekt ustawy, wysuwają na plan pierwszy puste żołądki... zapominają snać, że oprócz żołądka głodować może i duch, i że nakarmienie ducha w przełomowym ciężkim czasie zdrową myślą, szlachetnym uczuciem i uporem dobrej woli jest przynajmniej tak ważne, jak nakarmienie żołądka".* Może się wszak zdarzyć, że po nakarmieniu żołądka nie będzie już czym karmić ducha.

Przeczytałem kiedyś zdanie, że bez poprawy sytuacji lokalowej bibliotek, przechowujących dziedzictwo pokoleń, możemy się pewnego dnia obudzić na gruzach własnej kultury. Przejmującą prawdę tych słów mogliby potwierdzić mieszkańcy Leningradu, którzy pierwsi dostrzegli 15 lutego 1988 r. rosnący szybko płomień w oknach założonej jeszcze przez cara Piotra I Biblioteki Akademii Nauk ZSRR. W wyniku pożaru i wielogodzinnej akcji przeciwpożarowej, prowadzonej nieudolnie przez strażaków, uległy zniszczeniu ponad 4 miliony woluminów książek, w tym bezcenne fragmenty polskich zbiorów, zdobytych ongiś przez Rosjan na terenach dawnej Rzeczypospolitej.

A przy okazji warto się zastanowić czy mimo upływu lat nie pozostało do dziś niezmienne świadectwo wystawione w 1747 r. przez Jana Daniela Janockiego wielu ówczesnym „bibliofilom": *„Posiadacze książek niedbale z nimi się obchodzą. Przeznaczają dla książek najbrudniejsze w domach swych kąty, pełne pająków, myszy i innego robactwa. W braku makulatury, używają je na podkładki do placków, obwijają w nie pieczenie, ciasta, śledzie lub ser".*

ANDRZEJ KEMPA

1

Sport

To już nie jest zdrowie

A nawet może grozić śmiercią. Niedawno na Mazurach, w okolicy Giżycka zginął na szosie młody łyżwiarz z Zakopanego. W Giżycku klub łyżwiarski z Zakopanego odbywał letni obóz. Łyżwiarze trenowali na rowerach. Jechali z Giżycka do Węgorzewa. Był wśród nich Marek Nykaz. W pewnym momencie przednie koło jego roweru wpadło w dziurę w asfalcie. Młody kolarz wywrócił się pod nadjeżdżający autobus. Zmarł w drodze do szpitala.

Kiedyś mówiło się, że sport — to zdrowie. Dziś takie powiedzenie jest już prawie nieaktualne. I nie tylko dlatego, że drogowcy nie wypełniają należycie swoich obowiązków. Również z wielu innych powodów. Sport stał się bowiem ciężką, wyczerpującą pracą. Niegdyś był przyjemnością. Niegdyś rzeczywiście dawał zdrowie, dziś je rujnuje.

Przebadano byłych olimpijczyków. Logicznie rzecz biorąc, ci starsi — dziś już w wieku 60 i więcej lat — powinni czuć się gorzej i powinni być mniej zdrowi. Wiadomo starość — to nie radość. Ale jest odwrotnie. U olimpijczyków, którzy występowali w Londynie, Helsinkach czy nawet jeszcze w Melbourne więcej jest zdrowia, czują się lepiej niż ich młodsi koledzy, którzy brali udział w igrzyskach w Montrealu czy w Monachium. Dlaczego?

Przede wszystkim winna jest pogoń za rekordami. Dziś je coraz trudniej zdobywać. W wielu dyscyplinach osiągają one już granice ludzkich możliwości. Trzeba więc znaleźć sposoby, dzięki którym człowiek przekroczy granice swoich możliwości. Nad tymi sposobami pracują całe sztaby konstruktorów sprzętu sportowego, ubiorów oraz całe sztaby... lekarzy. Ci drudzy szukają sposobów na wspomożenie ludzkiego organizmu różnymi medykamentami. A skądinąd wiemy, że przyroda bardzo nie lubi, gdy sztucznie zmienia się to, co ona stworzyła. I sportowiec płaci zdrowiem za to, że może przekroczyć ludzkie możliwości. Ludzie kończący kariery sportowe są niekiedy, niestety, już inwalidami.

Po drugie — decydują pieniądze. Sport dziś — to wielki interes, przynoszący duże zyski. I dla sportowców i dla tych, którzy w sport inwestują. Można narzekać, że podział tych pieniędzy nie jest jednakowy, że jedne dyscypliny są faworyzowane, a inne nie, ale nie można nie widzieć tego, że sport — to wielki interes. Wielu młodych płaci zdrowiem na całe życie, aby tylko w tym interesie wziąć udział, aby choć przez chwilę być sławnym i żyć lepiej niż inni. Co będzie później — zobaczymy!

Co jest później stwierdzili Węgrzy. Gyongi Szabo-Fosldesi przeprowadziła badania nad sportowcami schodzącymi z boisk, ringów i stadionów już na zawsze, a wyniki tych badań opublikowano w „Sporcie Wyczynowym". Okazało się, że węgierscy olimpijczycy z lat 1948—1976, gdy rozpoczynali karierę byli w pełni zdrowi, gdy ją kończyli tylko 55 procent z nich uważało się nadal za zdrowych, 33 procent uważało, że nie są w pełni zdrowi, a 8 procent — że są chorzy. Im jednak bliżej naszych czasów, tym gorzej ze zdrowiem byłych sportowców. Powodem tego jest doping.

Komitet do Spraw Młodzieży i Sportu zapowiedział, że gdyby wśród polskich olimpijczyków wykryto doping, to nie będą stosowane żadne okoliczności łagodzące. Polska podpisała Międzynarodową Kartę Antydopingową. To pięknie, to zobowiązuje, ale jak twierdzi Gerhard Steines na łamach „Deutsches Allgemeines Sonntagsblatt" są możliwości takiego stosowania dopingu, że nie wykryje go żadna kontrola antydopingowa. Jego zdaniem kontrolować trzeba zawodników już podczas treningu, na co najmniej 8—10 dni przed zawodami. Gdyż właśnie na ten czas przerywają oni stosowanie dopingu i to daje właśnie znakomite rezultaty. Złapać się na stosowaniu dopingu dają się tylko ludzie stosujący prymitywne sposoby. Doping — pisze Gerhard Steines — stosują niemal wszyscy, a złapać ich na tym coraz trudniej.

Stosuje się przede wszystkim anaboliki, które pobudzają wzrost mięśni, poprawiają przyswajanie tlenu przez organizm, a u kobiet przyczyniają się do rozwijania cech męskich. To właśnie podawanie anabolików wstrzymuje się na 8—10 dni przed zawodami i ich ślady są nie do wykrycia, choć nadal działają na organizm i to dość skutecznie. Tak więc w Seulu — zakłada Gerhard Steines — nie wykryje się stosowania anabolików, choć będą one robiły swoje. Jego zdaniem dopingu powinno się konsekwentnie szukać podczas treningów, na długo przed decydującymi zawodami. Ale tego nikt nie robi.

Stosuje się nie tylko środki pobudzające rozwój zawodnika i wzmocnienie jego siły. Stosuje się inne, które powodują, że gimnastyczki, choć starsze wiekiem, są coraz niższe i lżejsze. To też nie dzieje się drogą naturalnego rozwoju. Mamy więc sport, który coraz bardziej jest zaprzeczeniem zdrowia. Pamiętajmy o tym, gdy będziemy podziwiać sportową rywalizację na stadionach Seulu. Ceną wielu sukcesów może być stracone bezpowrotnie zdrowie. Przykro o tym pisać.

BOGDA MADEJ

2

Lewym okiem

Na Sachalinie i w Suwałkach

Generał Wojciech Jaruzelski w swym niedawnym przemówieniu w Sejmie podczas wizyty Michaiła Gorbaczowa wspomniał osobę Bronisława Piłsudskiego, starszego brata Marszałka Józefa Piłsudskiego. Wraz z bratem Włodziemierza Iljicza Lenina spiskował on przeciwko caratowi, po czym został wysłany na daleką wyspę Sachalin.

Tu przypomniała mi się ciekawostka, którą może warto powtórzyć. Otóż w 1935 roku przebywał na Sachalinie znakomity polski dziennikarz, poeta, pisarz Aleksander Janta Połczyński, a podróż tę opisał w książce pt. „Ziemia jest okrągła" wydanej w 1936 r. Sachalin był wtedy podzielony i od 1906 roku połowa jego należała do Japonii. Polski dziennikarz odwiedził tam wieś zamieszkałą przez Polaków, potomków zesłańców polskich, a także żyjących jeszcze niektórych samych zesłańców.

Polska wieś w japońskiej strefie Sachalinu była zamieszkała częściowo także przez dosyć pierwotne jeszcze plemię Ajnosów — jak ich nazywano „kosmatych ludzi". Żyła tam jeszcze stara Ajnoska, która przed 1905 rokiem była towarzyszką życia Bronisława Piłsudskiego. Pozostawił jej po sobie dwóch synów, z którymi Aleksander Janta Połczyński rozmawiał. Byli wtedy w kwiecie wieku, dziś chyba już nie żyją, ale może żyją ich potomkowie. Stara Ajnoska znała parę słów polskich, miała jakieś polskie obrazki, zostawione przez Bronisława Piłsudskiego. On sam, po odsiedzeniu wyroku, wrócił do kraju i nigdy już do swej towarzyszki się nie odezwał, chociaż ta ciągle jeszcze czekała na znak życia od niego a nawet wierzyła, że do niej powróci. Tak więc w dalekim, dzikim zakątku świata żyli, a może nadal żyją, bliscy krewni Marszałka. Jeszcze raz okazuje się, że świat wcale nie jest taki duży.

W tym miejscu przerwałem pisanie felietonu, aby posłuchać przeglądu czasopism w Polskim Radiu. I oto dzielę się z wami na gorąco krótką uwagą. Po rozmowie, przeprowadzonej z pewnym działaczem gospodarczym, redaktorka grzmi na rzeczywistość ekonomiczną w naszym kraju:

„— Tu trzeba twardej ręki, twardych praw ekonomicznych, skończyć z paternalistycznym państwem, zaniechać nadopiekuńczej roli państwa.

Zaraz potem inna dziennikarka relacjonuje sytuację w Suwałkach w zakresie przedszkoli. Przedszkola te są przepełnione, zabawki są spłowiałe, a parkiety, zadeptane.

— Tak nie może być — woła dziennikarka. *— Na to pieniądze muszą się znaleźć, lokalne władze — a może nie tylko lokalne — powinny wejrzeć w tę skandaliczną sytuację i natychmiast się nią zająć.*

Tak więc w ciągu niespełna dziesięciu minut słyszymy gromy padające na nadopiekuńczość państwa i energiczne wołanie o dalsze rozszerzanie opieki nad społeczeństwem. Słucham takich komentarzy na kopy, nie zawsze wiem, kto do czego nawołuje, a czasem mam wrażenie, że te same osoby nawołują w różnych momentach do zupełnie sprzecznych ze sobą decyzji. I jeszcze myślę, że — o ile do niedawna — większość ludzi pracujących w środkach masowego przekazu wyłaziła ze skóry, aby podobać się władzy, o tyle teraz, również większość, robi co może, aby podobać się publiczności.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Psychoterapia grupowa

Bardzo dziś trudno Czytelnika wzruszyć czy obruszyć czymś porażającym, przerażającym lub wstrząsającym. W epoce kiedy prawie codziennie dowiaduje się on rzeczy niesamowitych, takich na przykład jak ta, że na Białorusi w 1937 roku dla wykonania planu tępienia „wrogów ludu", w ostatnim kwartale łapacze zagarnęli do „czarnych woronów" zupełnie przypadkowych ludzi. Przelicytować się tego chyba już nie da. I całe szczęście, że to przeszłość.

Na tym tle nasze obecne problemy są śmieszne i niepoważne. A jednak praktyki dyrektorki jednego z tak licznych w Łodzi domów kultury mogą człowieka delikatnego i wrażliwego przyprawić o gęsią skórkę. Otóż dama ta podczas absencji w pracy jakiegoś pracownika zbiera kolektyw i urządza sąd kapturowy nad nieobecnym. Każdy ma, nie tyle prawo, co obowiązek wieszać na nim psy. Bezkarnie i bezpiecznie, gdyż seanse te nie są protokołowane i to, co się na nich dzieje objęte jest tajemnicą służbową. Taką surową regułę wprowadziła pani dyrektor. Objęci są tym niecodziennym procederem wszyscy członkowie personelu, z wyjątkiem głównej inicjatorki.

Jakie to powoduje skutki w stosunkach między ludźmi tej placówki powołanej do realizacji wzniosłych celów pozaprodukcyjnych, można sobie dość łatwo wyobrazić. Lęk, strach, donosicielstwo — to cechy szczególnie wyróżniające pracowników tego domu — o ironio — kultury.

Właściwie to już wszystko zostało powiedziane i w tym miejscu powinienem postawić kropkę. Nie wiem, czy cieszyć się, czy smucić, iż dama ta stanowisko swe sprawuje w domu kultury. A gdyby tak trafiła do domu dziecka? Albo do domu starców? Albo jeszcze gorzej.

Ona widocznie coś słyszała o terapii grupowej. Jest to dość modna — jeśli się tak można wyrazić — metoda leczenia, polegająca na tym, iż pacjent szpitala psychiatrycznego otwiera się całkiem przed grupą swych towarzyszy niedoli, zwierza się im ze swych marzeń, planów, projektów, pragnień, dążeń, doznań, przeżyć, przejść, a przede wszystkim ze swych najintymniejszych, skrytych myśli. W ten sposób odreagowuje skutecznie i dochodzi do równowagi psychicznej. Można domniemywać, iż rodowód tej metody oparty został na praktycznych doświadczeniach spowiedzi, tyle, że powiernika kapłana zastępują przypadkowo dobrani pacjenci.

Owa złowieszcza dama metodę tę nieco odwróciła: zamiast jeden zwierzać się wszystkim, wszyscy szkalują jednego. Odkryła ona, że w naturze ludzkiej zakodowana jest spora dawka sadyzmu psychicznego, któremu — za jej przyczyną — jej podwładni dają ujście na tych niespotykanych seansach.

I co najciekawsze stan ten trwa całymi latami. Zastraszeni ludzie oswoili się z tą grozę budzącą, sytuacją i znoszą wściekłe praktyki psychopatki z pełną pokorą. Stopień jej rozbestwienia osiągnął szczyt, kiedy weszła na salę, w której prowadził zajęcia instruktor klubu filmowego i powiódłszy wzrokiem po widowni rzekła: — „Nie mogę patrzeć na te starcze gęby" — i poleciła klub filmowy rozwiązać. Rozwiązano. Dom kultury młodzieżowy, a klub filmowy dla dorosłych — to nie pasowało jej.

Domyślam się, iż zapewne ktoś kto zręczniej włada piórem miałby tu wiele okazji do snucia dywagacji na temat polityki kadrowej. Ale ja nie potrafię. Mnie coś takiego zupełnie paraliżuje. O czym tu pisać? Do kogo ta mowa?

KAROL BADZIAK

WESTA

Rok założenia 1988

UBEZPIECZA

ZAWSZE TANIEJ!

Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom rodziców przedstawiamy

KONKURENCYJNĄ OFERTĘ UBEZPIECZENIOWĄ DZIECI I MŁODZIEŻY

od następstw nieszczęśliwych wypadków.

Te same warunki co w PZU przy niższych składkach! Podstawową sumą ubezpieczeniową jest kwota 100.000,— zł na wypadek śmierci, 200.000,— zł na wypadek trwałego 100 proc. inwalidztwa, 3.000,— zł za każdy miesiąc niezdolności do nauki trwającej ponad 1 miesiąc oraz inne świadczenia w tych samych wysokościach jak w PZU. Składka 250 zł rocznie! Istnieje możliwość nawet 5-krotnego zwielokrotnienia tych sum przy czym ubezpieczając się w WEŚCIE oszczędzasz ponad 25 proc.!!!

Na oferty szkół, żłobków, przedszkoli itp. z podaniem liczby dzieci i personelu oczekuje do 30.XI.1988 r. przedstawicielstwo WESTY w Łodzi, 91-416 Łódź, ul. Nowotki 8, tel. 32-56-61. Odpowiedzialność WESTY od 1 września przy terminie wpłaty składki do 25 października 1988 r.

3 proc. składek otrzymują Kuratoria Oświaty lub Wydziały Zdrowia na cele prewencyjne. Przewidujemy prowizje dla prowadzących ubezpieczenie.

2436/K

ZBIGNIEW NIENACKI

(17)

Dagome iudex

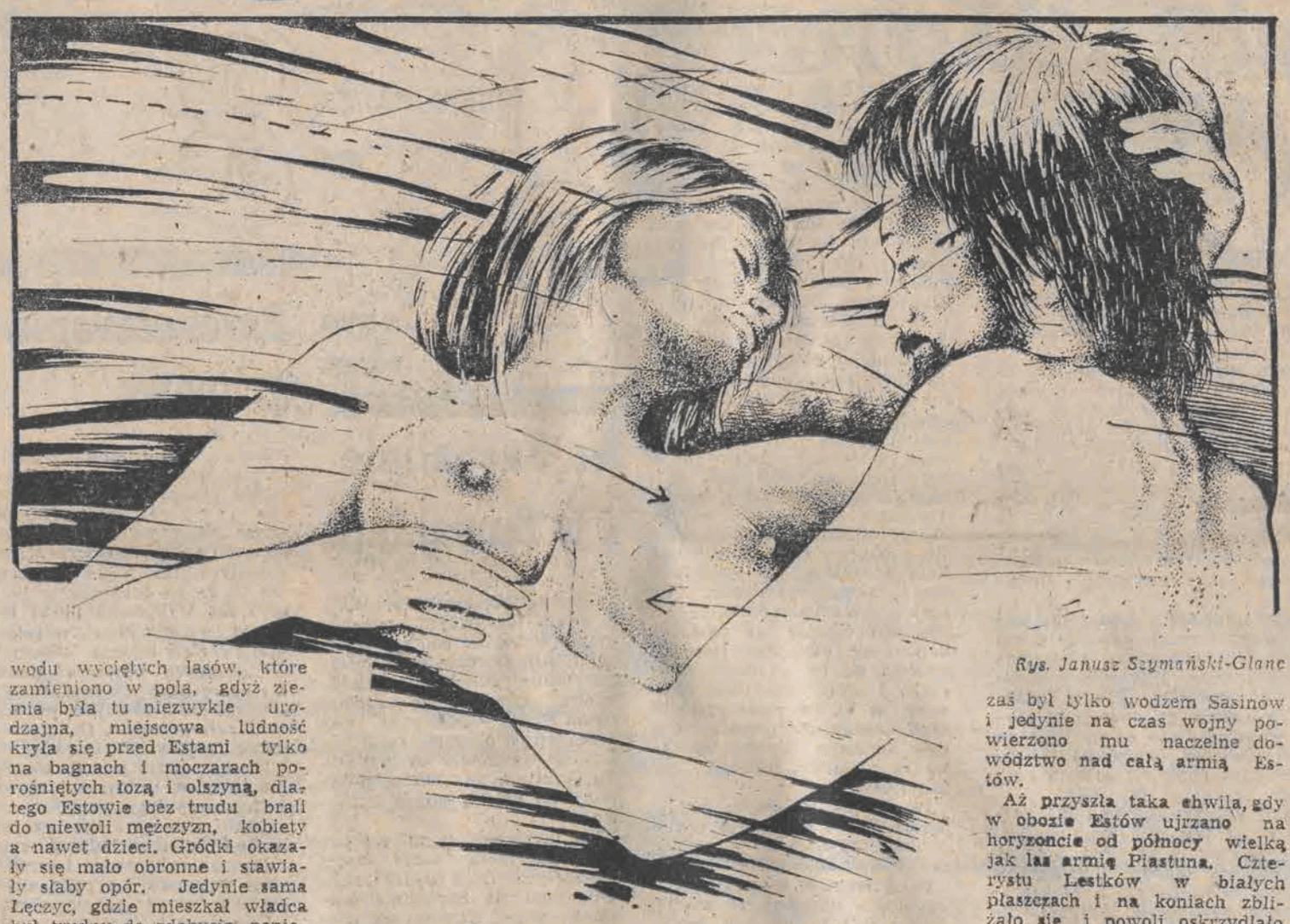

Rys. Janusz Szymański-Glanc

A kiedy jej Olt Powała powiedział, że Gedania jest w czwartym miesiącu ciąży, zaprowadziła go do swoich komnat i pokazała swoje roczne dziecko, owego Kira.

— On jest pierworodnym synem Piastuna. Przyjrzyj mu się. Czy wygląda na karła?

I kazała przynieść inne roczne dzieci, aby Olt Powała, mógł je z Kirem porównać. Ale on był zbyt pijany, zresztą, nie miał pewności, czy dzieci, które kazała przynieść są także roczne, a nie młodsze. Chciał jej powiedzieć, że Piastunowi nie chodzi o wzrost dziecka, gdyż sam Piastun mimo że jest olbrzymem, nie ma wzrostu większego od innych. Kobieta, która rodzi olbrzyma, umiera przy porodzie. Taka jest prawda. Nie powiedział jednak tego, bojąc się gniewu Zyfiki.

A nazajutrz już byli w drodze, on na czele swej armii, Zyfika zaś prowadziła trzystu konnych Sauromatów i dwustu pieszych oraz czterdzieści wozów, w tym jeden ogromny, na którym na noc rozpinano namiot, gdzie spała.

Wieczorem rozpalono dziesiątki ognisk, przy których mieli spać żołnierze. O zmroku usłyszał Olt Powała dziwnie tęskne i pełne zwodzenia pieśni sauromackie i był świadkiem przedziwnych zwyczajów, jakie wprowadziła Zyfika. Oto w pewnej chwili przyszła ona do swych żołnierzy i zapytała ich głośno:

— Który z was chce ze mną zażyć rozkoszy w mym wozie pełnym miękkich i ciepłych skór?

Sauromaci milczeli, każdy patrzył w płomienie ogniska. Żaden z mężczyzn nawet nie poruszył się.

— Jakże to? — kpiła Zyfika. — Nie ma wśród was prawdziwego mężczyzny? A może chcecie, abym na któregoś z was zapolowała? Czy naprawdę żaden z was mnie nie pragnie?

Olt Powała chciał wstać od ogniska i zawołać: „ja cię pragnę, pani", gdyż w rzeczy samej czuł ogromne pożądanie do Zyfiki. Ale przecież nie do niego, lecz do swych żołnierzy kierowała swoje pytanie. Nie śmiał więc wydać z siebie głosu.

W końcu zgłosił się rosły młodzian. Odrzucił od siebie łuk i tarczę, i poszedł z Zyfiką do jej wozu, a Olt Powała aż zgryzł paznokcie, taka go ogarnęła zazdrość, gdy przedstawiał sobie jak tamten raduje się ciałem swojej władczyni. Nie zasnął tej nocy, dręczony pożądaniem i przemyśliwając jak też następnej nocy znaleźć się w wozie Zyfiki.

Rankiem Zyfika i młodzieniec pojawili się nagle między ogniskami.

— Co mam z nim uczynić? Zabić go czy skazać na niewolę? — zapytała swoich żołnierzy.

— Zabić — krzyknęli jednocześnie, okazując jak są okrutni.

Zyfika wyjęła zza pasa nóż i udała, że uderza nim w piersi młodzieńca. Oświadczyła:

— Jest rosły, silny i dał mi rozkosz. Niech zostanie niewolnikiem, gdyż wiele z niego będzie pożytku.

Wtedy wielu żołnierzy rzuciło się na tamtego. Obcięto mu włosy jak niewolnikowi, związano z tyłu ręce i przytroczono do jednego z wozów jako niewolnika. Przeraził się tego Olt Powała i pojął, że nie można mieć inaczej Dzikiej Kobiety, jak ginąc lub stając się niewolnikiem. Okrucieństwo Zyfiki uczyniło ją w jego oczach obrzydliwą. Opuściło go pożądanie tej pięknej kobiety. Pomyślał, że Piastun miał rację wypędzając ją z Gniazda.

W dużym grodzie w Raciążu Zyfika znowu wydała ucztę, na której posadziła obok siebie Olta Powałę. Głaskała go po kolanie i udzie aż w końcu namacała dłonią jego sterczącego członka. Wówczas jego dłoń położyła na swoim udzie, aby i ją głaskał.

— Pragniesz mnie, Olcie — zwróciła ku niemu swoją piękną twarz o czarnych brwiach i wiśniowych ustach. — Ja też ciebie pragnę i wezmę cię tej nocy. Może boisz się jednak, że każę cię potem zabić lub uczynić niewolnikiem?

Olt Powała wziął ze stołu wielki dzban z miodem, przechylił go i pił tak długo, aż go opróżnił. Potem zaś pijany padł jak nieżywy twarzą na stół. Stojący za jego krzesłem żołnierze Piastuna zaraz go chwycili na ręce i zanieśli do wyznaczonej mu komnaty. Tak Olt Powała uniknął śmierci lub niewoli. Tej nocy bowiem, jak później opowiadano, Zyfika wzięła sobie do łoża jakiegoś czternastolatka z Raciąża, a potem kazała go zabić.

Od tej nocy tylko raz spotkał się Olt Powała z Zyfiką. Przebyli rzekę Wkrę i rozłożyli się obozem na jej prawym brzegu. To tutaj, w szerokiej przesiece w gęstej puszczy czekać miał Olt Powała na powracających Estów, Zyfika zaś ruszyła dalej w stronę grodu Ciechana i tam, w podobnie dogodnym miejscu uczyniła zasadzkę na wroga. Codziennie między obydwoma obozami krążyli gońcy, wysłano też wywiadowców aż do brzegu Visuli, aby dość wcześnie było wiadomym, jaką drogę powrotną wybiorą Estowie i ich wódz Dywina.

Tymczasem Dywina dziesiąty dzień oblegał gród, w którym znajdował się Łęczyc Biały, a jego Estowie niszczyli i plądrowali Kraj Ludzi Długogłowych. Nie był to kraj rozległy, ale licznie zasiedlony, pełen gródków i wiosek. Z powodu wyciętych lasów, które zamieniono w pola, gdyż ziemia była tu niezwykle urodzajna, miejscowa ludność kryła się przed Estami tylko na bagnach i moczarach porośniętych łozą i olszyną, dlatego Estowie bez trudu brali do niewoli mężczyzn, kobiety a nawet dzieci. Gródki okazały się mało obronne i stawiały słaby opór. Jedynie sama Łęczyc, gdzie mieszkał władca był trudny do zdobycia, ponieważ zbudowano go starożytnym sposobem. U dołu wały miały ponad trzydzieści sążni szerokości, wyżej ziemię przełożono drewnianymi kłodami. Grube bierwiona kładziono poprzecznie do kierunku wału, belki warstwy wyżej równolegle i znowu poprzecznie aż do samej góry, gdzie stanęły wielkie izbice z głazami i ziemią, podobnie puste przestrzenie między tramami zapełniono gliną. Trzy szeregi pochylonych ku nieprzyjacielowi i zaostrzonych pali broniło dostępu do wałów, a i na szczycie wału też biegł wysoki ostrokół. Nie było ludzkiej siły ani machin, aby taką budowlę rozerwać lub naruszyć. A jednak Dywina postanowił gród zdobyć. Z zeznań jeńców bowiem wynikało, że potężny skarbiec posiadał w grodzie Łęczyc Biały, a Dywina aż dygotał z chciwości, aby ów skarbiec splądrować. Tak się jednak działo, że w ataku na wały grodu dziesiątki Estów już zginęło, wielu było rannych, oblężenie przedłużało się. Widzieli Estowie dachy domów i dworu skupionego na malutkiej przestrzeni wśród wałów, słali tam zapalone strzały, dachy jednak pokrywał gruby mech, a później spadł śnieg i nie chciały się one zająć ogniem. Zresztą, także i na dachach widziano obrońców, którzy gasili płonące strzały. Przewidywał Dywina, że napadnięty zdradziecko gród nie posiada zapasów żywności i wkrótce rozpoczną się rozmowy pojednawcze. Dywina gotów był w zamian za trybut w złocie odstąpić od oblężenia Łęczyca i zadąć w rogi, dając znak do odwrotu.

Nie wiedział Dywina, że Łęczyc Biały leżał w swym łożu ciężko chory, z rzadka odzyskując przytomność. Syn jego przedarł się do Piastuna, nikt zaś poza starym władcą nie miał prawa decydować ani o poddaniu grodu, ani też o jakichkolwiek rozmowach z oblegającymi. Naczelny wódz Długogłowych, Dolata, wielekroć pytał starego władcę, co ma czynić, lecz odpowiedzi nie otrzymywał i dlatego wciąż kazał bronić grodu. A przecież kiedy nocą dostrzegano z wałów setki ognisk z dwóch stron grodu rozpalonych, a w dzień widziano setki szałasów z łozy, gdzie przed chłodem kryli się Estowie, niemal wszyscy obrońcy grodu byli przekonani, że należy porozumieć się z Estami. Brakowało tylko zgody starego władcy.

Tymczasem rozszalała się zamieć śnieżna. Padało przez trzy dni i w tym czasie Estowie nawet nie próbowali ataku na obrońców grodu, chroniąc się przed zimnem przy ogniskach, które ciągle rozrzucał im wiatr i zasypywał śnieg. A kiedy wyjrzało słońce, rozkazał Dywina rozdzielić siły Estów. Część z nich wraz z jeńcami i bydłem miała ruszyć w powrotną drogę, część zaś pozostać pod grodem i dalej go oblegać. Lękał się bowiem Dywina, że śnieg i mróz może uszczuplić jego łupy, umrze wielu jeńców, a także padnie bydło w dalekiej wędrówce do kraju Estów. Zebrano więc z wiosek wozy i dorobiono do nich płozy. Na tych wozach usadzono kobiety i dzieci, wzięte w niewolę. Mężczyźni niewolni mieli iść pieszo razem ze stadami bydła i końmi.

Wkrótce ku swej radości stwierdził naczelny wódz Długogłowych, o imieniu Dolata, że wokół grodu ognisk płonie nocą o połowę mniej i zaraz o tym powiadomił starego władcę, który właśnie odzyskał przytomność.

— Źle uczyniłem — wymamrotał Łęczyc Biały — sprzymierzając się z ojcobójcą Karakiem i Skrzydlatymi, ponieważ oto sami musimy stawić czoła Estom. Ale być może jeszcze gorzej uczyniłem godząc się, aby mój ostatni syn wyruszył do Piastuna i oddał się w jego piastowanie. Estowie zniszczą nasz kraj, ale kiedyś odejdą. Czy zechce odejść Piastun?

Przy łożu chorego starca klęczały dwie jego piękne młode córki i zaraz głośno zaczęły zawodzić. Były księżniczkami, wiele nasłuchały się o Lestkach, którzy nienawidzili władców i zabijali książąt i możnych. Bały się o swoje życie.

Dolata położył dłoń na rękojeści swojego miecza.

— Przysięgam ci, książę, że jeśli Piastun pokona Estów, oddam mu w nagrodę nasz skarbiec, ale do grodu nie wpuszczę. Niechaj odchodzi stąd bogaty.

Schorowany starzec podniósł się z łoża na łokciu i zapytał chrapliwie:

— Czy nikt z was nie wie, co to znaczy oddać się w piastowanie? Co kryje to dziwne słowo? Życie i wolność? Śmierć albo niewolę?

— Nie wiem, panie — odparł Dolata. — Słyszy się tylko, że dla jednych oznacza ono wolność a dla drugich śmierć lub niewolę.

Potem starzec znowu zaczął majaczyć i stracił przytomność. A nazajutrz z wałów grodu widział Dolata i córki księcia, jak niewielki oddział ubranych w białe płaszcze wojowników na czele z Łęczycem Małym uderzył na obóz Estów, usiłując przedrzeć się do grodu. Nie spodziewali się tego Estowie i nim zdołali doskoczyć do swoich koni i ustawić się w szyki obronne, straszliwą rzeź uczynił wśród nich Łęczyc Mały oraz pięćdziesięciu Lestków, jakich otrzymał od Piastuna. Kwik koni i krzyki mordowanych dochodziły aż do uszu obrońców grodu. Lestkowie byli lepiej wyszkoleni i uzbrojeni niż Estowie, dlatego mimo że Estów znajdowało się ponad tysiąc, tylko piętnastu Lestków padło w walce a reszta zdołała dopaść bram grodu, które otworzyły się dla nich i dały bezpieczne schronienie.

— Piastun będzie tu wkrótce wraz ze swoją potęgą — zakrzyknął Łęczyc Mały, zanim ranny nie zsunął się z konia.

Zajęły się nim jego siostry, gdyż Dolata i inni obrońcy, a także przybyli z odsieczą Lestkowie, musieli się zająć obroną grodu. Rozwścieczeni Estowie przystąpili do gwałtownego szturmu na wały. Zdołali się nawet przedrzeć przez palisady i ostrokoły oraz przez zamarznięte i zasypane śniegiem fosy. Na stromiźnie wałów rozegrała się bitwa niezwykle zacięta i krwawa, która trwała aż do wieczora. Nie potrafili jednak Estowie zdobyć grodu, zaś następnego dnia odpoczywali po walce. Trzeciego dnia wysłali posłów pod bramy i za odstąpienie od oblężenia zażądali dużego okupu. Albowiem na Dywinę — gdy ujrzał Łęczyca Małego na czele Lestków — padł strach, że Długogłowcy porzucili dawne przyjaźnie i sprzymierzyli się z Piastunem, co znaczyło, że w każdej chwili obóz Estów może zostać zaatakowany przez Polan.

Trzy dni trwały nie kończące się spory, co do wysokości okupu za odstąpienie od oblężenia. Dywina czuł, że w owym przedłużaniu się rozmów kryje się jakiś podstęp, lecz bez okupu od grodu odstąpić nie mógł, gdyż sprzeciwiali się temu chciwi łupów wodzowie sprzymierzonych z nimi Pomezanów i Galindów, on zaś był tylko wodzem Sasinów i jedynie na czas wojny powierzono mu naczelne dowództwo nad całą armią Estów.

Aż przyszła taka chwila, gdy w obozie Estów ujrzano na horyzoncie od północy wielką jak las armię Piastuna. Czterystu Lestków w białych płaszczach i na koniach zbliżało się i powoli oskrzydlało sklecony z szałasów obóz estyjski. Nie zaatakowali jednak jak tego oczekiwał Dywina, a tylko ustawione w bojowe szyki wojska raptem zatrzymały się o pięć stajań od obozu i zdawały się na coś czekać. Dywina miał pod swoją wodzą jeszcze ponad sześciuset zdolnych do walki wojowników, przeważnie jednak pieszych i nie tak dobrze uzbrojonych jak żołnierze Piastuna. Domyślał się także, iż jeśli uderzy na Piastuna, z grodu natychmiast wysypią się obrońcy i napadną od tyłu na jego ludzi. Dywinę czekała klęska, śmierć albo niewola. To samo musiałoby nastąpić, gdyby Piastun dał rozkaz napaści na obóz Estów. On jednak zdawał się o tym nie wiedzieć albo też nie chciał klęski Dywiny. Pojęli więc, że trzeba słać do niego posłów i szukać drogi porozumienia, gdyż nie jest Piastun złakniony krwi estyjskiej, ale zdawał się tu przybyć jedynie po to, aby gród Łęczyca ocalić.

W otoczeniu pięciu Estów ruszył więc Dywina naprzeciw Piastuna, którego poznawano po złotym pancerzu i złotym hełmie z końską kitą.

Piastun i Spicimir ruszyli mu naprzeciw, ale nie dalej niż kilkadziesiąt kroków od swoich szeregów. W istocie dobrze się domyślał Dywina, że Piastun nie chce walki, ponieważ nosił tajny zamysł, aby swoje wojsko oszczędzić na zdobywanie Kraju Ludzi Skrzydlatych. Marzyło mu się zdobycie tajemnicy długowieczności.

— Panie i Piastunie — zakrzyknął Dywina, zatrzymując się w bezpiecznej odległości od Dagona i Spicimira, gdyż choć miał za sobą aż pięciu wojowników, a tamci żadnego, bał się ich.

Piastun znał trochę język Estów, lecz milczał. Tylko Spicimir zrobił ręką znak, dając Dywinowi do zrozumienia, że gdy się rozmawia z Piastunem należy zsiąść z konia.

Upokorzył się Dywina, zsiadł z konia i skłonił się Piastunowi.

— Daj nam, panie, odejść stąd, a zostawimy gród w spokoju — oświadczył.

— Dlaczego mam to uczynić? — spytał go po estyjsku Dagon.

— Ponieważ nie z tobą rozpoczęliśmy walkę, ale z Długogłowcami, którzy zawarli pokój z twoimi wrogami, Skrzydlatymi i Karakiem.

— Ukarzę ich za to — skinął głową Piastun. — Tak się jednak stało, że oddali się teraz w moje piastowanie.

— Odstąpimy więc od grodu i ruszymy do swego kraju — obiecał Dywina.

Był to średniego wzrostu mężczyzna o niezwykle szerokich barach. Nosił kożuch futrem na wierzch, na głowie miał czerep wilka, u boku frankoński długi miecz. W nalanej tłuszczem twarzy tkwiły małe chytre oczka, które nieustannie znajdowały się w ruchu.

— Chcę waszych jeńców — powiedział Dago.

— Za późno, panie. Odeszli przed wieloma dniami i są już na Mazowii — bezradnie rozłożył ręce Dywina, niezwykle rad, że miał pomysł odesłania do kraju zdobytych jeńców i bydła.

— W takim razie żądam waszej broni — powiedział Dago. — Złożycie ją na jedną wielką stertę. Broń zachowają tylko wodzowie, nie więcej jednak niż trzydziestu.

— To niemożliwe, panie — rozgniewał się Dywina.

— Uderzymy na was z dwóch stron. Ja od czoła, a Łęczyc od zadu. Ten z was, co ujdzie żywy, doczeka się bohaterskich pieśni. Ale jeszcze piękniejsze pieśni powstaną o zabitych.

Dywina zawrócił ku swoim i rozpoczął naradę z estyjskimi wodzami. Tymczasem Piastun jeszcze bliżej podszedł z wojskami do obozowiska Estów, którzy już pojęli, że znaleźli się w pułapce.

Po jakimś czasie Dywina znowu zjawił się i zsiadł z konia przed Piastunem.

— Jaką mamy pewność, że nie kryjesz zdrady w swoim sercu i nie napadniesz na bezbronnych?

Wtedy Piastun wyjął z juków swego konia złoty łańcuch z krzyżem, ten sam, który wraz z tytułem hrabiego otrzymał od Ludwika Teutońskiego. Rzucił go pod nogi Dywinie.

— Załóż na kark ten łańcuch z przedziwnym znakiem krzyża, a będziesz bezpieczny — oświadczył. — Mówiono mi, że wielki cesarz Rhomajów o imieniu Konstantyn, miał w noc przed bitwą sen, że gdy weźmie do ręki znak krzyża, bezpieczny będzie, a nawet zwycięży wrogów. Nie chcę, abyś mnie zwyciężył, ale odszedł stąd bezpieczny. Namyśl się szybko, gdyż wkrótce wydam okrzyk do walki.

Dywina podniósł z ziemi złoty łańcuch. Chciwość przyćmiła w nim wrodzoną mu przebiegłość. Taki łańcuch wart był więcej niż dziesięciu niewolników. Piastun nie mógł okazać się zdrajcą, ponieważ jak to słyszał, uważał się za wielkiego władcę. Zresztą, nie przyszli na jego ziemie, ale uderzyli na kraj wrogów.

— Przysięgasz, panie, że będziemy bezpieczni?

— Przysięgam, że odejdziecie stąd bezpiecznie — podniósł prawą dłoń Dago.

Dywina wrócił do swoich. Prawie sześciuset Estów porzuciło broń i ustawiło się w wielką kolumnę marszową. Na czele kolumny ruszyła gromada wodzów plemiennych i rodowych, którym Piastun pozwolił pozostać przy broni.

C.D.N